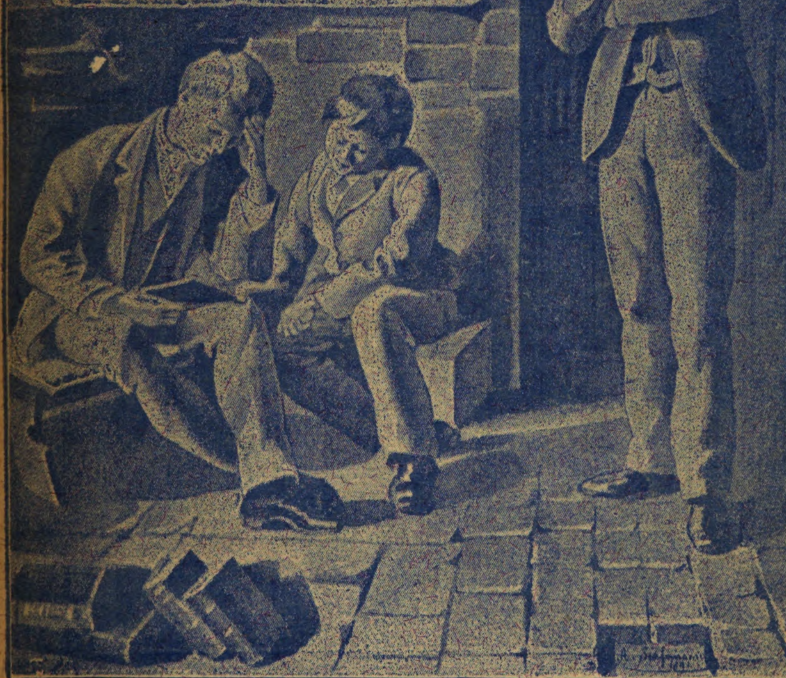
BIBLIOTEKA DLA MŁODZIEŻY. 5

WYDAWNICTWO TOWARZYSTWA NAUCZYCIELI SZKÓŁ WYŻSZYCH WE LWOWIE.

Z PAMIĘTNIKÓW KAJETANA KOŹMIANA.

CZĘŚĆ PIERWSZA

(od r. 1779. do epoki Czteroletniego Sejmu).



5.

BIBLIOTEKA DLA MŁODZIEŻY.

Z PAMIĘTNIKÓW KAJETANA KOŹMIANA.

CZĘŚĆ PIERWSZA

(OD R. 1779. DO EPOKI CZTEROLETNIEGO SEJMU).

OBJAŚNIENIAMI ZAOPATRZYŁ

PIOTR PARYLAK.

WE LWOWIE.

NAKŁADEM TOWARZYSTWA NAUCZYCIELI SZKÓŁ WYŻSZYCH.

1891.

Z DRUKARNI ZAKŁADU NARODOWEGO IMIENIA OSSOLIŃSKICH
pod zarządem Juliusza Birkenmaiera.

WSTĘP.

Kajetan Koźmian urodził się w Gałęzowie, w województwie lubelskiem, w r. 1772. z ojca Andrzeja, sędziego ziemskiego lubelskiego, i Anny z Kiełczewskich. Kształcił się początkowo w Lublinie i Zamościu, wyższe klasy ukończył w Lublinie. Do akademii nie posłano go z powodu wybuchłych tamże zatargów między profesorami, natomiast oddany był zaraz po ukończeniu szkół do palestry lubelskiej (1787. r.).

Województwo lubelskie było wtedy siedzibą wielkiej liczby najoświeceńszych i najlepszych obywateli, a przez rozgałęzione stosunki ojca młody syn miał z tymi wszystkimi znajomość i kształcił się pod najlepszymi wpływami. Do pióra go zaprawiał i do literatury starożytnej zapalał nauczyciel jego Girtler, któremu sam przypisuje wpływ największy na wyrobienie swego smaku i talentu. Czasy sejmu czteroletniego przepędził w Lublinie, powstania Kościuszkowskiego tamże, jako urzędnik przy komisyi wojewódzkiej, z którą po klęsce maciejowickiej przeniósł się do Galicyi. Po trzecim rozbiorze gospodarował na wsi i, jak sam mówi, parę lat przepolował tylko. Szczęściem miał za sąsiada Wolskiego, szambelana i przyjaciela Stanisława Augusta, i ten skierował go znowu do pracy umysłowej, a stosunki z najznakomitszymi ludźmi ówczesnej Polski, jakimi byli Czartoryscy w Puławach, Ignacy Potocki i Piramowicz w Kurowie i inni, utwierdzały go na drodze. Ośmielił się wreszcie do pisania wierszy; oda Ignacego Potockiego po jego powrocie z więzienia była nym z pierwszych.

W tym czasie ożenił się z Anną Mossakowską, miał syna Andrzeja, znanego później w literaturze autora Pamiętników, tłómacza Mackbetha i innych pism, a gdy rychło stracił żonę, pojął w małżeństwo jej młodszą siostrę Maryannę. Mieszkał w Piotrowicach pod Lublinem, które wziął w dziale majątkowym po ojcu.

Sławę poety pozyskał sobie naprzód odami patryotycznemi (jak »Na zawieszenie orłów w Lublinie r. 1809.«), a w radzie stanu księstwa warszawskiego był referendarzem. Wtedy musiał osiąść w Warszawie, a przez to zostawał w ciągłych stosunkach ze wszystkiemi znakomitemi osobami ówczesnemi, ze wszystkimi poetami i uczonymi i stał się jednym z najbardziej znanych i znaczących członków towarzystwa przyjaciół nauk. Lata te uważa on za najszczęśliwsze w swojem życiu.

W r. 1812., kiedy się zawiązała konfederacya generalna królestwa polskiego, Koźmian został jej sekretarzem. Na wiadomość o spaleniu Moskwy napisał odę, w której wypadek ten wita jako pomstę Bożą i wróżbę szczęśliwej przyszłości. Po klęsce Napoleona z całą konfederacyą i z wojskiem cofnął się do Krakowa, gdzie, oburzony wesołem życiem towarzyskiem w nieszczęściach krajowych, napisał satyryczny, ostry wiersz »Na tańcujący Kraków«. Lata następne przebył w Galicyi u krewnych i przyjaciół. Po ustanowieniu królestwa kongresowego powołany do senatu jako kasztelan, przesiadywał najwięcej w Warszawie. Nie drukował nic, a nawet pisał niewiele; ale pisał i poprawiał starannie Ziemiaństwo, o Czarnieckim już myślał i w całem ówczesnem życiu naukowem i literackiem był powagą może najpierwszą. Klasyk zawzięty, oburzał się namiętnie na nową szkołę romantyczną; nie mógł pogodzić się z jej sposobem tworzenia i pisania, a widząc tajne spiski i sprzysiężenia, obawiał się, że i tu poezya przyczyni się w pewnej mierze do wybuchu, który skończy się klęską. Przeciwny powstaniu, a zdanie swoje wypowiadający otwarcie przed jak i po 29. listopada, naraził się przez to tym, którzy wybuch ten gotowali, i poniekąd opinii publicznej, która spodziewała się po niem skutków innych, niż te, które on przewidywał, a które istotnie nastąpił

Po roku 1831. zamknął się na wsi, w Piotrowicach, skąd rzadko tylko i na krótko wyjeżdżał dla odwiedzenia przyjaciół. Nie drukował nic w przekonaniu, że pokolenie, wychowane na poezyi i krytyce romantycznej, wyśmiewałoby jego dzieła. Jedno tylko Ziemiaństwo, którego rękopism był zaginął i odnalazł się, wyszło w Wrocławiu staraniem Edwarda Raczyńskiego w roku 1839. Liczył jednak Koźmian na to, że sprawiedliwsza potomność nawróci się kiedyś do klasycznego smaku, i w tej nadziei pisał. Przedsięwziął wielki poemat bohaterski p. n. Stefan Czarniecki i nad nim usilnie pracował, przesyłając napisane ustępy starym, doświadczonym przyjaciołom, Morawskiemu i Wężykowi, i synowi starego przyjaciela, młodemu poecie, Zygmuntowi Krasińskiemu. Pisał też liczbę dość znaczną drobniejszych wierszy, epigramów i obszerne Pamiętniki; wszystko to wszakże, trzymane w zamknięciu, wyszło dopiero po jego śmierci. Umarł, gdy ostatecznie skończył i poprawił Czarnieckiego, w Piotrowicach, 7. marca, r. 1856.

Ze wszystkich klasycznych poetów tego okresu Koźmian jest najzdolniejszym jako poeta i najprawdziwiej klasykiem. On jeden między nimi nie ma nic wspólnego z Francuzami; w Rzymianach rozmiłowany, w tych się tylko wpatruje i tych naśladuje. O nim jednym można powiedzieć, że tak, jak poezyę pojmował, tak pisał ją zupełnie dobrze, i tak, jak chciał i zamierzył, tak wykonać umiał. On jeden (w swoim klasycznym rodzaju) ma poetyczny język i styl, który nie słabnie, nie zniża się, nie wpada w ton powszedni prozaiczny lub ckliwo uczuciowy. Styl ten, prawda, wyrabia się z biegiem czasu, w pierwszych latach jest cokolwiek sztuczny i konwencyonalnie podniosły. Ale już w tych początkach, w Odach, jest miejscami istotnie bardzo poważny i wysoki, w oburzeniu i karceniu niezwykle jędrny i silny. Z czasem kształci się on i w Ziemiaństwie jest doskonale do takiego dydaktycznego poematu dobrany, w epigramach i listach wyborny, świetny, w Czarnieckim poważny i uroczysty, . miejscami wspaniały. Z wysoką czcią dla poezyi i przejęty prawidłem Horacego »saepe verte stilum«, Koźmian pisał mało i pisał pomału, poprawiał bez końca to, co napisał,

i nie pokazał, aż kiedy się zbliżył jak mógł najbardziej do tego, co miał za doskonałość. Wergiliusz był dla niego najwyższym z poetów: pokusił się o naśladowanie Wergiliusza. W odach naturalnie trzyma się Horacego, ale za zadanie swego życia uważa ozdobić poezyę polską dziełami, któreby przypominały, a poniekąd zastępowały Wergiliusza. Georgiki, najdoskonalsze a zarazem najbardziej oryginalne dzieło rzymskiego poety, wydawały mu się przeznaczonemi na to, by ich naśladowanie stało się najbardziej narodowym poematem wiejskiego, ziemiańskiego społeczeństwa polskiego. Koźmian nie tai, że jego Ziemiaństwo jest naśladowaniem, owszem szuka z tego chluby: ale naśladowanie to zrobione jest rozumnie, przez biegłego artystę. Ma ustępy bardzo obrazowe, bardzo piękne (pożar lasów n. p., ustęp o koniu, pomór na bydło itd.); ma zwroty i dygressye pełne uczucia (np. o pługu i mieczu) i ma w pieśni czwartej treść, o jakiej się Wergiliuszowi nie śniło: obowiązki dziedziców względem poddanych, różne rodzaje grzechów społecznych, opisane w dosadnie, energicznie skreślonych typach. Myślą moralną i patryotyczną poematu jest sprawa włościańska.

Świetnie pisane (nie bez namiętności) są Listy (do syna Andrzeja i do Morawskiego) treści politycznej, w których Koźmian tłómaczy i opisuje nieszczęśliwe skutki, jakie spadają na sprawy publiczne, gdy do steru ich wezmą się ludzie niedoświadczeni albo niesumienni. Stylem i mocą wyrażeń Listy te przypominają Trembeckiego i z pewnością mu nie ustępują.

Stefan Czarniecki (wyszedł 1858.), poemat bohaterski w dwunastu pieśniach, na wzór Eneidy pisany, ma tę główną wadę, że jest historycznie zbyt dokładny, że obejmuje wszystkie niemal główne zdarzenia i bitwy wojen Jana Kazimierza; a ta wielka liczba faktów i scen obrazowo, plastycznie przedstawić się nie dała. Brakło na to czasu i miejsca. Ale pomiędzy epopejami sztucznemi ta należy do lepszych w literaturze europejskiej. Lepsza nierównie od Henryady Voltaira mogłaby stanąć na równi z Messyadą Klopstocka Ma ustępy bardzo wymowne, świetne; co zaś ciekawe, to wpływ, jaki wywarła nowa szkoła poetyczna na tego zaciętego

klasyka, wpływ nie na formę naturalnie, ale na treść. Myśl podstawna poematu zbliża się bardzo do tej, jaka tkwi na dnie niektórych dzieł Mickiewicza, a zwłaszcza Krasińskiego. »Wszystkie nieszczęścia wojen szwedzkich, kozackich i moskiewskich są karą Bożą za grzechy narodu. Bóg karę odwoła i wstrzyma, jeżeli się naród poprawi. Poprawił się istotnie na razie (przez konfederacyę Tyszowiecką), i Bóg dał mu zbawcę w osobie Czarnieckiego, przez zbawcę zwycięstwo«. Zastosowanie (nigdzie nie wypowiedziane, ale zrozumiałe) do czasów dzisiejszych jest to, że z najgłębszego upadku podnieść się można, byle złe, jakie w nas jest, poznać i przezwyciężyć.

W prozie jest Koźmian znakomitym, wybornym pisarzem i stylistą, a jego trzytomowe Pamiętniki są jedną z tych książek, z których najwięcej można się dowiedzieć o czasach księstwa warszawskiego i królestwa kongresowego i z nimi się zapoznać.

Przez swój talent, przez powagę, jakiej używał, przez to, że wmieszany był we wszystkie polityczne i literackie sprawy swego czasu, przez swoje polityczne jak literackie przekonania, przez same wreszcie swoje przesadne gniewy i uprzedzenia przeciw romantykom — jest Koźmian jednym z najwybitniejszych i najciekawszych typów swego czasu, a przez swój charakter, przez odwagę i stałość swego zdania, przez rozum i wysokie wykształcenie — jest jednym z jego typów i wyobrazicieli najszanowniejszych.

Stanisław hr. Tarnowski.

Wspomnienia moje od siódmego roku życia.
1779.

Ani w prywatnym ani w publicznym ani w literackim moim zawodzie nie odznaczyłem się tyle od innych, iżbym sobie mógł pochlebiać, że żywot mój wzbudzi ciekawość w potomności do poszukiwania wiadomości o mojem urodzeniu i sprawach młodości mojej. — Pisząc wspomnienia zdarzeń, których byłem świadkiem, dając obraz osób, z któremi żyłem, krótko tylko wspomnę o sobie, więcej dla wiadomości mojej późniejszej rodziny, niż dla powszechności. — Za życia mego mało o mnie mówiono, i te były najszczęśliwsze chwile mego życia; po śmierci tem mniej może będą mówili. — Nie jest to wyznanie pychy, przebranej w pozory skromności, jest to przeświadczenie się o sobie poczciwego człowieka, bo do tego tylko rodzaju słynności czułem w sobie żądzę.

Urodziłem się w województwie lubelskiem, w powiecie urzędowskim, we wsi Gałęzowie, w parafii Bychawie, z ojca Andrzeja Koźmiana, podówczas miecznika[1]), a potem sędziego ziemskiego[2]) lubelskiego, i z Anny

---

[1]) Urzędnik dworski, którego obowiązkiem było nosić miecz, oznakę monarszą, przed osobą panującego.

[2]) Sprawował sądy, zwane ziemskimi albo ziemstwami.

Kiełczewskiej, chorążanki[1]) lubelskiej. Ciekawych poznać dom rodzicielski, a w nim powzięte pierwsze moje wrażenia, odsyłam do żywota brata mego młodszego Józefa Koźmiana, biskupa kaliskiego, którym w późnym już wieku moim pamięć jego uczciłem. Byłem trzeciem z porządku dzieckiem, a drugim synem rodziców moich. Czytać i pisać uczyłem się od piątego do siódmego roku, od dyrektorów w tym celu przybranych, od niejakiego Jakowickiego, a potem Jurkowskiego, którzy mało co więcej umieli. W roku siódmym oddany zostałem do szkół exjezuickich do Lublina, wraz z braćmi mymi. Przeszedłem infimę[2]) pod księdzem Piotrowskim, a rektorem Wiercińskim, bez dyscypliny i batoga, i zasłużyłem na promocyę do gramatyki. W następnym roku przeniesiony zostałem wraz z braćmi i prawie wszystkimi uczniami z województwa lubelskiego do szkół zamojskich, gdyż urządzenia komisyi edukacyjnej szkół świeckich nie podobały się przesądnym ojcom, dlatego, że wychowania nie oddano wyłącznie duchownym i że nauki nie w języku łacińskim, lecz narodowym przepisano. Jakoż obywatele, szlachta województwa lubelskiego, nieprzestannie posłom swoim na sejmikach umieszczali *a capite*[3]) w instrukcyach upominanie się u papieża o powrócenie zakonu OO. Jezuitów. A lubo komisya edukacyjna, znając ważność położenia Lublina, który był wtedy teatrem zbierania się z całej Polski obywatelstwa, jako miejsce trybunału koronnego, przy którym po zwinięciu wojska

---

[1]) Chorąży pełnił swój urząd, tytułem wskazany, przy uroczystościach dworskich.

[2]) Najniższa klasa w dawnych szkołach polskich.

[3]) Na samym początku.

pieniactwo berło podniosło, lubo mówię komisya edukacyjna akademię krakowską z najlepszych profesorów tak świeckich jak duchownych dla Lublina obrała i kierunek szkół lubelskich duchownym powierzyła, nie nawróciło to przesądów, którym pochlebiali exjezuici przez pisma nowemu systematowi wychowania ubliżające i skrycie po domach rozrzucane. Przypominam sobie jedno pisemko pełne szyderstwa z nauki historyi naturalnej, którą za niepotrzebną wystawiało. Na pierwszej kartce tej książeczki pisanej wystawiony był niedorostek wiejski, siedzący na koniu tyłem do głowy i trzymający go za podniesiony ogon; widziałem, jak z ulubieniem czytając ją nasi ojcowie, śmieli się do rozpuku, powtarzając: »Po co dzieciom mozolić głowy nad tem, że się konia za wędzidło lub za grzywę, nie zaś za ogon prowadzi, co wie każdy pastuszek wiejski«.

Odebrano więc nas z Lublina i przeniesiono do Zamościa, gdzie nauki przez duchownych i w języku łacińskim wykładane były. Sam pod rektorami kolejno wybieranymi, księdzem Wątrąbskim, a następnie Rydubskim, kanonikami zamojskimi i razem proboszczami w ordynacyi, a nauczycielami klerykami Dobraczyńskim, Manugiewiczem, który potem został w królestwie kongresowem biskupem augustowskim, w trzech latach przebiegłem gramatykę i syntaxim[1]) w języku łacińskim, lecz oprócz wprawy w ten język i łatwego nim mówienia, prócz historyi świętej, nieco greckiej i rzymskiej, trochę geografii i arytmetyki do reguły trzech, niczego więcej nie nabyłem. Dyrektor zaś nasz Jurkowski, bez

[1]) Odpowiadała dzisiejszej 3. i 4. klasie gimnazyalnej.

poprzedniego przygotowania dorwawszy się filozofii i teologii, pod nauczycielem księdzem Kobylańskim, tak sobie zbałamucił głowę, że się rzucił w prozelityzm i zaczął nawracać żydów ciągłemi dysputami. — Gdy do szkół zamojskich Austryacy wprowadzili nowy porządek i język niemiecki, a szkoły wydziałowe lubelskie i przez wybór nauczycieli i przez przedmioty naukowe, w języku narodowym wykładane, i przez postęp w nich uczniów, zaczęły się wsławiać, przeniesiono nas z Zamościa do Lublina, a po odbytym egzaminie uznano nas zdolnymi do czwartej klasy. Jakoż przyznać należy, że szkoły lubelskie w początku swoim obsadzone były najznakomitszymi nauczycielami, kolejno pod rektorami, z duchownego stanu Franciszkiem Jezierskim, Kamelim, Treflerem, i mieściły na katedrach profesorów, którzy później stali się ozdobą dwóch akademii krakowskiej i wileńskiej i liceum krzemienieckiego. Czech, Szczyt, Przybylski, Girtler, Sołtykowicz, Zarzycki, zaczęli swój zawód naukowy w Lublinie; mieszali się z nimi i profesorowie exjezuici dla dogodzenia uprzedzonej za nimi opinii. Ksiądz Mysłowski był profesorem matematyki, ksiądz Śliwiński, sędziwy i zacny kapłan, był nauczycielem religii. Komisya edukacyjna, złożona z pierwszych osób w kraju, niczego nie zaniechała, coby się tylko przyłożyć mogło do otworzenia oczu narodowi uprzedzonemu na światło, którem go obdarzyć usiłowała, i do przekonania go, że w nowym porządku ani z przedmiotów ani z osób nic nie wyłączano, coby było pożytecznem, lecz tylko dodano, co było nieodzownie potrzebnem. Ignacy Potocki, od ów czas pisarz W. księstwa litewskiego, a potem ıarszałek, posiadający dobra Kurów w Lubelskiem i częɔ w nich przemieszkujący, miał sobie powierzoną

szeczególną opiekę nad szkołami lubelskiemi, w czem mu i książę Adam Czartoryski, generał ziem podolskich, mieszkający w Puławach, gorliwie pomagał; bo wtedy pozyskać opinię Lublina było to pozyskać opinię całej Polski. Mimo atoli tych starań i pieczołowitości, mimo ciągłych przestróg dawanych rektorom i nauczycielom, aby jako ludzie świeższych wyobrażeń nie czynili z nich popisu przed uprzedzonymi dawnej szkoły uczniami; a szczególniej aby praktyk religijnych jak najściślej dopełniali, a języka łacińskiego nie zaniedbywali, Ignacy Potocki miał zmartwienie być zmuszonym jednemu z profesorów gorzkie uczynić wyrzuty. Jacek Przybylski, profesor historyi a razem literat, wytłómaczył na język polski »Kandyda« Woltera [1]), wydrukował i przypisał mu; ta nieroztropność jednej chwili mogła na długo popsuć najszczęśliwsze początki zyskanej opinii. Gdy to dziełko oddawał Ignacemu Potockiemu, ten przeląkł się niespodziewanego prezentu, a godząc wielkim swoim rozumem delikatność dla uczonego, lecz mniej uważnego profesora z bacznością na skutki, przyjął, obdarzył tłómacza pierścieniem pod warunkiem, że mu wszystkie egzemplarze, które szczęściem jeszcze na świat nie wybiegły, odda; jakoż nie wypuścił ich na widok publiczny, a rad i przestróg profesorowi oszczędził. Z postępem czasu, pod takimi stróżami wychowania publicznego, rozwijały się coraz szczęśliwsze skutki; niedawno jeszcze uprzedzeni ojcowie zaczęli cenić po dzieciach korzyści z nowego wychowania, zaczęli uczęszczać na egzamina, uznawać

[1]) Voltaire, najznakomitszy i najpłodniejszy pisarz francuski (1694 do 1778), poeta (epop. Henryada), filozof (deista), historyk, publicysta. — „Kandyd“ powieść satyryczna.

postęp w naukach; sami się z niemi przez rozmowy z dziećmi i profesorami oswajali, a ugrzecznieniem czerpanem z wzorów ich nauczycieli cieszyli. Jakoż młodzi profesorowie dobry i pociągający do siebie dawali przykład, stąd jak z początku podzierano [1]) ich i stroniono od nich, tak potem zapraszano w towarzystwa prywatne i publiczne i żadna uczta, żaden obchód nie odbył się, szczególniej w dni wolne od nauk, na którejby się rektor lub prefekt z kilku akademikami nie znajdywali. Gospodarz byłby się sądził upośledzonym, żeby w osobach ludzi uczonych nie oddał tego hołdu naukom, a świadectwa sobie, że się z niemi sprzyjaźnia.

Pod takimi profesorami, przez lat cztery, przeszedłem cztery klasy nauk inclusive [2]); wszystkim winienem nieśmiertelną wdzięczność za ich usilność, z jaką dostrzeżone we mnie niejakie zdolności i chęci do nauk rozwijali, szczególniej zaś winienem ją nauczycielowi wymowy i poezyi Józefowi Girtlerowi; ten wszczepił we mnie smak do pięknej literatury, ten oswoił z dobrymi starożytnymi i narodowymi wzorami, tak w prozie jak w wierszu, ten wskazał drogę zdrowego rozsądku i dobrego smaku. On dając mi do wyrabiania w różnych rodzajach wymowy i poezyi przedmioty, a spostrzegłszy we mnie czułość na pochwały, a zbytnią drażliwość na nagany, zawsze zaczynał od pochwał, a przygany słodyczą zaprawiał. Gdy usłyszał jaki okres ciemny lub wyszukany, mówił: »Tego nie dość rozumiem, wytłómacz się ze swych myśli«, a gdy spostrzegł albo fałszywe myśli albo niewłaściwie oddane, mówił: »Nigdy nie pisz tego, czego

---

[1]) Podejrzywano.

[2]) Włącznie.

wprzód w głowie dobrze nie strawisz i z czego sam sobie rachunku zdać nie potrafisz; skoro to myślałeś, to tak trzeba było wyrazić« — i swojem jędrnem tejsamej myśli wysłowieniem przekonywał, że zdrowej i dobrze pojętej myśli nigdy jasność stylu nie odstąpi. »Umiej, mówił, poświęcać osobliwość prostocie i naturalności, bo tylko to piękne, co naturalne i niewyszukane; to, co jeszcze nie było słyszanem, może na chwilę unieść, nawet zadziwić, ale tylko to, co prawdziwie snadne i niewymuszone, stale i zawsze się podoba«. Pod takim nauczycielem wkładałem się w prawdziwość myśli i w jasność wysłowienia; nie wiem, czy tego dopiąłem w moim literackim zawodzie, ale zapewne za samą usilność i pilność we wszystkich innego rodzaju naukach, za jednozgodnym sądem moich nauczycieli, w trzecim roku mojego uczęszczania do szkół lubelskich miałem sobie przyznany medal złoty *Diligentiae*[1]). Otrzymałem go, gdy po raz pierwszy te nagrody po szkołach rozesłane zostały, i na publicznym egzaminie prezydent trybunału ksiądz Sołtyk exreferendarz[2]) przypiął mi go do piersi.

Po ukończeniu szkół wydziałowych miałem być, wraz z starszym bratem Wincentym, wysłanym dla ukończenia nauk do akademii krakowskiej, gdy wynikły spór między akademią a kapitułą krakowską z przyczyny mowy księdza Bogucickiego profesora historyi, wobec króla wyrzeczonej, której kapituła kacerstwo zarzucała,

---

[1]) Za pilność.

[2]) Były referendarz, wyższy urzędnik, biegły w prawie, który zażalenia prywatne odnosił do kanclerza dla przedstawienia królowi. Od czasów Zygmunta III referendarze sami już sądzili sprawy.

zraził ojca mojego bojaźnią zarażenia synów niereligijnością. Ksiądz Wybranowski, kanonik krakowski, sędziwy starzec, a krewny nasz z matki, radami swemi odwrócił ojca od tego zamiaru. Zbliżał się też sejm 1788. roku, polityczne wypadki zajęły ojca mojego. Opisałem w żywocie brata mego Józefa Koźmiana, biskupa kaliskiego, powody, które go skłoniły do oddania starszego syna w służbę pruską, młodszego do seminaryum warszawskiego, mnie do palestry lubelskiej, do mecenasa Józefa Podhorodeńskiego, dawniej swego dependenta, później wdzięcznego przyjaciela, zacnego człowieka, gorliwego patryoty, tegosamego Podhorodeńskiego, który w powstaniu Galicyi zachodniej szwadron jazdy swoim kosztem wystawił.

Kończąc opisanie mego zawodu szkolnego, dodam tu jedną starego wieku uwagę dla okazania moim współziomkom tych wielkich zasług, jakie komisya edukacyjna i mężowie ją składający, wraz z Stanisławem Augustem, w kraju swojemi mądremi szkół urządzeniami położyli. O czem wspomniałem w przypiskach moich do Ziemiaństwa polskiego, tu obszerniej powiem, jako naoczny świadek, jaki te urządzenia w kształceniu młodzieży wywarły wpływ na obyczaje młodego plemienia, przez uchylenie całkowite cielesnej chłosty i zaszczepienie uczucia godności człowieka, i jak to plemię znowu, tak odróżniające się oświeceniem, ludzkością i słodyczą, wpłynęło nieznacznie na surowych ojców, że ci wobec nich zawstydzili się swoich uprzedzeń, swego groźnego z dziećmi, a następnie z sługami i włościanami obchodzenia. Już ni w dzieciach swoich nie znajdowali chętnych wykonwców swoich surowych rozkazów, lecz służący, włoianie zyskiwali w nich swoich patronów i wstawicieli.

Przypominali sobie sami młodość swoją, z jaką trwogą i płaczem przenosili się do szkół, bo choć z pod groźnej rodzicielskiej, ale zawsze rodzicielskiej władzy podchodzili pod zwierzchność groźniejszą i srogą niemiłosiernym batogiem. Widzieli, jak ich synowie, szczególniej z domów surowszych rodziców, z ochotą a nawet i z radością śpieszyli do szkół akademickich, gdzie w nauczycielach nie groźnych zwierzchników, lecz łagodnych przyjaciół, doradców, przewodników i prawdziwych ojców znajdowali. Zaczęli się więc spostrzegać i przekonywać ojcowie, że groźne prowadzenie młodzieży wszczepia w jej serce twardość, uporczywość, surowość i głuchą ją czyni na płacz ludzkości, i uczuli w sobie przyczyny tego w groźnem z nimi postępowaniu i w domu rodzicielskim i w szkołach; spostrzegli, że przez wkorzeniony nałóg nic innego nie robią, tylko dzieciom, sługom, włościanom oddają tesame razy, które w szkołach od swoich nauczycieli odbierali; aż nakoniec pozbyli się tego fałszywego wstydu, przyznać się, że błędnie wychowywanymi byli, który najtrudniejszym jest do zgwałcenia, bo upokarza przed młodszem od siebie pokoleniem.

Jeden przypominam sobie zarzut, który uczniowie jezuickiego wychowania czynili nowemu sposobowi wykształcenia. »Nas, mówili, uczono w szkołach jezuickich na rekreacyach bić się w palcaty; umieliśmy i umiemy przez to dobrze szablą machać: czemu zaniedbują tego ćwiczenia po teraźniejszych szkołach?« Nie zaniedbywano — ale w innym i przyzwoitszym sposobie zamiast bójki na palcaty, z której niejeden mniej zręczny i silny z przeciętą i skrwawioną twarzą wyszedł, wprowadzono musztrę drewnianymi karabinami, a w dni rekrea uczniowie pod dowództwem profesorów szli na plac

miasto, śpiewając strofę Krasickiego: »Święta miłości kochanej ojczyzny« lub marsz Naruszewicza:

> Królu, któryś naród oświecił,
> Męstwo — cnotę — honor w nim wzniecił.

A więc ojcowie przekonali się, że inny tryb wojowania innego ćwiczenia wymagał. Jakoż ta wprawa w palcaty, usposabiając do machania dobrze pałaszem, była może pożyteczną i dobrze wymyśloną wtedy, gdy szabla polska zbijała spisy kozackie, tureckie bułaty i kindżały tatarskie, lecz po zwinięciu wojska pod Augustem II r. 1717., w głębokim pokoju, namnożyła niepożytecznych rębaczów, bunducznych zuchów, bezczelnych burdów i junaków, zuchwałych napastników, sierdzistych na zajazdach przewódców. Tę sztukę, dobrze władania pałaszem, męstwo wrodzone Polakom wyczerpywało dawniej na placu wojny, a pod naszemi oczyma chęć popisywania się tem, co najlepiej umiemy, i zwykły szlachcie polskiej a podobno i całemu sarmackiemu plemieniu szafunek jego na plac sejmików, zajazdów, jarmarków, odpustów, a nawet uczt i obchodów publicznych przeniosło, tak, że rzadkie było zgromadzenie, na któremby się nie kłócono, nie wyzywano, nie rąbano, i nieraz obrusy stołowe winem z krwią pomieszanem skrapiane bywały. W województwie lubelskiem były niektóre familie, co tę bezecną wadę junakieryi, jako szczególną cechę, równo z herbem szlachectwa zachowywały i jak zaszczyt jaki pielęgnowały. Rodzina Trzcińskich szczególniej się nią odróżniała. Znałem trzech braci rodzonych z tego rodu, ynów urzędnika wojewódzkiego dobrze osiadłego, wszyscy rzej mieli Herkulesa wzrost i postacie, nosili przy boku ałasze tak szerokie, jak katowskie miecze, przybrali do

siebie dwóch podobnych atletów, Zaniewskiego i Dębowskiego, a gdzie się pokazali, już się tam bez burdy i rąbaniny nie obeszło; a że podówczas kto przewodził na sejmikach, ten najwięcej znaczył i również panowie możni jak dwór takich poszukiwali, szablą więc i kielichem zjednali sobie protekcyę u Michała Granowskiego, sekretarza wielkiego koronnego, krewnego i faworyta króla, który burmistrzował w Lubelskiem, a za jego wstawieniem się jeden został podstarostą lubelskim mianowanym przez Mniszcha, marszałka wielkiego koronnego [1]), a drugi podsędkiem [2]). *O praeclarum custodem ovium*! Byłem prawie naocznym świadkiem, jak pierwszy niemiłosiernie obdzierając Żydów, a ujęty podarunkiem izraelity, kolegę swego, pisarza grodzkiego Skarszewskiego, czyniącego mu uwagi nad krzywem jego zdaniem, porwał na ustępie w swoje niedźwiedzie łapy i ledwie nie udusił, tak, że na krzyk jego publiczność wpadła z ustępowej izby do audyencyonalnej. Drugi podobnie w moich oczach na obiedzie publicznym, z przyczyny uroczystości imienin królewskich danym, obywatela, szlachcica Józefa Pulikowskiego, do którego miał urazę, porwawszy się od stołu w twarz uderzył, skrwawił i nogami skopał, że ten ledwie przez kolegów swoich wydarty mu został. Widziałem, gdy oficera polskiego, niejakiego Ostrowickiego, że mu się jego rozmowy nieco mniej religijne nie podobały, w twarz publicznie uderzył, a ten go na pistolety wyzwał. Pan podsędek strzelać się

---

[1]) Wysoki urzędnik, minister dworzan i urzędów dworskich. Znajdował się zawsze przy boku królewskim.

[2]) Podsędek wchodził do składu sądu ziemskiego, gdzie przewodniczył sędzia, którego zastępcą był podsędek.

nie chciał, z natrząsaniem się odpowiedział: »Ja bluźniercy Najświętszej Panny w łeb strzelę z okna, jak chrześcianin, a nie splamię się wyjściem na pojedynek«. Znałem wielu jeszcze podobnych, a szczególniej niejakiego Konstantego Janikowskiego, sławnego rębacza i burdę, już nie jednego województwa, lecz całego kraju. Był to jurgieltowany Achates [1]) hetmana wielk. koron. [2]) Branickiego; był on wzrostu małego, lecz niezmiernie barczysty, szeroki, karku niesłychanie grubego, twarzy obszernej, zgoła lwiej postaci i siły. Gracz, rębacz, strzelał z pistoletów jak nikt i kielichom dobrze podołał; ten mniej był napastliwym, lecz wezwania żadnego nie odmówił, pod tym względem był w całej Polsce sławny. Bez jego sekundy [3]) żaden prawie w kraju nie odbył się pojedynek; w wydarzonym takim wypadku zaraz rozbiegały się sztafety szukać Janikowskiego, a gdzie on się ukazał, strach ogarniał przeciwną stronę, bo już poprzedzała go sława niejednego antagonisty sprzątnionego ze świata na odbytym pod jego kierunkiem pojedynku. Przecież gdy tę burdacką broń potrzeba było podnieść w r. 1792. na obronę ojczyzny, mało gdzie napełniły się pułki tymi rycerzami, a wielu, którzy wstąpili do szeregów, męstwo odbiegło. Wychowańcy szkół zaprowadzonych przez komisyę edukacyjną, uczniowie szkół pijarskich, szkoły rycerskiej, konwiktów Teatyńskich, Kościuszkowie, Poniatowscy, Mokronowscy, Potoc cy

---

[1]) W znaczeniu: przyjaciel; Achates był towarzyszem i przyjacielem Eneasza.

[2]) Naczelny wódz sił zbrojnych; oznaką jego władzy była buława większa.

[3]) Bez jego obecności.

Wielohorscy, Łaźnińscy, Lipowscy, Jerlice i wielu innych, łamali zastępy nieprzyjacielskie i krwią swoją hojnie szafowali, a brygada Biernackiego, po większej części złożona z wąsatych burdów, a od białych kapot kapotową nazwana, pierzchnęła pod Dubienką i popłoch rozniosła. Podczas powstania Kościuszki owi rębacze, owe zuchy lubelskie, o których wyżej wspomniałem, cóż zrobili? Jeden przybrawszy na siebie kaftan z czarnej juchtowej skóry, jak ową zbroję Achillesa, przez całe powstanie przejeżdżał się po ulicach Lublina, werbował podobnych junaków, zbierał legię z trupiemi głowami i z godłem Śmierć lub Zwycięstwo i ani sam na bój wyjechał ani swej legii nie wyprowadził w pole. Drugi położył się w łóżko i udawał chorego na pedogrę, chociaż na świeżo odbytym sejmiku rąbał się z szlachtą na ulicach. Nie kazał sobie krwi puścić jak Mokronowski, chociaż o tem słyszał.

Trudno tego bezstronnie nie przyznać, że jak owa generacya za dwóch Augustów wychowana, tonąca że tak powiem we wszystkich politycznych wadach zeszłych wieków, wyzuta z wszystkich zalet oświecenia, męstwa, wyobrażeń o cnocie i honorze, skażona i spodlona pijaństwem, pieniactwem, rozpustą, fanatyzmem, chciwością, przekupstwem, przybliżyła przygotowaną od dawna Polsce przez jej instytucye zgubę i do tego stopnia ohydziła nas w Europie, że nie tylko szacunek, lecz politowanie świata nam odjęła; tak przeciwnie młode pokolenie, pod Stanisławem Augustem zrodzone i przez komisyę edukacyjną wychowane, przez usiłowania swoje poprawienia wad ojców, przez szlachetne poświęcenie się i wytrwałe zapasy z przygotowanym nam losem, lubo od wielkich błędów politycznych nie wolne, przynajmniej krzywdzącą

opinię o charakterze polskim przejednało, szacunek Europy pozyskało i niejaką chwałą naród zaszczyciło. Kto się chce przekonać, czem była szlachta polska za czasów dwóch Augustów, niech czyta Otwinowskiego; kto chce wiedzieć, czem był szlachcic polski, ma jego żywy obraz w pamiętnikach Paska i w jego samego osobie, mniej zaletą męstwa, które były cechą wieku Jana Kazimirza i Sobieskiego, w którym on żył.

Wspomnienia moje ze szkół pojezuickich.

Oddanego do szkół lubelskich, dwa przedmioty naprzód uderzyły i zajęły: kollegium pojezuickie i ratusz trybunalski. Na widok pierwszego drżałem z bojaźni, widok drugiego przyciągał moją ciekawość, bo tam ojciec mój jako mecenas od kratek mawiał, a z okien kamienicy Nossadynich w rynku, gdzieśmy umieszczeni byli, gdy w niej i w ratuszu okna w lecie otworzono, głos ojca słyszeć można było. Ratusz ten nie miał tej ozdobnej postaci, jaką go ręka Stanisława Augusta później obdarzyła. Była to wielka czworograniasta kamienica, mająca wprawdzie teżsame obszerności rozmiary, lecz na pół prawie opustoszała, z ukrytym dachem, dół tylko był w niej sklepiony, i tylko jedno miała piętro z małemi oknami i z powałą z belkami wystającemi. Wchód na to piętro był ze dworu przez ganki drewniane i schody przyczepione do ścian murowanych. W środku były ogromne trzy czy cztery sale, w jednej stał stół wielki, długi, otoczony drewnianemi balustradami; na początku stołu pod ścianą między dwoma oknami wyższe o jeden stopień

miejsce i dwa wielkie safianowe krzesła dla marszałka [1]) i prezydenta; stół nakryty suknem zielonem, ławki na około z poręczami obite suknem czerwonem; na stole przed marszałkiem na prawej stronie laska długa hebanowa w srebro okuta i dzwonek, przed prezydentem krzyż duży srebrny z Panem Jezusem ukrzyżowanym, w środku spora skrzynka srebrna pięknej roboty na grzywny, to jest kary pieniężne od pieniających się. Na drugiej stronie stołu od drzwi w małym ustępie na trzech wyniosłych stopniach miejsce wszerz całego stołu dla mecenasów, to jest obrońców prawników, które to miejsce nazywano kratką, że wyniosłością swoją przed ich piersiami pułka przesłaniała ich od sędziów. W środku tej kratki krzyż wielki, wyniosły, czarny z Panem Jezusem, na którym wzdłuż wielkiemi literami był umieszczony napis *Justitias vestras iudicabo* [2]). Już to nie był ów pierwotny krucyfix, może jeszcze przez Jana Zamojskiego, twórcę najwyższego trybunału sprawiedliwości sprawiony; tamten jako cudowny od owej sławnej sprawy pokrzywdzonej wdowy, nad którą zapłakał, a jak powieść niosła, Bóg do niego przybity zesłał szatanów na powtórne osądzenie tej sprawy, po którem nieprawi sędziowie karki połamali wchodząc po schodach — ów więc cudowny krucyfix do kaplicy kollegiaty przeniesiony został i tam uroczystem ciągle nabożeństwem czczony i błagany bywał. Ściany sali sądowej były po części nagie. Za marszałkiem

---

[1]) Obowiązkiem marszałka było czuwanie nad bezpieczeństwem króla, zarząd dworem królewskim i utrzymywanie porządku w miejscu pobytu króla. Oznaką jego władzy była laska; sprawowali oni także sądy.

[2]) Będę sądził waszą sprawiedliwość.

na ścianie wisiał wielki portret naturalnej wielkości Augusta III w stroju polskim, w jakim się koronował, z czupryną podstrzyżoną, w żupanie białym, w kontuszu aksamitnym karmazynowym, w pasie bogatym przy karabeli, z berłem w ręku. Na ubocznej ścianie podobnie portret Małachowskiego kanclerza naturalnej wielkości, w żupanie ponsowym, kontuszu białym. Właściwiej byłoby było umieścić portrety Stefana Batorego i Jana Zamojskiego, jako twórców trybunału. Nie pomnę, czyli wisiał i gdzie obraz Stanisława Augusta, który w późniejszym ratuszu po jego odmurowaniu widziałem. Nad wchodowemi drzwiami do sali był zawieszony podłużny obraz niewielki świętego Tomasza, w którego święto zwykł się był trybunał limitować, z napisem łacińskim:

Ille ego, qui facio privatum ex Consule civem;
Ante meam privant vos male facta diem [1]).

Drugie wrażenie, po którem zostały we mnie głęboko zagnieżdżone wspomnienia, uczyniło na mnie kollegium pojezuickie. Pozostały mi w pamięci i mury tego ogromnego klasztoru i osoby zgromadzenie jezuickie dawniej składające. Kollegium to zajmowało z jednej strony trzy części dość długiej ulicy pojezuicką zwanej, z drugiej strony część wielką Korców aż do kamienicy Grajewskich. Miało dwa dziedzińce, jeden ze studnią w środku klasztoru, w kwadrat na trzy piętra murowanego, drugi między facyatą wspaniałego kościoła; ten

---

[1]) Oto ja, który czynię z konsula obywatela zwykłego. Przed moim terminem usuwają was z urzędu złe czyny. — Obszerniejszy opis trybunału lubelskiego, drukowany w „Gazecie Codziennej“, znajduje się w osobnym rozdziale. *Przypisek wydawcy.*

był z obydwóch boków opatrzony wielkiemi furtami. Od ulicy pojezuickiej miał nad bramą sklepioną i mieszkalną piętro, nad niem wielką wieżę, wśród której na grubych dębowych wiązaniach zawieszone były trzy dzwony, z tych jeden szczególniej był obszernej wielkości, głosu ponurego i jęczącego i tylko do wielkich uroczystości rozkołysany bywał, gdyż samo serce jego do poruszania się kilku potrzebowało ludzi. Szkoły, konwikt, ciągnęły się dwoma piętrami, jak rzekłem, przez całą ulicę, aż ku kamienicy Wybranowskich i Dominikańskich, które stykały się z kamienicą pojezuicką, niegdyś mieszkaniem rezydentów [1]) i rezydentek pobożnych. W tym gmachu, na dole sklepionym, były szkoły niższe aż do retoryki [2]); wyższe, teologia i filozofia, mieściły się na pierwszem piętrze, równie jak konwikt szlachecki. Była to budowla, dwoma pawilonami przytykająca do kościoła, mająca dziedziniec osobny, wchody i na wstępie na pierwszem piętrze piękną obszerną Najświętszej Panny kaplicę, w której uczniowie mszy codziennej zwykli byli słuchać. Kościół ten i klasztor zgorzał był roku 1740. Są sławne wiersze na pogorzelisko jego, przekręconym na niemiecki dyalektem polskim pisane, pełne płaskich konceptów i trywialnych wyrażeń, które im śmieszniejsze były, tem więcej podówczas bawiły głowy jałowe. W tym stanie, w jakim ja go ujrzałem, odbudowali go byli architekci z Włoch przez zakon sprowadzeni, a malarze wewnątrz go ozdobili. Najwięcej uderzyły mnie wspaniałość kościoła, organy, malowania, optyka ich i po większej części

---

[1]) Szlachta, która, nie mając własnego mienia, bawiła na łasce drugich.

[2]) Retoryka: dzisiejsza 6. klasa gimnazyalna.

marmurowe ołtarze. Nie wiem, dlaczego wielki ołtarz, acz wspaniały, był drewniany. Nabożeństwa też, szczególniej w uroczystości, bywały świetniejsze niż w innych kościołach. Na święto Niepokalanego poczęcia Najświętszej Panny exzakon, trybunał, palestra i szkoły, wszyscy *Sodales Mariani* [1]) ubiegali się, aby je jak najwspanialej obchodzić w kościele jezuickim, i przesadzali się na świece do procesyi. Jak trzy kaplice ku temu obrządkowi przeznaczone były, tak trzy obrazy Najwiętszej Panny, w bogate srebrne i złote sukienki przybrane, przez te trzy korporacye sprawione i wotami obciążane, przez trzy dni kolejno obnoszone bywały w procesyi po kościele i w kaplicach składane na ołtarzach. Pierwszy obchodził tę uroczystość trybunał; marszałek i prezydent nieśli swój obraz, a za nimi postępował szereg deputatów duchownych i świeckich i tłum obywateli i ludu. W drugim dniu obchodziła palestra [2]); nieśli obraz najstarsi mecenasi, za nimi postępowali młodzi prawnicy, dependenci i tłum pobożny. Trzeci dzień należał do studentów. Niosąc obraz, szli *Sodales Mariani*, za nimi uczniowie szkół z profesorami na czele i natłok rodziców i ludu. Przesadzano się szczególniej na świece jarzące, które każdy niósł w ręku; niektóre ważyły po kilkanaście funtów, że ledwie udźwignione być mogły. Rodzice przez pobożną próżność starali się, aby mieszczanie nie upośledzali ich dzieci. Ja sam dźwigałem za dukata tak ciężką na mój wiek i siły świecę, że w krótkim przechodzie przez dziedziniec, między kaplicą studencką a kościelną, upadłem w śnieg, świecę zgasiłem, i to mi się dobrze wyryło w pamięci.

---

[1]) Towarzysze Maryańscy; bractwo ku czci Panny Maryi.
[2]) Prawnicy.

Kościół wewnętrznie i zewnętrznie, facyata jego, klasztor, bramy, wieża od kościoła i od ulic, błyszczały tysiącem jasnych i kolorowych lamp, huczały organy i kapela trybunalska, zewnątrz jęczały dzwony na wieżach, grzmiały moździerze i strzały garnizonu poza kościołem i na ulicach. Msze, wotywy, kazania w kościele, egzorty, spowiedź po kaplicach, zacząwszy od rana, ledwie z krótką przerwą, przeciągały się aż do północy. Dodajmy do tego niesłychanie bogate aparaty na ponsowym aksamicie, tak grubo srebrną i złotą nicią przetykane, że się kapłani silnego wzrostu pod nimi uginali, a łatwo pojętem będzie, jakie to czyniło wrażenie na młodocianych umysłach. Mimo tej atoli wspaniałości mówiono już wtenczas: »świetniej bywało za OO. jezuitów«; raczej zapytaćby się niejeden powinien, skąd exjezuici, już obrani wtedy ze swoich dóbr i funduszów, mogli wystarczyć wydatkom na podobną wystawność. Mnie się zdaje, że pobożna gorliwość publiczności wiele się przykładać musiała; przytem między członkami tego zwiniętego zgromadzenia wielu znajdowało się z pierwszych a najzamożniejszych rodzin, nie tylko wojewódzkich, lecz całej Polski, którzy swoich dostatków nie żałowali na tę wystawę, co jak wprzódy wiele przyczyniało się do wziętości zakonu jezuickiego, tak wznowienie tej świetności obrządku, przypominając ziomkom ten zakon, miało na celu wzbudzenie żalu po jego zniesieniu.

Ale zapędziłem się w uwagach o jezuitach, a odbiegłem od szkół pojezuickich. Infima, szkoła, do której wszedłem, była wielka izba sklepiona, mogąca pomieścić trzystu studentów. Między oknami stała na wyższym stopniu katedra dla profesora, przed nią ławka, wypłowiałem czerwonem suknem wybita, i dwie w poprzek

takiesame, po obu katedry bokach. Naprzeciw katedry kilka podłużnych przez całą izbę ławek polerowanych woskiem, dalej w odstępie znowu dwie lub trzy ławki stolarską robotą, nakoniec pod murem długa gruba ława na podkładach drewnianych. Pierwsze ławki zajmowali sami panicze, koleją pilności podzieleni na kurye, ławki naprzeciw katedry zasiadała uboższa szlachta, a ostatnią mieszczanie; ława zaś była zajęta przez *bursów* i *pauperes*[1]), z których kilku już było pod zawiesistym wąsem, a ledwie czytać i pisać umieli. Mówiono mi, że za OO. jezuitów wprowadzony jeden z podobnych wąsalów, gdy wchodził do szkoły, zapytany został przez profesora (dla dowiedzenia się, czy szlachcic): *cuius generis?*[2]) odpowiedział, czy przez żart czy przez głupotę: *masculini*[3]). Zaco zaraz pytający przywitał go boćkowskiem narzędziem. W boku bowiem tej szkoły była komórka dość ciemna, z małem oknem, gdzie wisiały na ścianie batog i dyscyplina, gdzie niedorosłych delinkwentów niemi lub rózgą karcono. Co dzień niektórzy z wypadków, a co sobota prawie każdy tego rodzaju napomnienie otrzymywał. Każdy bowiem dekurion lub censor składał profesorowi katalog swoich spostrzeżeń w szkole, w kościele, na rekreacyi uczynionych. Były to małe książeczki zarubrykowane kategorycznie słowami, *loquebatur*, *circumspiciebat*, *ridebat*, *nesciebat*[4]) itd. W tych rubrykach były powyrzynane narzędziem trójkątnem miejsca; te wyrzynania mogły się podnosić i za-

---

1) Ubogich.
2) Jakiego rodu?
3) Męskiego.
4) Rozmawiał, oglądał się, śmiał się, nie umiał.

ginać; podnosili je i zaginali ci podstrzegacze, pod każdem nazwiskiem studenta w razie powyższego uchybienia. W sobotę następowała rewizya katalogów i egzekucya, do której zwykle owi wąsacze używani bywali.

Trzeciego pamiętnego wrażenia doznałem z przejazdu z Puław księcia Adama Czartoryskiego, generała ziem podolskich, na Podole do dóbr swoich. Już w wigilię przejazdu tego książęcia przechodziły wielbłądy niosące na sobie rozmaite ciężary, ubrane i okiełznane w rozmaite trzęsidła, dzwonki, którymi potrząsały; prowadzili je udani Arabowie czy Turcy; pierwszy raz widziałem te gorącego klimatu zwierzęta. Nazajutrz całe Korce i część krakowskiego przedmieścia napełniły się licznymi pojazdami, karetami, koczami, landarami, brykami; tłok był nadzwyczajny, bo niełatwo było pomieścić takiej karawany. Książę przyjechał sześciokonnym pojazdem; furmani, forysie w ferezyach, a przy pojeździe hajducy wysokiego wzrostu. Najwięcej mnie uderzyło czterech czy sześciu pokojowców szlachty, na dzielnych koniach w ubiorze tatarskim, z sajdakami, strzałami i łukami otaczających powóz księcia. Było to świeżo po śmierci ojca jego, książęcia Augusta, wojewody ruskiego. Książę miał pałac w Lublinie, lecz że ten zawsze był zamieszkany przez deputatów, patronów i przyjaciół Czartoryskich i nie mógłby był objąć takiego mnóstwa asystencyi, z jaką się książę w podróż wybrał, wysiadł więc do kollegium pojezuickiego, do apartamentów prefekta, wprzód zamówionych i przygotowanych. Witały go szkoły oracyami łacińskiemi; brat mój starszy prawił tę oracyę od infimy. Książę był ubrany w surdut munduru gwardyi litewskiej, jak go powszechnie malują na portretach, koloru granatowego z karmazynowemi wyło-

gami, obwódką złotą. Słuchał cierpliwie peror, pytał się dzieci o ojców, głaskał wielu, ojcom kłaniać się polecił, nakoniec rzekł do prefekta: »Mości księże prefekcie, proszę o jedną łaskę dla mnie, a ta będzie trzy dni rekreacyi dla tej młodzieży«. Rozjaśniły się nasze czoła; odszedłszy skacząc z radości, ledwieśmy nie pospadali ze schodów. Święcie dotrzymano nam słowa. Książę dzień jeden bawił w Lublinie, otoczony był wielu przyjaciółmi i dworskimi; poznałem przy nim oboźnego[1]) wielkiego koronnego Witosławskiego, domowego książęcia Adama przyjaciela, i stąd przyjaźnią złączonego z ojcem moim. Nie znałem w całem życiu mojem dorodniejszego, piękniejszego i razem poważniejszego Polaka. Mówiono wówczas, że wyższy wzrostem, twarzą i postacią, podobnym był do Jana III. Sobieskiego; ubierał się bardzo pięknie, miał na sobie mundur kawaleryi polskiej: żupan biały, kontusz granatowy z karmazynowemi wyłogami, na około srebrnymi haftami grubo obłożony, i pas bogaty; ta postać jego głęboko w pamięci młodej wyrytą została.

Lublin nie przedstawiał się podówczas oku w takiej, w jakiej jest teraz postaci; nosił on na sobie smutne i nienaprawione jeszcze ślady dwóch wojen szwedzkich, rosyjskiej i ostatniej świeżej za konfederacyi barskiej. Po trzykroć spalony i spustoszony, w większej połowie swego dawnego stanu był napełniony sterczącymi i opalonymi murami lub zasuty gruzami, i słabo się z nich dźwigał. Krakowskie przedmieście od bramy Świętoduskiej ledwie jeden dom wielki w całości, kamienicą

---

[1]) Oboźny: wyższy urzędnik wojskowy, mianowany początkowo przez hetmana, a od r. 1776. przez króla.

Tomasza Węgrzyna zwany, zachowało; małe kamieniczki o dwóch lub trzech oknach, z facyatami na jedno piętro murowanemi i z tyłu z drewnianemi zabudowaniami, w gęstych przez rudery przerwach stanowiły jedną stronę ulicy, na przeciwnej połaci tensam obraz. Zaczynał ulicę od krakowskiego wjazdu dom nowy, drewniany Rojewskich, na kształt dworu, zajezdny, a kończyły ku bramie krakowskiej kamienice opustoszałe i okopciałe. Na Korcach za pojezuickimi gmachami jeden tylko dom wyreperowany Grajewskich, a potem Gizowskiego węgrzyna. Ulica Grodzka w podobnie nędznym stanie. W samym rynku, na wszystkich czterech połaciach kamienice po większej części puste lub w gruzach, prócz pięknych kamienic Makarewiczów, Stefanowskiego, handlujących winem, starożytnej struktury kamienicy Zdzarskich i odbudowanej Nossadynich, reszta domów niemieszkalnych lub tylko mieszkalnych na dole. Gmachy które pałacami nazywano, Radziwiłłowski pod Reformatami, Sapieżyński naprzeciw kollegium pojezuickiego, Sanguszkowski naprzeciw Wizytek, w gruzach; większa liczba klasztorów w części tylko zamieszkałe. Cóż mówić o bramach krakowskiej, żydowskiej: i bramy i mieszkania na nich zwaliskiem groziły. A kiedy chrześciańskie ulice i rynek były w tak opłakanym stanie, łatwo sobie wystawić, czem było przedmieście żydowskie i cała jego ulica, jedna od Tatar, druga od spalonego i opustoszałego zamku prowadząca, przy którym dom lichy mieścił archiwum grodzkie, skład obywatelskich majątków, bo ziemskie i trybunalskie w dominikańskim klasztorze jako w komornem[1] spoczywało. To przedmieście żydowskie, złożone z kamie spalonych i z karczem zajezdnych drewnianych, ton w błocie, w kałużach i śmieciach, które niechlujst

tego ludu w ogromnych kupach jako starożytną spuściznę zachowywało i powiększało. Prócz rynku, żadna ulica nie znała bruku. Od ulicy pojezuickiej nie można się było dostać suchą nogą do ratusza, trzeba się było na koniu babrać i zabryzgiwać, bo pojazdem dla kałów i bojaźni wywrotu puszczać się było niebezpiecznie. Ojciec mój sprowadził sobie ze wsi wielkie i grube ławy czyli pokłady, którymi kazał usłać trotoar pod murem szkolnego gmachu, aż do pustej przechodniej kamienicy Sztoka aptekarza, o czem mówiono jak o rzeczy nadzwyczajnej i nazywano je Koźmianowskiemi ławami. Żadnej policyi w mieście, żadnej straży od ognia i żadnych narzędzi, chociaż był magistrat, który się w lichej kamienicy własnej na Kapitulnej ulicy mieścił, a starosta lubelski miał obowiązek czuwania nad porządkiem i bezpieczeństwem. Był nim podówczas Jan Zamojski, wojewoda podolski, lecz ten spierał się i kłócił z wojewodą lubelskim, księciem Antonim Lubomirskim, o propinacyę i jurysdykcyę nad żydami, których jego oficyaliści obdzierali, a o pomyślności miasta żaden z nich nie myślał, tak, że w rok później król Stanisław August, jadąc do Wiśniowca przez Lublin, znalazł zakazane przez siebie bramy tryumfalne, a nim się dobrał do ratusza, z landarą uwiązł w błocie przed bramą Świętoduską, że go nawet cugi marszałka Olizara wyciągnąć nie mogły, aż zaprzęgano woły.

Żadna ulica nie miała latarni, ledwie przed ratuszem dwie się tylko paliły. Idący pieszo ubożsi nosili latarki ze świeczkami lub niemi posługiwali. Noszono buty safianowe: żółte, czerwone lub zielone, a trzeba było w nich o błocie deptać i suknie jedwabne zaszargiwać. Za ojazdami zwykle stawało dwóch lokajów lub hajduków

z zapalonemi pochodniami, przed pieszymi służący niósł płonącą pochodnię. Otrząsali je o rogi kamienic lub uderzali niemi w drewniane baryery dla lepszego rozjaśnienia. Kawały rozpalonej smoły długo potem gorzały na ulicy, stąd dym i para. To jedno było światło, które ciemne, błotniste i po części drewnianymi domami poprzecinane ulice oświecało; — między cuda policzyć, należy, że się kiedy pożar nie wszczął.

Dopiero Kajetan Hryniewiecki, wprzód kasztelan kamieniecki, a potem wojewoda lubelski, mąż prawy, nieskażony i czynny, wielką usilnością, wytrwałością i pracą wydobył to opuszczone i nieszczęśliwe miasto z rozwalin, z popiołów i błota. On stanąwszy na czele komisyi *boni ordinis* i wezwawszy do niej majętniejszych obywateli tak ziemskich, a własności swoje w mieście posiadających, jako też miejskich, wynalazł, uporządkował, powiększył dochody dotąd rozdzierane, tak miejskie jak kahalne. Ulice główniejsze w trzech latach, a uboczne po kolei wybrukował, rynek z gruzów oczyścił. Zachęceni przez niego mieszczanie kapitaliści, zaczęli puste zwaliska i place kupować. Wzniosła się zaraz z ułomków kilku kamienic jedna obszerna przez Heizlera kupca sukiennego i bankiera o kilkunastu oknach i trzech piętrach wymurowana; — druga podobna, przedzielona od niej uliczką, narożna jak pierwsza, Finka i Piaskowskiego. W połaci ku bramie rybnej Webera i Korna, na innej połaci Moraczewskiego, z balkonem; zgoła, w kilku latach z kamienic i pałaców znikły gruzy i ślady pogorzeliska. Wdzięczne miasto zachowało w magistracie portret swego dobroczyńcy i odnowiciela. Obecne plemię nie wiem czy o imieniu jego słyszało. To, co zaczął Hryniewiecki, rząd dopiero Królestwa Polskiego

po poczwórnem tego miasta za czasów austryackich pogorzeniu naprawił. Za pamięci mojej młodości jeden tylko był na rynku znakomity sklep sukna bankiera i kupca Heizlera; dwa korzenne Finka-Piaskowskiego i Webera, którzy się także wexlowaniem pieniędzy trudnili; trzy składy i szynki win węgierskich, dwóch Makarewiczów i Stefanowskiego; ci trzej w stroju polskim chodzili, ale bez szabel. Jeden sklep bławatnych materyi i galanteryi Gautiego. W pustych kamienicach na dole kilka sklepów Greków z bakaliami i świeżymi wschodnimi owocami. Na Korcach i krakowskiem przedmieściu także kilku Greków i składy obszerne win węgierskich; i dlatego handlujących niemi Węgrzynami nazywano. Nie można się dziwić, że te składy win były najliczniejsze, bo na tego rodzaju towar najwięcej było odbytu. — W całem mieście dwie były tylko apteki: pojezuicka w klasztorze, zarządzał nią braciszek Lewandowski, posiadający wielką u mieszkańców ufność, tak, że w niego jak w doktora wierzono i częściej niż prawdziwych doktorów używano. Druga była niejakiego Sztoka Niemca, której strzegły córki jego w leżącej w gruzach ojca kamienicy. Sam zaś aptekarz z postaci Ezop[1]), pijak tak wsławiony, że podobno od niego poszło przysłowie pijany jak Sztok, szarlatan, kuglarz. Że chodził w wielkiej peruce, w czarnych staroświeckich, niemieckich sukniach, z wielką w mosiądz okutą laską, i niesłychane o swojej sztuce i o cudach przez siebie dokazanych na różnych chorych kłamstwa i duby prawił, miał swoją wziętość u łatwowiernych i ciemnych. Pięciu atoli

[1]) Grecki pisarz bajek, podobno bardzo brzydkiej powierzchowności.

było doktorów z obcych narodów, żadnego jeszcze Polaka. Pierwszy Kompers, stary dziekan wszystkich doktorów, podobno Szkot czy Irlandczyk, mający wielką słynność i praktykę. Chimeryk, lecz majętny, umierając, zapisał summę 40.000 zł. polskich na konwikt uczniów. Burian Francuz. Herman Niemiec, którego są dzieła drukowane. Bandtkie Niemiec, ojciec dwóch uczonych synów, z których jeden w Krakowie, drugi w Warszawie za obecnych czasów, pierwszy w historyi i w bibliografii, drugi w nauce prawa wsławili się; piąty nakoniec Bergonzoni Włoch, którego potem wziął do siebie hetman Branicki i mianował sztabslekarzem. Za rządów pruskich przeniósł się do Warszawy i tam w późnym wieku umarł.

Dodać winienem, że w całem mieście tak uczęszczanem, nie było żadnej oberży, żadnej restauracyi, żadnej cukierni, żadnego zajezdnego domu. Przy bramie krakowskiej była w małej kamieniczce mała izdebka, którą kawiarnią nazywano; tam staruszka, nazwiskiem Jonesowa, szynkowała kawę, na którą uboższa palestra uczęszczała, bo każdy z poważniejszych obywateli sądziłby ubliżać swojej godności, gdyby go w oberży, w sklepie lub na jarmarku spotkano. To mniemanie wrośniętem było w obyczaje. Zato karczmy zajezdne, tuż za przedmieściami wybudowane, żydowskie miasto i dworki obywateli ziemian, drewniane i między ubocznemi ulicami rozrzucone, dostarczały przejeżdżającym umieszczenia. W pomoc przychodziły im Piaski i Wieniawa. W mieście po kamienicach pełno było szynków piwa i wódki, w których liberya się raczyła i czę
dla krzyków i hałasów przez obchodzące po mieś

ronty wojskowe w ciemną porę na odwach zabieraną była.

Czytający ten obraz Lublina mógłby się u mnie zapytać, jak się w tak opustoszałem mieście mogła pomieścić przez większą połowę roku cała szlachecka Polska, zjeżdżająca się na sprawy, liczny trybunał, sąd ziemski i grodzki, palestra, dependenci i młodzież z całego kraju. Gdzie się odprawowały te uczty, te bale, te sejmiki? Odpowiem. Marszałek trybunału zajmował dom pijarski, który miał kilka pokoi i jedną wielką salę, po której sześciokonnym pojazdem wykręcić można było. Prezydent zwykle stawał w obydwóch kamienicach Makarewiczów lub w pałacu Potockich, który teraz na sąd kryminalny przerobiono. Deputaci, przybywający z żonami, mieścili się po lepszych kamienicach, bezżenni po klasztorach. Inni przyjmowali umieszczenie, jakie znaleść mogli, choćby pod strychem. Uczty, obiady, obchody odbywały się albo w refektarzach klasztornych lub w obszernych korytarzach. Panom, którzy przyjeżdżali na sprawy, gospodarze za hojnem wynagrodzeniem ustępowali swoich pokoi, a inni mieścili się w swoich domach, pałacami nazywanych, lub po dworkach, które utrzymywali. Inne też były obyczaje, inne nawyknienia, inna skromność życia, inne wymagania. Uczty dawano wspaniałe, lecz codzienne życie było oszczędne. Przecież bywały reduty w domu niby w pałacu parysowskim; był nawet teatr, który miasto wystawiło na Korcach, szczupły wprawdzie i nietynkowany, z lożami, lecz bez galeryi, gdyż liberyi i pospólstwa do niego nie wpuszczano. Mógł pomieścić 300 osób. Pierwsi aktorowie warszawscy zjeżdżali i grywali sztuki, operetki; nie wstydziła się na nim występować Truskulawska, Świe-

żawski i Owsiński. Ogród do spaceru był tylko jeden, przy pałacu Potockich, obszerny, lecz bez cienia, ledwie sadem mógł się nazwać. Kto chciał świeżego powietrza użyć, wyjeżdżał konno lub szedł piechotą za miasto. Nie pomnę, aby kobiety spacerowały wspólnie z mężczyznami po ogrodzie. Zwykle wyjeżdżały pojazdami; żadna matka tam córki nie prowadziła, gdzie się męska młodzież gromadziła. Na redutach nie bywały, tylko obywatelki z miasta i młodzież palestrancka. Poważni ludzie tam nie postali. Graczów, szulerów było pełno; i banki zakładano, młodzież się zgrywała. Fabrycy Miączyński, Włodek, Janikowski, w faraona popisywali się swoim talentem. U ojca mego na jednym festynie poznałem owego sławnego zapaśnika kielichów generała adjutanta Konarzewskiego, w polskiej sukni, wysokiej, otyłej postaci, na głowie łysej mały kosmyk się tylko strzępił; trzymał kielich w ręku, czerwony był jak rydz, a z łysiny gdyby z komina mu się kurzyło.

Wspomnienia ze szkół zamojskich, rok 1781—2—3—4.

Jako ucznia uderzył mnie naprzód gmach akademicki, wielki czworogran z dziedzińcem w środku, z bramami i wchodem od obszernego placu, na którym stał pałac Zamojskich, a naprzeciw niego kollegiata i wychód na franciszkańską ulicę. Gmach ten dwupiętrowy z wielkiemi oknami, na dole sklepiony, mieścił szkoły i mieszkania profesorów, do których wchodziło się przez obszerne korytarze sklepione. Te podówczas zawalone były

fasami i beczkami mąki wojska austryackiego, których strzegli szyldwachy. Do szkół obok tych składów ledwie się można było przecisnąć. Na drugiem piętrze były ogromne sale, nazwane sztubami, ozdobione naokoło ścian na dwa stopnie ławkami polerowanemi, z wyzłoconymi brzegami. Na środku stały dwie naprzeciw siebie katedry, przeznaczone do teologicznych i filozoficznych dysput, a łączyły je ławki dla emerytów, kanoników i profesorów. Pamiętam kilka świetnych w tych salach uroczystości, to jest elekcyę rektora, dysputy i egzamina uczniów. Rektor wchodził ubrany w ponsową aksamitną szerokimi złotymi galonami oblamowaną togę, w złotym łańcuchu, czyli *distinctorium* kanonicznem i w mucecie[1]) fioletowym z gronostajami, w birecie na głowie. Poprzedzali go wyżsi nauczyciele i kanonicy w togach czarnych kamlotowych, z karmazynowymi z kitajki wyłogami, w mucetach według godności ponsowych z galonami lub fioletowych aksamitnych z gronostajami, tych poprzedzali profesorowie niżsi w podobnych togach, a profesorowie gramatyki i infimy klerycy w półtogach bez wyłogów, z spuszczonymi od łokciów rękawami; ten cały szereg poprzedzało dwóch bedelów w niebieskich sukiennych togach, trzymając w rękach dwa berła srebrne z koronami u wierzchu, zapewne jeszcze przez Jana Zamojskiego sprawione. Gdy wszyscy zasiedli swoje miejsca, zaczęły się oracye w języku łacińskim. Rektor składał na stole pieczęć akademicką, insignia, rozbierał się z togi, składano je na taburecie i po mowach pochwalnych i dziękczynnych, przystępywano do wyboru

---

[1]) czapeczka duchownych.

nowego rektora przez wota sekretne, w wielką urnę marmurową rzucane. Po przeliczeniu wotów przez najstarszych profesorów i kanoników, ogłaszano nowego rektora; ten natychmiast ubierał się w togę aksamitną i odbierał insignia. Znowu nastawały mowy i powinszowania, już i szkoły występowały z oracyami, zaco parę dni rekreacyi otrzymywały. Nowy rektor zwykle dawał ucztę dla członków akademii i reprezentantów szkół, wybranych pomiędzy studentami, po jednym z każdego oddziału. W podobnym sposobie odbywały się coroczne egzamina przy zalimitowaniu[1]) szkół. Z uroczystości szkolnych najświetniej odprawiała się na świętego Jana Kantego, patrona akademii, który miał oddzielną swoją kaplicę w kollegiacie zamojskiej. Studenci szli porządkiem szkół na nabożeństwo, wieczorem odbywali procesyę z jarzącemi świecami do kaplicy świętego, gdzie wybrani z nich śpiewacy nucili na głosy hymn łaciński o ś. Janie Kantym; tasama ceremonia wznawiała się na Niepokalane poczęcie Najświętszej Panny. Wieczorem zwykle studenci z bursy obchodzili mury akademii i do północy śpiewali pobożne pieśni. W bliskości murów akademickich był odwach austryackiego garnizonu; nieprzyjemny widok raził nieraz młode serca, gdyż przed nim często przypasanych do ławki niemiłosiernie bito w dwójnasób kijami, a na placu od akademii aż do kościoła, między dwoma szeregami, przepuszczano winowajców przez rózgi przy odgłosie piszczałek; raz spojrzawszy na zbroczone krwią plecy żołnierza, który kulę gryzł w zębach z bolu, ledwie nie zemdlałem.

---

[1]) odroczenie, zawieszenie.

Kollegiata zamojska, świątynia wyniosła i piękna, zarządzana wówczas przez infułata Trembińskiego, nosiła znamiona zaniedbania tak w kaplicach, jako też w ołtarzach. Wtedy dopiero zaczęto myśleć o wydobyciu jej z kurzu i z opustoszenia; kaplica Zamojskich obita była aksamitem karmazynowym, w bryty tego koloru i żółtego, lecz tak już wypłowiałego, że się do siebie obie barwy zbliżały. Na tem obiciu po lewej stronie ołtarza zawieszone były portrety rodziny Zamojskich, zacząwszy od wielkiego Jana aż do Klemensa. Wszyscy przedstawieni byli w ubiorach właściwych wiekowi, w którym żyli. Jan Zamojski hetman w takiej postaci, w jakiej go powszechnie malują, w zbroi, w szkarłatnej ferezyi z futrem z ramion opuszczonej. Tomasz podobnie, lecz już z głową ostrzyżoną. Jan wojewoda sandomierski z wygoloną głową, z sełedcem[1]) na jej wierzchu, w pancerzu i w ferezyi. Następnie Marcin, Michał, w strojach podobnych. Tylko Klemens młody w ubiorze francuskim i w garniturze ponsowym, złotem haftowanym, z głową ufryzowaną w niski tupet[2]) i loki. Najwięcej mnie uderzył Jan Zamojski, nie hetman, lecz wojewoda sandomierski, a to dlatego, że zapytany zakrystyan, nazwał go po dawnem przysłowiu »goły Janek«. To przysłowie poszło zapewne stąd, że był najbogatszym panem w Polsce, bo posiadał po ojcu ordynacyę, dobra i starostwa, a po matce ordynacyę ostrogską. Deptałem marmur, który przytłaczał wejście do grobu Jana Zamojskiego; litery na nim mosiężne w wielkiej części wyłupane lub postrącane były,

---

[1]) Włosy na wierzchołku głowy w warkoczyk uplecione, jak nosili Kozacy.

[2]) Czub, kosmyk włosów na wierzchu głowy.

po ich śladach ledwie wyczytać można było napis, który sobie sam ułożył: *Hic situs est Joannes Zamojski* [1]). Wiemy wszyscy, że ten wielki człowiek, za swoje wielkie zasługi prześladowany i znękany niewdzięcznością ziomków, w żalu dodał był do wyżej wspomnianych słów: *Plurima pro civibus, graviora a civibus passus* [2]), lecz potem wzniósłszy się nad urazę, zmazał te wyrazy. Czytałem jego napisy na bramie: *O patria quam mihi cara* i t. d., a nikt mnie nie nauczył, kto był Jan Zamojski. Nie uczono historyi polskiej w szkołach, pewnie jej sami profesorowie nie umieli, a sędziwi kanonicy tak byli niedbali czy obojętni, że o życiu fundatora ich dobrego bytu przed uczniami nie wspominali. Był i jest dotąd w kościele kollegiaty sławny obraz Zwiastowania Najświętszej Panny, sprowadzony przez Jana Zamojskiego, cudownym pędzlem oddany; jest drugi podobnego pędzla, św. Mikołaja. Stały obydwa przykurzone, niczyich oczu nie zwracały na siebie, dopiero Stanisław ordynat Zamojski wartość ich ocenił, znawcom je ukazał. Któż się nad tą niesłychaną obojętnością i niedbałością owych czasów nie zadziwi?

Drugi ledwie nie wspanialszy był kościół księży Franciszkanów na ulicy lwowskiej, wzniesiony przez Zamojską, z domu księżniczkę Ostrogską. Ołtarze w nim były wspaniałe i bogate, klasztor niewielki. Uczęszczaliśmy do niego na nabożeństwa. Były jeszcze klasztory i kościoły schludne Reformatów, Bazylianów i Panien miłosiernych.

---

1) Tu leży Jan Zamojski.

2) który wycierpiał bardzo wiele za obywateli, sroższe rzeczy od obywateli.

Pałac ordynacki był wspaniały, z dziedzińcem balustradą żelazną otoczonym, z dwoma bramami przedzielającemi oficyny i gmach pałacowy od wałów, które były w dobrym stanie, równie jak fossy. Przy obydwóch bramach, krakowskiej i lwowskiej, były mosty zwodzone na łańcuchach. Na ulicach za rynkiem było wiele dworków drewnianych, niektóre o dwóch piętrach. Na przedmieściach żydowstwo i karczmy zajezdne.

Ordynatem był podówczas Jan Zamojski, wojewoda podolski; mieszkał zwykle w Łabuniach, gdzie miał piękny pałac, czasem tylko przyjeżdżał do Zamościa. Uderzyła mnie jego postać i wystawa jego dworu. Jeździł zwykle sześciu bardzo pięknymi końmi, gdyż w tych się kochał; poprzedzał go lub otaczał liczny orszak sług i dworskich i na dzielnych koniach pokojowcy. Hajducy dorodni wzrostem, równie jak woźnice, mieli liberyę całą ponsową z granatowymi wyłogami, szerokimi srebrnymi galonami obłożoną. Sam był wysokiego wzrostu, twarzy ściągłej i poważnej, włosu już osiwiałego, wąsów dużych białych. Nosił się po polsku w aksamitach, w mówieniu nieco się zająkiwał czyli raczej zacinał, słaby był na nogi i na trzcinie się opierał, buty miał aksamitne czarne. Raz mu się dobrze przypatrzyłem, gdy zjechał umyślnie do Zamościa, a za nim przyprowadzono liczną psiarnię chartów dla szczucia wilka, którego w dół złapano. Tę hecę dla widzów wyprawił na dziedzińcu zamkowym. Siedział na wielkiem krześle, otoczony liczną asysstencyą dworaków. Wypuszczono wilka, a na niego kilka smyczy białych dorodnych chartów. Długo szarpały go i darły psy, lecz gdy go udusić nie mogły, a wilk je kaleczyć zaczął, na ich skowyk rozgniewał się i kazał go kordelasem dobić. Tento jest

Zamojski Jan, szwagier króla Stanisława Augusta, który zięciowi swojemu Wincentemu Potockiemu, podkomorzemu koronnemu, panu na Brodach, odstąpił w posagu starostwo lubelskie. Stanisława Augusta nie lubił, nie mógł nawyknąć do czci tego, którego zaszczytem być mniemał, że się ozłocił spowinowaceniem z rodziną Zamojskich. Dowód jego zuchwałego postępowania z królem opowiadał mi mój ojciec. Król na prośby siostry, napisał list do niego w tych słowach: »Uprzejmie nam miły mości panie wojewodo podolski i kochany bracie. Siostra nasza a żona wasza życzy sobie wyjechać za granicę na wojaż; wzywamy uprzejmości waszej o zezwolenie i ułatwienie jej tej podróży«. Zamojski odpisał: »Najjaśniejszy miłościwy królu i kochany bracie! Siostra wasza a żona nasza niech jedzie za granicę na wojaż, lecz pieniędzy nie damy, bo nie mamy«.

O trzy mile od Zamościa pamiętam zwierzyniec, obszerny na milę i cały oparkaniony dokoła, do którego strzeżenia były pewne wsie przeznaczone. Tam utrzymywało się mnóstwo zwierza różnego rodzaju, jako to: jelenie, sarny, daniele; krwiożercze, jeżeli się przypadkiem znalazło, wytępiano. Niedźwiedź raz się wdarł przez parkan, zaraz go ubito. Chowały się tam i mnożyły dzikie konie, które widziałem. Postać ich mała, jak koni włościańskich, lecz osiadłe, krępe i z grubą, lecz gładką nogą, siły wielkiej, sierci jednakowej karo-myszatej. Dopiero je w nieodległych czasach wygubiono, podobno dlatego, że w zimie potrzeba było dla nich szopy sianem opatrywać.

Drugiego roku moich szkół Jan Zamojski zrz[illegible]
się ordynacyi na osobę brata swego młodszego Andrz
Zamojskiego, tak słusznie w kraju wsławionego exka

lerza wielkiego koronnego. Ten wraz z żoną Konstancyą, z domu księżniczką Czartoryską z linii Koreckiej, wdową po Klemensie ordynacie, który na konwulsye w młodym wieku umarł, i z dziećmi jeszcze drobnemi ciągle mieszkał w Zamościu. Dwór jego był przystojny, lecz skromny; nie było galonów na liberyi granatowej, lecz zaczął być porządek w dobrach, a w domu przyzwoita oszczędność. Była to zasługa samej pani Zamojskiej, która znacznie młodsza od męża (gdyż ten już zapewne 70 lat dochodził) wzięła na siebie ciężar interesów i gospodarstwa nie tylko w ordynacyi, lecz we wszystkich rozległych dobrach dziedzicznych Andrzeja Zamojskiego. Sam starzec poważny, jak mędrzec i filozof wybrał spokojne i niekłopotliwe życie, jedno tylko zostawił sobie zatrudnienie, dobrze czynić ludziom. Ktoby chciał dobrze go poznać ze szczegółów jego życia, niech przeczyta pochwałę jego przez Stanisława Staszica napisaną, w towarzystwie przyjaciół nauk na posiedzeniu czytaną i w tomie IV. dzieł jego umieszczoną, tem niepodejrzańszą, że przez filozofa demokratę kreśloną, który znał z bliska i przypatrzył się sprawom i osobie tego w swoim czasie najznakomitszego męża w Polsce. Obecne plemię, czyli nieciekawe czyli przez nowe swoje wyobrażenia nienawistne przeszłości, chętniej by pisało i czytało żywoty bohaterów rewolucyjnych, przewódców stowarzyszeń demokratyczno-socyalnych, aniżeli Zamojskich lub Kościuszków; rozprawia o narodowości, a ciągle się wynarodawia z cech i znamion swojego rodu. Staszic, acz demokrata, ale oświecony i kochający nie siebie, lecz ludzkość, inne iał wyobrażenie o narodowości i to na ostatniej kartce ·go tomu skreślił. Nienawidził on feudalizmu, kast, rzywilejów, lecz bezwzględnej równości, jako niepodo-

bnej, nie przypuszczał, uznawał tylko równość w obliczu prawa. Chociaż sam się nie urodził szlachcicem, uszlachetnił się rozumem, cnotami, nauką, miłością kraju. Nie szlachectwa nie cierpiał, lecz szlachty, a raczej występnych w tym stanie osób. Nikomu ze znakomitych ludzi ani lichego urodzenia za zaletę nie poczytywał, ani za wstyd i winę świetnego, jeżeli od zasług przodków niewyrodnych potomków znalazł. Tym to duchem tchnie wyżej wspomniana pochwała. Ja do niej dodam tę małą wiadomość, że gdy Andrzej Zamojski, po doznanej niewdzięczności i zapamiętałości ziomków, oddalił się do Zamościa, szlachta spostrzegła się w swoim błędzie i otoczyła go czcią i uszanowaniem. Ordynacya zamojska miała wtenczas sprawę graniczną z dobrami Radzięcin. Zamojski, jako stróż *fidei commissum*, nie mógł żadnej części ziemi bez sądu odstąpić (coby chętnie chciał był uczynić dla zaspokojenia upominających się). Zjechał więc sąd podkomorski dla odgraniczenia ordynacyi od dóbr Radzięcina. Na czele jego był Tomasz Dłuski, podkomorzy [1]) lubelski, starzec siedmdziesięcioletni, świadek na sejmie i uwielbienia i potępienia tego Arystydesa polskiego. Andrzej Zamojski wyjechał na granicę ordynacyi dla zaprzysiężenia kopców narożnych według przepisów prawa. Gdy się zabierał do przysięgi, strona, liczni sąsiedzi, szlachta, świadkowie, krzyknęli razem: Nie potrzeba przysięgi, przestajemy na przyznaniu tak poważnych i cnotliwych ust, a podkomorzy lubelski w dekrecie zapisał te słowa: *„In hoc scopulo Illustrissimus Andreas de Zamoscie Supremus Ex Cancellarius Regni*,

---

[1]) Podkomorzowie sprawowali sądy rozjemcze w spraw 1 granicznych.

qui opressa patria, ne gravem eius tractatum sigillasset, sigilla regni abdicavit, iuramentum explere voluit. Sed pars et tota praesens nobilitas polona ob respectum et reverentiam tanti viri testimonio verbis, non iuratu fida, a iuramento liberavit, et hoc suo passu, supremi tantae virtutis cultus sibimet testimonium praebuit“ [1]).

Andrzej Zamojski był wzrostu niewielkiego, miernej i silnej postaci, twarzy poważnej, powierzchownie surowej; nosił perukę w loki fryzowaną, suknię szaraczkową sukienną, staroświecką, niemiecką modą skrojoną, nad butami nadkolanka białe. Powszechnie wychodził rano o wschodzie słońca z jednym służącym na przechadzkę za miasto i z psem legawym, białym, rosłym, zawsze przed jego łóżkiem sypiającym, ulubionym jego faworytem od czasu, jak ten pies w nocy rzucił się na złodzieja, zakradającego się do łóżka, i uchwyciwszy go za gardło, póty trzymał pyskiem, póki ludzie przebudzeni wołaniem pana, nie ujęli złodzieja czy zbójcy. Przechadzając się, zawsze miał w kieszonkach kamizelki pełno monety srebrnej, którą napotkanym ubogim rozdawał. Miał wtedy lat zapewne 70. Widziałem go później w lat kilka, w dzień jego święta goszczącego w Żółkiewce u Stamirowskiego, starosty krasnostawskiego,

---

[2]) Na tym kopcu Jaśnie wielmożny Andrzej na Zamościu, były wielki kanclerz koronny, który za uciśnionej ojczyzny, aby ciężkiego dla niej traktatu nie przypieczętował, pieczęć koronną złożył, przysięgę chciał wykonać. Lecz strona i cała obecna szlachta polska przez cześć i uszanowanie dla takiego męża, świadectwu słów nie przysięgi ufna, od zaprzysiężenia uwolniła i tym czynem najwyższej takiej cnoty czci sobie sama świadectwo złożyła.

gdzie cały dzień przepędził i na noc dał się namówić. Byłem z ojcem moim przytomnym i przypomniany mu zostałem jako uczeń ze szkół zamojskich. Był uprzejmy, wesoły, żartobliwy, zgoła takim, jakim go Staszic przedstawia; twarz jego w towarzystwie nabierała wyrazu dobroci i słodyczy, która w duszy jego mieszkała. Gdy obiad przy świecach się skończył, w zmroku nocy wybierał się do wyjazdu, proszony na nocleg wymawiał się długo, lecz potrafiono skłonić Joachima Owidzkiego, nieodstępnego jego towarzysza, aby go namówił do pozostania na noc. Portrety jego, szczególniej suchemi farbami robione, są do niego niezmiernie podobne.

Że ojciec nasz był przyjacielem Zamojskich, a Andrzeja exkanclerza uwielbiał, ile razy był w Zamościu, prowadził nas do pałacu. Stąd na święty Andrzej i na świętą Konstancyę, imieniny obojga, dawali nam profesorowie oracye polskimi wierszami, któreśmy imieniem szkół odmawiali. Szkoły w te dni stawiały się z profesorami do pałacu, którzy zapraszani bywali na obiad, a studenci uraczani rekreacyą. W tego rodzaju święta poznałem brata rodzonego pani Zamojskiej, książęcia stolnika Czartoryskiego z Korca, pana rządnego, cnotliwego, oświeconego, ludzkiego. Był on wielkim ojca mojego przyjacielem i w ciągłej z nim zostawał korespondencyi. W owych czasach księżna Alexandrowa Sapieżyna, która w tej chwili zapewne niedaleka ośmdziesięiu lat życia, była panienką czternastoletnią. Alexander i Stanisław jeszcze z dziecinnego wieku nie wychodzili, trzeci ich brat nie wiem czy najmłodszy czy średni, umarł wtenczas na ospę czy szkarlatynę, chociaż go sław
lekarz Kostrzewski leczył. Pani Zamojska dochodziła wtedy zapewne lat 50; ubierała się skromnie z fryzu

Twarz miała nieco na skórze czerwonawą, składem do brata księcia stolnika podobną, którego dziś postawą Stanisław ordynat Zamojski przypomina.

Wspomnienia ze szkół wydziałowych lubelskich. Rok 1784—5—6—7.

Wiele nieznanych mi dotąd widoków uderzyło mnie w tych czterech latach, w których uczęszczałem do tych szkół. Naprzód częste objady, illuminacye, strzelania z moździerzy i z ręcznej broni na ucztach przez marszałków i prezydentów wyprawianych, na uroczystościach rocznic, urodzin, imienin, koronacyi imperatorowej rosyjskiej i króla Stanisława Augusta, oraz na imieniny marszałków i prezydentów, na których to obchodach zwykle batalion regimentu Czapskich w szeregi rozstawiony na rynku, przed kamienicą prezydenta lub na dziedzińcu pałacu pijarskiego, za danym sobie z okna przez podchorążego znakiem o kielichu wzniesionym, za zdrowie solenizanta plutonami ognia dawał.

Uderzyły mnie więcej trzy sceny, których byłem świadkiem; pierwszą wyprawił Ksawery Branicki, hetman W. koronny, drugą Michał Granowski, sekretarz W. koronny, trzecią biskup abderytański i oficyał lubelski, bogaty prałat Lenczewski. Pan hetman zjechał do Lublina na sprawę z książętami Jabłonowskimi o Lisiankę i Luboml; a że była zła sprawa, mimo jego Achatesów[1]), których miał w trybunale, nie poszła według jego woli.

---

[1]) Przyjaciół.

Uraczał się właśnie na krakowskiem przedmieściu z swoimi przyjaciółmi, gdy mu znać dano o wyroku sądu. Na to zawołał: »pójdźmy szukać poczciwych ludzi« i natychmiast w dzień biały zapalono dwadzieścia cztery pochodni i pan hetman na czele całej licznej swojej czeredy udał się z wizytą na ratusz, w którym jeszcze sąd główny odbywał swoje posiedzenie. Już się zbliżył do ratusza, już odezwały się bębny i warta broń prezentowała, gdy marszałek uwiadomiony odwołał sesyę, a deputaci jurgieltowani przez pana hetmana połączyli się z nim na rynku. Przeciwnicy zaś tylną bramą ratusza rozpierzchnęli się po domach. Pan hetman zaś odbywszy procesyę po rynku, wrócił do swego mieszkania uraczać się ze swoimi przyjaciółmi.

Michał Granowski, sekretarz wielki koronny, był pan znakomity i przez majątek i przez pokrewieństwo z domem Czartoryskich, a zatem i z królem Stanisławem Augustem. Oprócz znacznych dóbr na Litwie, posiadał w Lubelskiem Garbów, starostwo przybysławskie po księciu kanclerzu Czartoryskim jako rodzony siostrzeniec samej księżny, oraz starostwo tarnogórskie w ziemi chełmskiej. Był także spowinowacony z Radziwiłłami i Pociejami, gdyż miał za sobą Radziwiłłównę.

Przemieszkiwał często w Przybysławicach w wielkim domu drewnianym, przez księcia kanclerza wystawionym, aby być bliżej dworu i trybunału. Lubiony od króla, a z swojego sposobu życia i popularności w Lubelskiem przydatny do wpływów na umysły obywatelskie, używany był wraz z Onufrym Kickim, starostą ryckim, do kierowania sejmikami lub popierania w trybunale stron, które się trzymały dworu i zjednały sobie protekcyę królewską. Granowski był to pan z młodości dobrze

wychowany, służył w wojsku austryackiem, z którego dla jakiejś awantury dezerterował. W ojczyźnie dostąpił zaraz znakomitych godności i orderów. Piękny z twarzy, urodziwej postaci, wzrostu wysokiego, siły ciała nadzwyczajnej, miał wszystkie przymioty i wady podobające się obywatelstwu, popularny, grzeczny, odważny; stawić się, wystrzelać, wybić na pałasze — było dla niego igraszką. Lecz najlepiej władał kielichem, mógł się był tą bronią z sławnym Konarzewskim mierzyć, nie z nałogu, lecz przy wydarzonej sposobności; a te się często zdarzały.

Jednego razu zjechał był właśnie do Lublina, za forsą jakiejś sprawy; było to w czasie przedsejmikowym, gdy się już było zebrało wielu obywateli i z drobniejszej szlachty. Nie potrzeba było i tej okoliczności, sam Lublin dostarczał i z palestry i z mieszkańców i z bliskich sąsiadów ochotników, którzy się za węchem wina do pieczeni pańskiej, gdzie się tylko Granowski zjawił, zbiegali. On też sam troskliwie szukał i zapraszał takich, co jego kielichom wydołali. A miał dwa wielkie, jeden nazywał się orłem, który w oburącz trzymać potrzeba było, gdyż brał w siebie pięć butelek wina; drugi niższy, na krótkiej podstawie i dlatego kaczką nazwany, mieścił w sobie trzy butelki. Był podówczas w Lublinie niejaki Konrad Badowski, obywatel wojewódzki, dawnego pisarza grodzkiego syn, mecenas drugiej klasy, człowiek niezmiernie otyły, postaci ogromnej, dowcipny jowialista owego czasu, wymowny w facecyach i żartach, śpiewający bardzo przyjemnym głosem, mogący jedynie mierzyć się z tymi kielichami, a zatem zawsze pożądany gość na ucztach tego pana. Ten tedy sekretarz w. koronny Granowski, wygrawszy przeforsowaną przez siebie sprawę, zaprosił do siebie na obiad cały trybunał,

z którego tylko prezydent nie stawił się, gdyż był w lekarstwie.

Wojewoda lubelski Hryniewiecki, podkomorzy Dłuski, starcy poważni, ojciec mój, stolnik Wybranowski i chorąży lubelski Poniatowski, unikali tego rodzaju uczt i nigdy się na nich nie znajdowali. Ojciec mój, którego Granowski bardzo lubił i poważał, tak się był obawą tych pijackich festynów zraził, iż ten pan musiał mu dać słowo honoru, że go nigdy do kielichów przymuszać nie będzie. Razu jednego przejeżdżaliśmy przez Garbów do Markuszowa. Gdyśmy mijali wiatraki, przy granicy markuszowskiej stojące, wypada nagle liczna czereda liberyi i biesiadników, zatrzymuje spłoszone krzykiem konie i w tym momencie za wiatrakiem ukryty ukazuje się Granowski, już podpiły, z orłem w ręku. »Witaj, panie sędzio! — odezwał się; — tak to dotrzymujesz słowa? mijasz przyjaciela? więc i ja nie dotrzymam; albo więc nie uchybiaj przyrzeczeniu i wstąp, a musić cię nie będę do kielicha, albo jedź, lecz wypij«. Wybrał mój ojciec pierwsze, udaliśmy się z całem gronem pieszo do Przybysławic. Tam zastaliśmy liczne towarzystwo, kielichy szły szybką koleją. Ten Badowski był prócz tego wielkim żarłokiem. Miałem z nim dobrą znajomość, gdyż z bratem jego Amandem chodziłem do szkół w Zamościu. On je wprawdzie kończył, gdy ja zaczynałem; przez te związki, gdy przejeżdżał blisko Piotrowic, nie mijał mego domu. Raz przyjechawszy po obiedzie podchmielony a głodny, prosił o zrazy i kaszę ze skwarkami; nim je przyrządzono, wypił trzy butelki porteru, potem zjadłszy spory półmisek zrazów i kaszy i dwa kapłony, wypi' cztery butelki wina i wyjechał. Był to człowiek dowci pny, zabawny, nie uczony, lecz jak na swój czas nie

głupi, prawnik nie wykrętny, dobry Polak, w gruncie prawy i szlachetny człowiek; nie był nałogowym pijakiem, lecz opojem i żarłokiem niesłychanym.

Ksiądz Lenczewski, biskup abderytański, i za rządów biskupa Sołtyka, póki dyecezya lubelska do krakowskiej należała, oficyał lubelski, prałat, kanonik, archidyakon i proboszcz według ówczesnego zwyczaju kilku intratnych probostw, jako to ryckiego, chrzczonowskiego, był uposażony dostateczną intratą przez króla Stanisława Augusta, którego w dziecinnym wieku jako dyrektor czytać i pisać uczył. Stąd miał wstęp i łaski u króla, który był szczególnie pamiętny na sług ojca swojego, kasztelana krakowskiego, zasługi. Miał też protektorów u dworu z dawnych swoich kolegów Karasia, Ogrodzkiego i Kickiego, wojewody rawskiego. Żył, jak naówczas, nie wspaniale, lecz dostatnie; miał dobrego kucharza i powszechnie zapraszał do siebie w piątki na ryby. Wino miał bardzo dobre i niem przynęcał gości. Już w wieku osiwiałym ozdobiony został orderem św. Stanisława przez króla. Z tego powodu dawał wielką u siebie ucztę po limicie [1]) trybunału, na urodziny królewskie. Uczta i naturalnie kielichy przeciągnęły się aż do wieczora — wieczorem oświecono okna na rynku świecami i lampami.

Wspomnę tu jeszcze wspaniały wjazd na starostwo [2]) lubelskie Michała Mniszcha, marszałka Wgo koronnego. Całe obywatelstwo lubelskie chciało uczcić

[1]) Odroczenie.

[2]) Byli starostowie grodowi, którzy sprawowali po grodach sądy gardłowe, i starostowie niegrodowi, będący dzierżawcami dóbr królewskich.

w nim spokrewnionego przez żonę z królem. Wszyscy więc w mundurach ponsowych lubelskich na dzielnych koniach, z przybranymi w barwy masztalerzami, wyjechali przeciw niemu do Jastkowa i tam go witali. On wsiadł także na konia i w tej assystencyi pojechał na zamek, gdzie objął urząd i mianował podstarostę. Po nabożeństwie w kollegiacie udał się na Tatary. Szkoły go witały. Brat mój starszy miał do niego w ich imieniu przemowę.

Wspomnienia moje z palestry lubelskiej. Rok 1787.

W roku 1787. podczas trybunału pod laską marszałka Jana Małachowskiego, wojewodzica sieradzkiego, a starosty opoczyńskiego, oddał mnie ojciec do palestry. Jak zacząłem szkoły w czasie marszałkowstwa Małachowskiego, podówczas starosty oświecimskiego, a później wojewody krakowskiego, tak skończyłem je, a zacząłem zawód prawny przy trybunale, któremu przewodniczył Małachowski, później referendarz, marszałek nadworny, nakoniec senator wojewoda w senacie królestwa kongresowego. Jak podówczas wspominano z oburzeniem i z obrzydzeniem trybunał pod laską Olizara, stolnika litewskiego, gdyż to był stek wszystkich bezprawi, przekupstwa i niegodziwości, tak z pochwałą, z uwielbieniem, z wdzięcznością mówiono o trybunałach, którym trzech Małachowskich koleją przewodniczyło. Jan ledwie skończył lata prawami do wieloletności przepisane, a już za wzorem stryja swego Stanisława, później marszałka sejmu, umiał utrzymać powagę urzędu i zjednać sobie

miłość i poszanowanie kolegów i palestry, ufność w poszukujących sprawiedliwości, bo był jej pilnym przestrzegaczem i nieugiętym wykonawcą. Żył bez wielkiej wystawy, lecz przystojnie; dawał uczty tylko nieuniknione, nie chcąc, aby takowe przeszkadzały posiedzeniom. Wszystkim gorszącym scenom położył tamę i tych nie dopuścił. Z zamierzonych dla niego uczt tylko jedną przyjął na swoje święto, od której się całej publiczności wymówić nie mógł. Deputaci, palestra, obywatele wspólnie ją dali; był to bal wielki, może z tysiąca osób złożony; odbył się w umajonych drzewami i oświeconych lampami obszernych kurytarzach OO. Dominikanów, ozdobionych godłami sprawiedliwości i napisami. Pamiętam główny na wstępie:

Tu się Litwa z Koroną na zawsze złączyła,
Tu jedność w trybunale jak nigdy nie była.

Wzorem stryjów zacząłeś twój zawód młodzieńczy;
Sprawiedliwość cię wsławia, a powszechność wieńczy.

W przeciągu czasu przed i po trybunale olizarowskim trzy się odznaczyły i były tem, czem powinny były być, jeden pod laską Kęszyckiego, drugi Szwiejkowskiego, wojewody podolskiego, i trzeci Jana Małachowskiego. Za jego marszałkowstwa wypadła sławna owa sprawa, która poruszyła dwór i całą narodową powszechność, sprawa prześladowanego z urzędu jako sędziego ziemskiego lubelskiego ojca mojego przez możnowładcę książęcia Sapiehę. Opiszę ją tu jako świadectwo tej prawdy, którą Staszic o możnowładcach polskich odgadł i tak dobitnie w dziełach swoich wyrył.

Dla zrozumienia początku urazy i zemsty muszę zacząć od sejmiku deputackiego, o który się przewaga

i burmistrzowanie tego pana w województwie lubelskiem rozbiły, *inde irae*[1]).

Kazimierz Nestor książę Sapieha, wojewodzic mścisławski, ledwie wyszedłszy z konwiktu, już generał artyleryi w. księstwa litewskiego, był synem rodzonej siostry hetmana Ksawerego Branickiego, sławnej w Warszawie i po trybunałach intrygantki, jednej z tych pięciu Elżbiet, które w złośliwym paszkwilu Kajetan Węgierski opisał[2]), za co z kraju uchodzić mnsiał; bo obrażone kobiety groziły mu rózgami i postarały się, że wiersze jego przez kata na rynku spalonymi zostały. Ojciec mój był mecenasem hetmana Branickiego, nie tylko jego spraw, lecz i jego Achatesów; bronił ich, jako to generała Kurdwanowskiego i Mierzejewskiego, który był faworytem siostry hetmana; przez te związki był zawsze pomocnym w interesach księżnej Sapieżyny i syna jej i miał ich przyjaźń i przychylność. Książę ten młody, przystojny, utalentowany, wymowny, dziedzic Kodnia i Łęczny, dóbr obszernych lecz bardzo zadłużonych, ożenił się z piękną, młodą, bogatą i dobrze wychowaną córką Cetnera, wojewody bełzkiego, wdową po Józefie księciu Sanguszce, marszałku w. księstwa litewskiego, który na polowaniu potłukłszy się z sanek, umarł, zostawiwszy pod opieką matki jedynego syna, bardzo pięknego, dwunastoletniego młodzieńca. Sapieha po ożenieniu się ujrzawszy się przez żonę panem dożywotnim Lubartowa i innych obszernych dóbr Sanguszkowskich na Ukrainie i Wołyniu, przeszło

---

[1]) Stąd gniewy.

[2]) Te pięć Elżbiet były: 1. pani krakowska, siostra królewska; 2. księżna marszałkowa Lubomirska; 3. księżna generałowa Czartoryska; 4. księżna wojewodzina Sapieżyna; 5. pani marszałkowa Potocka, którą jedną pochwalił.

300.000 złotych w owym czasie rocznego dochodu czyniących, zapragnął za poradą matki trząsać trybunałami, a z własnego i zwykłego możnowładcom polskim popędu, burmistrzować w województwie lubelskiem, wybierać i strącać na sejmikach urzędników, posłów, deputatów i t. d., co mu bliskość Lubartowa przy Lublinie ułatwiła. Stąd częste w Lubartowie kielichowe uczty, stąd nierzadkie odwiedziny Lublina. Razu jednego ten pan, oświadczając się ojcu mojemu z czułą swoją przyjaźnią, rzekł do niego w przytomności wielu obywateli: »Panie Łowczy, już czas, ażebyś porzucił mecenaturę. Pan Bóg ci dał majątek, czas zacząć nam służyć współziomkom« i obróciwszy się do obywateli, dodał: »Prośmy go, aby nie odmówił być deputatem na przyszły trybunał«. Ale mości książę, ojciec mój się odezwał, książę zapominasz, że turnus[1]) wypada na ziemię łukowską, a ja tam nie mam obszernych związków, a więc nie mogę mieć życzeń. »Zdaj to Wpan na mnie, rzekł książę, ja w rękawie mam ziemię łukowską, a więc wypijmy zdrowie przyszłego deputata«. Taka umowa skończyła się kielichami i mój ojciec przyjął ofiarę księcia i obywateli. Tymczasem książę przyrzekł wybór na przyszłych sejmikach Kazimierzowi Jastrzębskiemu, zapomniawszy lub lekceważąc owe zaprosiny na ten urząd ojcu memu uczynione; a gdy Suchodolski, podstarosta lubelski, zastanowił go, że to być nie może, gdyż i on i cała rodzina Suchodolskich należała do uroczystych zaprosin Koźmiana, odpowiedział książę: »Koźmian może czekać do przyszłego roku — i tak będzie, jak ja chcę«. Tymczasem ziemia łukowska, nie uwiadomiona o zmianie

[1]) Kolej.

pańskich zamiarów, przysłała ojcu mojemu oświadczenie, że go chętnie deputatem ujrzy i że mu wota swoje ofiaruje. Wielkie było zadziwienie ojca mojego, gdy się dowiedział, że rozesłani sapieżyńscy słudzy zamawiają po wsiach łukowskich i lubelskich dla Kazimierza Jastrzębskiego szlachtę; brał to za płonną wieść i wyjaśnienia jej bez żadnych za sobą starań z spokojnością czekał, gotów usunąć się od urzędu, do którego tylko namówionym został. Lecz poważniejsi obywatele, tak łukowscy jak lubelscy, uczuli w tym kroku młodego pana igraszkę z siebie i ubliżenie starszemu wiekowi i zasługom zaproszonego przez nich kandydata. Sapieha, ostrzeżony o powszechnem nieukontentowaniu, zawsze lekceważąc tę sprawę, na cztery niedziele przed sejmikami przyszedł do mego ojca z wizytą i na dawnej poufałości stopie rzekł do niego: »Już to na ten rok WPan nie możesz być deputatem, ale Jastrzębski; przyrzekłem mu to, a WPana obierzemy na przyszły trybunał«. »Bardzo dobrze, mości książę, odrzekł mój ojciec, choćby i nigdy, przystaję na to, lecz niech książe mówi z obywatelami; jeżeli oni mnie uwolnią od danego im przyrzeczenia, zgodzę się z ich wolą; w tej chwili nie jestem panem mego słowa, a spodziewam się, że książę nie zapomniałeś skutku i ich i swoich zaprosin; jeżeli sam zmieniłeś swój zamiar, przynajmniej mi przeszkadzać nie będziesz«. »Jak widzę, zawołał Sapieha, Waść chcesz ze mną emulować; za mały na to jesteś«. »Mości książe, rzekł z godnością mój ojciec, wiedz, że choć miałem myśl odstąpienia, od tej chwili nie odstąpię; obywatele między nami rostrzygną«. Sapieha rozgniewany wytoczył się na pół pijany z pokoju ojca mojego i odtąd obiedwie strony swoje starania przedsięwzięły. Roze-

słani z tej i z tej partyi przyjaciele rozbiegli się po wioskach między drobną szlachtę. Nietrudno było dla mego ojca znaleść sobie przychylnych, wielu szlacheckich synów trzymał on przy sobie jako dependentów, a przytem nie było wsi szlacheckiej w województwie lubelskiem, w którejby nie miał dalekich krewnych lub powinowatych. W ziemi łukowskiej Łaski sędzia ziemski, Jastrzębski podsędek i Domaszewski sędzia grodzki zajęli się zamawianiem wotów. Z swojej strony Sapieha przemówił do 500 lubelskiej i łukowskiej szlachty, lecz widząc, że przeciwnika jego liczniejsza była partya, udał się do przekupstwa i w tym celu u trzech bankierów lubelskich, Heislera, Webera i Finka, szukał pieniędzy; lecz ci, świadomi powodu, a od dawna mający z ojcem moim przyjazne stosunki, oświadczyli mu, że przed sejmikami nie dadzą, po sejmikach znajdzie książę otwarty kredyt. Niezrażony tą odmową udał się do Warszawy i zaciągnął kilka tysięcy czerwonych złotych u bankierów tamtejszych, a pewny swojej przewagi, między młodymi paniczami warszawskimi chełpił się przyszłem swojem nad szlachcicem zwycięstwem i tak ciekawość ich pobudził, że kilkunastu wypieszczonych elegantów udało się z nim do Lublina, aby być świadkami walki. Nadszedł więc dzień sejmików. Tłumy szlachty napełniły ulice. Garnizon wyszedł z miasta, trybunał zalimitował na dwadzieścia cztery godzin sesyę i tłumny sejmik rozpoczął się od mszy świętej w kościele Dominikańskim. Po jednej stronie stanął w stallach książę Sapieha z swoimi przyjaciółmi, otoczony kilku hetmańskimi rębaczami, po drugiej ιój ojciec z gronem przyjaznego obywatelstwa, do którego rzyłączyli się dependenci i prawie cała przychylna palera. W środku zasiedli urzędnicy wojewódzcy, ławki

w kościele zajęła publiczność i wyfryzowani przy szpadach eleganci warszawscy. Szlachta, tłumnie zapełniając cały kościół, z przedrzeźnianiem i z szyderstwem spoglądała na nich. Gdy po mszy pierwszy z porządku urzędnik zagaił sejmik i podał kandydatów na marszałka, zaraz się stał krzykliwy spór. Partya sapieżyńska wrzeszczała: »Nie pozwalamy na Jastrzębskiego, podsędka łukowskiego, jako na znanego przyjaciela Koźmiana«. Partya ojca mego z głośniejszym jako liczniejsza krzykiem tosamo powtarzała przeciw jednemu z Suchodolskich. Wśród tego wrzasku wpada szlachcic i na partyę mego ojca woła: »Suchodolski w kaplicy przysięga na marszałka«. Na to stojący przy moim ojcu młody jego dependent niejaki Jan Dmochowski szlachcic, dziedzic części we wsi Iżycach, zagorzały ojca mego stronnik, krzyknął: »Albo ja trup albo Koźmian deputatem!« i rzuca się w tłum szlachty, wpada z nią do kaplicy; tam przewracają stolik, wydzierają krucyfix, rozdzierają rotę przysięgi, wyganiają pałaszami przeciwników, obsaczają kaplicę i wrzeszcząc: »Niech pan Jastrzębski przysięga!« wracają. Próżno Sapieha, stanąwszy na ławce, głos zabiera i partya jego woła: »Nie pozwalamy!«, Jastrzębski wykonywa przysięgę i wzywa o podanie kandydatów. Łaski, sędzia ziemski łukowski, podaje ojca mojego, książę Sapieha Kazimierza Jastrzębskiego. Tasama scena rozpoczyna się, co przy wyborze marszałka. Książę Sapieha staje na ławce, popiera głosem swojego kandydata, a gdy wrzask go zagłusza, kończy mowę temi słowy: »A kiedy tak, to ten rozstrzygnie!« i miał nieroztropność wyciągnąć pałasz do pół pochwy. — Nie dano mu go dalej dobyć, zrzuco z ławki, w mgnieniu oka błysnęło tysiąc szabel, oparli się im rębacze hetmańscy. Na ten gwałt i krz

wychodzi z zakrystyi przeor dominikański ksiądz Drohojewski z Sanctissimum w ręku, woła, zaklina: rozjadły tłum jednych rąbie, drugich płazuje; Sapiehę ukrytego pod ławką ściga z gołym pałaszem szlachcic na pół pijany; ten ucieka i chroni się pod kapę i szaty kapłana; szlachcic zamierza się, chce go rąbnąć; przeor w jednej ręce utrzymuje puszkę, drugą chwyta za klingę; szlachcic szarpnąwszy podrzyna mu palce, krew broczy stopnie ołtarza. Nie hamuje się gmin szlachecki, rzuca się na elegantów warszawskich, jednych tupety targa, drugich płazuje i wypędza z kościoła. Zbroczony krwią kościół w interdykcie. Sapieha przez zakrystyę cichaczem uchodzi, partya jego wyparta, zamykają kościół — wybierają Koźmiana jednomyślnie, spisują laudum[1]), a że się lękają, aby w innym kościele nie zachciało się upokorzonemu panu zgromadzić swojej czeredy i sejmik rozdwoić, szlachta pod swymi dowódcami przez całą noc oblega wszystkie kościoły i nie ustępuje, aż się dowiedziała, że Sapieha w nocy odjechał do Lubartowa. Elekcya ta zmartwiła ojca mego. Napisał zaraz do króla, lecz Stanisław August, będący wtenczas w niezgodzie z hetmanem Branickim, w duszy cieszył się z upokorzenia Sapiehy, a świadom niewinności mego ojca i razem ujrzawszy dowód jego znaczenia i przewagi w województwie lubelskiem, wkrótce po odbytej jego funkcyi na deputata, podanego sobie między kandydatami podsędkiem mianował, a potem na urząd sędziego ziemskiego lubelskiego wyniósł. Sejm ten odbył się w r. 1784., na trzy lata przed laską marszałka Jana Małachowskiego.

---

[1]) Tak zwano u nas ustawy i przepisy województw i ziem, i zjazdach publicznych za powszechną zgodą ustanowione.

Dałem jego obszerny obraz dla wiadomości, jak się odprawiały sejmiki w Polsce, nim inny im porządek prawo r. 1791. przepisało.

Sprawa sapieżyńska w r. 1787.

Książę Kazimierz Sapieha, straciwszy przewagę w Lubelskiem, starał się jeszcze przez jakiś czas o wpływ na trybunał i uczęszczał do Lublina. Żona sprzykrzyła sobie życie z nim, odjechała go do Krakowca, mieszkania ojca swego, wojewody bełzkiego, i zaczęła z nim rozwodowy proces. Doprowadziwszy do skutku rozwód, wniosła drugą sprawę do sądu ziemskiego lubelskiego o powrócenie sobie dóbr, których dziedzicem był jej syn, młody książę Roman, a ona z mocy zapisu dożywotniczką. Książę Sapieha chcąc się jeszcze jakiś czas utrzymać przy majątku pasierba, wniósł ze swojej strony pozew o różne pretensye i o utrzymanie siebie przy użytkowaniu z dóbr, dopóki summy jego naprzód wylikwidowane, a następnie zapłacone nie będą. Gdyby był swego dokazał, mógłby był likwidacyę długów zwłóczyć, dopókiby chciał, mógłby był o najmniejszy dług i pretensyę oddzielnymi procesami rzecz całą utrudzać i kilkanaście lat dobra *nullo iure* posiadać z krzywdą małoletniego i matki. W tak złej sprawie nie dogadzało mu z przyczyny sejmikowych uraz, iż miała ona przychodzić pod sąd, któremu ojciec mój przewodniczył, zwłaszcza że na tak gorszący proces nie tylko obruszyła s cała można familia Sanguszków i z nią skrewnione dor możnych, lecz dwór i cała powszechność. Pan Igna

Potocki, marszałek nadworny litewski, znany ze szlachetnego sposobu myślenia, ujrzawszy mego ojca w Puławach, rzekł do niego: »Panie Sędzio, nie dopuść, aby tryumf odniosła nad małoletnim i opuszczoną matką tak gorsząca sprawa, jaką popiera Sapieha w twoim sądzie«; a król Stanisław August, proszony o instancyę, księżnie marszałkowej Sanguszkowej odpowiedział: »Wdałbym się do innego sądu, do lubelskiego niema potrzeby«. Tymczasem książę Sapieha i matka jego, nie spodziewając się wygranej w sądzie, bądź że mieli wewnętrzne przekonanie o nieprawości sprawy i sprawiedliwości sądu, bądź że posądzali ojca mego o chęć zemsty za owe sejmiki, zamierzyli większość sądu ująć, a gdyby się to nie udało, rozdwoić. Gdy więc nie powiodły się rachuby na podsędku Trzcińskim i pisarzu Janiszewskim, zastawili na tego ostatniego innego rodzaju sidła. Wiedzieli oni, że ten dotąd nieskażony i prawy urzędnik, od najmłodszego wieku żył w ścisłej i niezachwianej przyjaźni z ojcem moim i oba kochali się jak bracia; lecz i to wiedzieli, że Janiszewski był przez żonę złączony z Tomaszem Dłuskim, podkomorzym lubelskim, mężem wielkiej powagi nie tylko w województwie, lecz w kraju, i że Janiszewski całą swoją jak nazywano krescetywę [1]) winien był znaczeniu Dłuskiego. Naprzeciw więc cnoty bezstronności sądowej i sprawiedliwości cnotę wdzięczności wystawili i, ażeby razem dać więcej prawności sprawie, wypuścili dzierżawą całą Lubartowszczyznę podkomorzemu Dłuskiemu, aby ten prawami swojemi dobrą wiarą nabytemi Lubartów od praw żony

[1]) Wzrost, wywyższenie.

i małoletniego syna osłonił aż do expiracyi kontraktu. Sprawa więc tak przygotowana *magno motu*, weszła na stół sądu ziemskiego lubelskiego. Zjechał na nią osobiście książę Sapieha wraz z matką. Przy wprowadzeniu jej postać sądu ziemskiego odbywającego posiedzenia swoje w ratuszu nad trybunałem, przybrała niezwykłą wystawę. Najpierwsi mecenasi opuścili kratki trybunalskie i od kratek ziemskich bronili stron zwaśnionych. Cała publiczność przeniosła się tłumem na posiedzenie sądu ziemskiego. Książę Sapieha stał przy sądzie, matka siedziała obok niego na krześle z zapalonemi oczami, raz z nich ocierając łzy, drugi raz pożerając niemi obrońców przeciwnej strony. Była to kobieta już sześćdziesięcioletnia, znacznych w czerwonej twarzy rysów. Pierwszy raz spostrzegłem, jak jest brzydka kobieta pieniaczka. Po skończonych induktach[1]) wszczął się zaraz spór w sądowej izbie. Ojciec mój i podsędek Trzciński, opierając się na wyraźnem prawie, które w podobnych zdarzeniach natychmiast, *ante omnia* deokupacyę dóbr nakazywało, oświadczyli się za powróceniem ich matce młodego dziedzica. Janiszewski zaś pisarz, uważając w tej sprawie *novum emergens*, possesyę Tomasza Dłuskiego *in bona fide* nabytą, a stąd krzywdę trzeciego, proponował *ante omnia*, kondescencyą [2]) do uznania pretensyi, wylikwidowania deportatów [3]) i dopiero na terminie ich wypłaty ustąpienie z dóbr za słuszne uznawał. Było to jedno, co wyzuć Sanguszków sukcesora i matkę z majątku do nieozna-

---

[1]) Wprowadzenie sprawy przed sądem.

[2]) Zjazd sądu na grunt dóbr jakich, gdzie spór zaszed

[3]) Tak zwano długi, przez dożywotnika z dóbr dożyv ı poddanych spłacane.

czonego terminu, gdyż, jak to już wspomniałem, znane były sposoby zwłoki i wykręty przez pieniaczów wymyślone, których użyć Sapieha by nie zaniedbał. Ojciec mój, chcąc godzić i rzecz samą i sąd, wynalazł sposób średni, nie obrażający prawa, a tem się sam więcej uśmiechający, że on, przyznając Sapieże to, co mu prawnie przyznanem być mogło, okazywał w jego oczach, że gdzie chodzi o oddanie sprawiedliwości, wtedy bez względu na przyjaźń lub nieprzyjaźń, nie urazą lub wdzięcznością, lecz sumieniem się powoduje. Wspólnie więc z podsędkiem zgodzili się na wyrok niezwłocznego ustąpienia z dóbr, lecz w dzień tego ustąpienia rozkazano Sanguszce *sub conditione sine qua non* zapłacić Sapieże summę 200.000 złotych jako wykazaną w induktach i za dekretami przez niego w zastępstwie żony zapłaconą, a dla rozpoznania i wylikwidowania reszty pretensyi wyznaczono zjazd całego sądu na grunt, z regułą w czterech niedzielach ostatecznego rozsądzenia. Pisarz Janiszewski rozpisał się od tego wyroku na błahej zasadzie, że prawo zabrania sądom likwidacyi na stole, co w żadnym względzie do obecnego wyroku sądu naciąganem być nie mogło. Przeczytano więc głośno wyrok, pisarz swój rozpis w protokole zostawił. Sapieha założył apelacyę do trybunału, tej nie dopuszczono. Wychodząc podziękował wraz z matką pisarzowi za rozpis [1]) i z gniewem wyszli oboje z posiedzenia. Drugiego dnia zaraz zaniósł Sapieha do akt trybunalskich zjadliwy manifest przeciw wyrokowi, a w kilka dni położono żonie pozwy, wywołano sprawę główną do trybunału i takieżsame

[1]) Różność zdań sędziów w rozwiązaniu sprawy.

pozwy wymierzono przeciw sądowi ziemskiemu lubelskiemu *de male gesto officio*, do regestru *poenalium* [1]), z którego według prawa raz tylko w tydzień przywoływano sprawy przeciw występnym sędziom o odsądzenie ich od urzędu lub ukaranie, gdy nie zjechał na kadencyę, gdy się dał przekupić lub się dopuścił gwałtu na osobie.

Wszczęły się tedy po aktach manifesta i remanifesta, sąd ziemski w swoich odwoływał się po sprawiedliwość do trybunału za zadanie sobie obelgi, domagał się od króla i publiczności protekcyi przeciwko możnowładcy, naigrawającemu się z ustaw i prześladującemu urzędników krajowych za nieposłuszeństwo swej woli. Sprawa więc obruszyła całą publiczność i pod laską Małachowskiego do rozstrzygnięcia przypadła. Matka i syn Sapiehowie, zjechawszy na nią, poruszyli wszystkie sprężyny intryg, namów, naprzykrzeń, wizyt, uczt, nakoniec przekupstwa, tak, że się cnotliwsi deputaci zamykali w swoich domach i naprzykrzającą się Sapieżynę przyjmować odmawiali. Ranku więc jednego przekupiła służącego i wpadła do sypialnego pokoju Jabłońskiego, deputata mazowieckiego; zastawszy go w łóżku, zaczęła indukować swoją sprawę, a gdy ten młody, lecz cnotliwy człowiek błagał, aby przestała, mówiąc, że mu się nie godzi słuchać wywodu sprawy tylko na ratuszu, przeniosła swoje natrętne żale do żony i karesując ją, wzywając jej instancyi do męża, wsunęła jej pod poduszkę dwa rulony z dukatami. Gdy wyszła, żona, sięgnąwszy pod poduszkę, zarumieniła się i okazała zostawiony datek mężowi; ten go porwawszy, wybiegł za bezczelną ko-

---

[1]) Regestr spraw karnych, o czem później będzie mow obszerniej.

bietą, dopędził na schodach, przytrzymał za suknię, wołając z gniewem: »Księżno! odbierz tę hańbę, którąś mnie okryć chciała, bo ci ją publicznie w sądzie na stole położę«, i z pogardą wrzucił jej ładunki przez okno do karety. Stawiła się na tę sprawę i liczna familia książąt Sanguszków i inni książęta i panowie z nią spokrewnieni. Była to prawdziwa walka dwóch możnych rodzin, między które los nieszczęśliwy rzucił jak ofiarę niewinnego obywatela; lecz rodzina Sanguszków zachowała się przyzwoicie i w cichości. Sapieha sam trzymał plac otoczony zawsze licznem gronem oficerów (gdyż pułk fizylierów litewskich stał wtedy w Lublinie) i jurgieltników hetmańskich, na których czele był Suchodolski, deputat chełmski. Mecenasi trybunalscy okazali tu prawie wszyscy wstręt do tak gorszącej sceny i razem dowód szacunku i przyjaźni dla mego ojca. Żaden nie podjął się bronić od kratek sprawy, nawet kapitulowani od hetmana Linczewski i Czajkowski odmówili, tak, że Sapieha ledwie jednego ujął i ubłagał dopiero co zaczynającego zawód kratkowy niejakiego Zborowskiego Krakowianina mało znanego memu ojcu. Z tego powodu wziął Sapieha na siebie postać uciśnionego i prześladowanego, i to chciał wmówić w publiczność. Ratusz przez trzy dni, przez które trwały indukty, napełniony był natłokiem ciekawej publiczności. Gmin podsłuchiwał pod ratuszem, oczekując wyroku. Sama izba sądowa wystawiała teatralną scenę. Trzech najpierwszych i najwymowniejszych mecenasów, Grudziński, Kański, Dederko, bronili sądu ziemskiego. Z jednej strony za balustradami stał Sapieha, otoczony oficerami i przyjaciółmi, ubrany w mundur generała artyleryi litewskiej i w orderach. Matka siedziała obok niego na krześle. Z drugiej strony

za żelazną kratą stał sąd ziemski oskarżony i szereg Sanguszków okrytych orderami i gwiazdami, jako to książę Hieronim, wojewoda wołyński, syn jego książę Eustachy, książę Roman, piętnastoletni młodzieniec, książę Janusz, strażnik[1]) wielki koronny, książę Stanisław Jabłonowski, szef gwardyi koronnej, Jerzy Potocki, starosta tłomacki, mający za sobą Jabłonowską urodzoną z Sanguszkównej, i wielu innych panów. Dla lepszego przysłuchiwania się, wielu widzów stało na ławkach pod murami umieszczonych. Cichość była wielka. Grudziński mecenas, ostatnią mający replikę, tak ją zakończył: »Sędziowie! widzę między wami kilku piastujących tensam urząd, z którego teraz sędzia i podsędek lubelski do odpowiedzialności przed wami pociągnieni zostali. Słyszeliście najniesprawiedliwsze zarzuty i dowiedzioną oskarżonych niewinność. Jeżeli poświęcenie się dla współziomków i kraju z ofiarą osób, majątku, czasu i wypełnienie wiernie i nieskazitelnie powołania swego takie ma przynosić owoce i takie nagrody; jeżeli od możnych nie czeka prawych sędziów tylko prześladowanie i obelgi honoru: widzicie jawnie waszą przyszłość, zadrżyjcie na los i przeznaczenie waszego plemienia, jeżeli ten i jemu podobne przykłady rozsieją odrazę od tego rodzaju posług w prawych i nieskażonych obywateli sercach«. Na te słowa porwała się stara Sapieżyna z krzesła jak oparzona, ale książę Jabłonowski młody i żywy, odezwał się: »Mościa księżno! uszanowanie dla sądu«. Następnie

[1]) Urząd dosyć wysoki, którego rozdawnictwo służyło pierwotnie hetmanom, a od r. 1776. królowi. Obowiązkiem strażnik było zrazu pilnowanie kraju przeciw Tatarom; później zasia oni tylko w sądach wojskowych.

książę Sapieha, dobywszy kilkuarkuszowej mowy, którą był przygotował, zapytał się marszałka, czyli mu wolno będzie przymówić się; a gdy otrzymał służące mu z prawa przyzwolenie, brzmiącym wymownym głosem, z rzewną deklamacyą, z których już na sejmie słynął, z początku z pamięci mówił, a następnie czytał. Pamiętam początek jego mowy: »W wolnym zrodzony narodzie, pod wolnym współziomków zostający rządem, unikający cudzej krzywdy, a czczący praw świętość, spodziewałem się, że jak jestem wolny od winy, tak będę wolnym od ucisku; smutne atoli zdarzenie przeciwnych dało mi doświadczyć losów i głos ten, który zwykłem poświęcać usługom ojczyzny, dziś zmuszony jestem podnieść na zaskarżenie bezprawnych sądu ziemskiego lubelskiego wyroków« — i w tak wymownym sposobie w postaci uciśnionego, wyliczywszy swoje zasługi w kraju, przeszedł jak adwokat biegły do obrony prawnej z wielkim talentem wymowy poruszającej słuchaczów. Gdy skończył tę dwugodzinną mowę, ojciec mój powstał i prosił o podobne przymówienie się, i z zimną krwią, z spokojnością, bez deklamacyi, te kilka słów wyrzekł (stałem obok niego wtedy): »Nie będę się mierzył z tak słynnymi w kraju talentami i wymową księcia jegomości generała artyleryi; nie będę powtarzał sprawy tu wytoczonej, bobym ubliżał doskonale stawającym od sądu naszego obrońcom. Przyznaję te znakomite zasługi w kraju, te świetne przymioty, które nam książę jegomość w tak doskonałym obrazie osoby swojej wystawił. Porównam tylko tę doskonałość do promieni słońca, które gdzieindziej wygodnie świecą, u nas zaś tak przykro dogrzewają, że aż pod cień powagi i sprawiedliwości twojej, najjaśniejszy sądzie, chronić się musim«. Na te słowa powstał śmiech ukontentowania

w całej powszechności i wzrok ironiczny zwrócił się na Sapiehę, a mój ojciec skończył temi słowy: »Skończę więc zupełnem zaufaniem w sprawiedliwość twoją, najjaśniejszy sądzie, i powtórzeniem słów obrońcy naszego *Cavete Superi, et vos fata manent“* [1]). Nastąpił ustęp — tłum słuchaczów oczekiwał — przez drzwi sali sądowej słychać było tylko perorujący głos Suchodolskiego, deputata chełmskiego. Przy kreskowaniu przyjaciele nawet hetmańscy odstąpili Sapiehy, zadzwonił marszałek, przeczytano przy wielkiej cichości wyrok. Nie uznano regestru poenalium za właściwy. Za wywołanie do niego sprawy skarano Sapiehę 500 grzywnami; sprawę główną do regestru ordynaryjnego odesłano. Tak honor ojca mego ocalonym został. Sąd ziemski wyrok swój do skutku doprowadził. Sapieha z Lubartowa deposedowanym [2]) został, wyjechał i już tak prędko w województwie lubelskiem nie ukazał się. Przyznać należy, że jak trybunalskie szermierstwa i sejmikowe przewodzenia kaziły przez jakiś czas tego pana wielkie przymioty i talenta, tak gdy się zrzekł tego zawodu i na drogę właściwą swemu wyższemu wychowaniu i szlachetnym uczuciom zstąpił, w posługach krajowych z miłości kraju, z gorliwości, z talentów między pierwszymi patryotami zajaśniał. W lat parę obrany posłem z województwa brzeskiego litewskiego, na sejmie 1788. jednomyślnie na marszałka tegoż sejmu przez prowincyę litewską powołany został. Oświecony i gorliwy Polak odstrychnął się od wuja swego Branickiego, stanął na czele dobrze myślą-

[1]) Miejcie się na baczności, wielcy; i wyście podlegli losowi.

[2]) Utracił prawo własności.

cych posłów litewskich. Sprawę z Sanguszkami i z sądem lubelskim poddał pod sąd polubowny kolegi swego marszałka Małachowskiego, aby urazy nie różniły sejmu. Pogodził się z Sanguszkami, zasłynął wymową, której palma słusznie mu należała, popierał nią wszystkie zbawienne tego sejmu dla kraju ustawy, przeważnie należał do ustanowienia konstytucyi 3. maja, bronił jej i wiernym do końca pozostał. Podczas konfederacyi targowickiej usunął się do Drezna z wszystkimi równie jak on myślącymi towarzyszami. Roku 1794. stanął nie jak generał, lecz jak prosty kanonier i mimo krótkiego wzroku armatami kierował. Kościuszko wyprawił go do województwa lubelskiego, aby powstanie przyśpieszył; zjechał do Lublina i tu dał publiczny dowód swego szlachetnego i prawdziwie patryotycznego sposobu myślenia. Zastał już zgromadzonych obywateli, na sam odgłos powstania gotowych do przystąpienia do aktu. Znajdował się i mój ojciec w Lublinie. Książę Sapieha stał na Korcach u Gizowskiego Węgrzyna, mój ojciec u Reformatów. Obywatele, przyjaciele obydwóch stron umyślili pojednać tych dwóch antagonistów i oświadczyli memu ojcu, że książę pytał się o niego, z szacunkiem mówił o nim i pierwszy iść do niego oświadczył się. Mój ojciec umyślił go uprzedzić. Szliśmy tedy do niego, gdy z okien otwartych spostrzegł książę idących nas ku jego mieszkaniu; wybiegł na ulicę bez kapelusza, ubrany w sukmankę krakowską, i zbliżywszy się do mego ojca, ukląknął przed nim i zawołał: »Sędzio kochany, daruj! przebacz szaleństwa przeszłe dla miłości ojczyzny; przepraszam cię tu, wobec całego obywatelstwa, łączmy się wszyscy w jeden węzeł, ratunek kraju potrzebuje naszych ramion«! I rzucił się na szyję ojca mego. Tak

publicznie się uścisnąwszy, udali się na rynek, gdzie Sapieha wstąpiwszy na stół, ognistą mową zachęcił mieszkańców, i wszyscy zaraz na ratuszu akt powstania podpisali. Sapieha ciągle służąc w obozie Kościuszki po wzięciu przez wojska rosyjskie Warszawy udał się do Wiednia, tam umarł wkrótce i wszystkie znakomite zalety w czterdziestym roku życia w grobie zagrzebał. Dodać tu winienem do tego opowiedzenia, że hetman Branicki do żadnych tych emulacyi Sapiehy z ojcem moim nie należał. Owszem napisanym do mego ojca listem zapędów swojego siostrzeńca nie tylko nie potwierdził, lecz je naganił.

Dalszy ciąg wspomnień z r. 1787. i następnych.

Roku 1787., w którym się powyższa sprawa sądziła, jeżeli mnie pamięć nie zawodzi, król Stanisław August z dworem swoim przejeżdżał do Kaniowa. Unikając przyjęcia, minął miasto i stanął na Tatarach, w domu przygotowanym przez Mniszcha, marszałka W. koronnego, starostę lubelskiego. Zastał przy drzwiach kilku urzędników wojewódzkich, a na ich czele Tomasza Dłuskiego, podkomorzego lubelskiego, który był popadł w niełaskę, a szukając sposobności przybliżenia się do króla, obrał tę jako gospodarz województwa; i króla powitawszy, oświadczył mu służbę około osoby jego czynić dawnym zwyczajem owych czasów, w których królowie, zwiedzając województwa, powierzali ją swoim urzędnikom wojewódz kim i w tym celu urzędy nadworne zostawili przy zie mianach. Król mile przyjął to oświadczenie, lecz pros

siedmdziesięcioletniego starca, aby pofolgował wiekowi; lecz podkomorzy odwieść się nie dał i pełnił służbę szambelana. Był przy królu biskup Naruszewicz, marszałek Mniszech, Onufry Kicki i wielu innych panów. Biskup Lenczewski, dawny dyrektor króla, przedstawiony mu został. Król go czule uścisnął, o ojcu swoim i młodości swojej uprzejmie rozmawiał, czem oczarowany starzec napisał wiersze, liche niezmiernie, lecz z całem wylaniem się wdzięczności; były to prawdziwe kantyczki, oddał je królowi przez ręce Naruszewicza.

Zjawiły się podówczas w Lubelskiem, z wielkim przestrachem mieszkańców, najazdy zbrojnego żydostwa na szlacheckie domy, tak, że mieszkańcy ziemscy musieli domy swoje obsaczać na noc uzbrojonymi strzelcami, aby spokojnie przespać ją mogli, i każdy dom opatrywał się w liczne i zawsze nabite pistolety i strzelby. W sam dzień Trzech króli najechano szlachcica pod Krasnystawem mieszkającego Kulbackiego, u którego hultaje izraelscy przepatrzyli pieniądze. O północy więc kilkunastu z bandy złoczyńców śpiewali kolędę, a drudzy zakradli się pode drzwi, a gdy szlachcic wyszedł do nich, pochwycili, męczyli, zabili i dom złupili. Podobna zbrodnia spełnioną została przez żydów w Trzydniku czyli Rzeczycy pod Kraśnikiem. W parę niedziel pochwytano hultajów na podobnym uczynku, którzy wspólników wydali. Główny herszt uchwycony uszedł z więzienia, powtórnie schwytany bronił się. Nie ustały te rozboje aż po okropnej egzekucyi winnych za dekretem sądu ziemskiego, której byłem świadkiem: czterech żydów powieszono za miastem, po śmierci herszta ćwiertowano, i ćwierci te wisiały długo na murowanej szubienicy jako pastwa kruków. Jednego, który wiarę katolicką przyjął, ścięto na rynku. Patrzałem

na tę okropną scenę z okna na drugiem piętrze. Szczęściem, że stojący za mną kolega trzymał mnie za suknię, gdyż zamach katowskiego miecza, spadnięcie głowy i krew na piasek bryzgająca, tak zaćmiły mi oczy, iż byłbym spadł z drugiego piętra, gdyby mnie był mój towarzysz nie utrzymał. Rzecz szczególna, widok ten taki mi dał wstręt do mięsa, że przez miesiąc cały patrzeć na nie i pożywać go nie mogłem. Król mówił z moim ojcem o tej okropnej egzekucyi i zdawał się z jednej strony czuć potrzebę policyi w kraju, w którym prawie żadnej nie było, z drugiej użyteczność łagodniejszych praw kryminalnych, mniemając: że tego rodzaju kary publiczne więcej przyzwyczajają lud do okrucieństwa, niż odrażają od zbrodni. Jakkolwiekbądź, kara tak przeraziła hultajstwo żydowskie, że najazdy ustały.

W kilka niedziel król powracał z Kaniowa, nie jechał na Lublin może dla niezbliżenia się do Puław, gdyż od sprawy Dugromów i od sejmików podolskich poróżnił się był z księciem Adamem. Obrócił drogę na Żółkiewkę, spoczywał dzień w domu Stamirowskiego, exstarosty krasnostawskiego. Tam mu obywatelstwo lubelskie zajechało drogę, był wesoły i kontent z swojej wizyty w Kaniowie, i złemi drogami na Studziankę i Rachów udał się do Warszawy. W Studziankach u obywatela Brodowskiego jadł swój własny obiad. Córki tego obywatela śpiewały mu polskie piosneczki i obdarzone zostały prezentami.

Po przejeździe króla zaczęły się rozchodzić wieści o wojnie między Rosyą, Austryą a Turkami, do której w Kaniowie miała być Polska wciągniona; o połączeniu się Prus z Anglią dla zrobienia dywersyi ku uratowaniu Porty otomańskiej. Zaczęto szeptać i rozbierać, co w takim razie Polsce czynić należy; uznawano, że w tem po

różnieniu monarchów, którzy podzielili Polskę, nadchodzi dla niej pora jedyna i niepowrotna ratunku lub zguby, i że korzystać z niej należy. Pod temi wrażeniami zbliżał się czas sejmu r. 1788. Możni panowie zaczęli rozpisywać listy do obywateli z oświadczeniami swych posług. Przy wyborach posłów w Lubelskiem, tesame insynuacye wyszły z Puław i już nie wątpiono, że książę Adam Czartoryski, generał ziem podolskich, stawi się między kandydatami na przyszłe wybory; ksiażę ten był podówczas w poróżnieniu z dworem i za sprawę Dugromów i za sejmiki podolskie. To nieukontentowanie skłoniło go do przyjęcia służby w wojsku austryackiem. Józef II mianował go komendantem gwardyi galicyjskiej, książę z powyższego doświadczenia i z wiadomości układów nastąpionych w Kaniowie podzierał [1]) króla, czyli nie będzie mu przeszkadzał do osiągnienia poselstwa, król zaś Stanisław bynajmniej o tem nie myśląc, uwiadomiony o tem podejrzliwem mniemaniu księcia, rozpisał własnoręczne listy do swoich przyjaciół w Lubelskiem, upoważniające ich do zapewnienia księcia, że mu nie tylko przeszkadzać nie myśli, ale najmocniej sobie życzy, aby w tak ważnej dla Polski chwili książę zaszczycił sejm swoją osobą. Jeden z takich listów otrzymał mój ojciec z poleceniem, aby go księciu ukazał. Ojciec mój dopełnił tego, lecz książę odpowiedział: »Twego wotum i życzenia pewny jestem, lecz król jegomość przez sejmiki podolskie dowiódł mi, jak ostrożnie ufać trzeba jego słowu«. Zaczęły się więc częste i liczne zjazdy obywateli do Puław, byłem z ojcem na jednym z nich, na który spodziewano

---

[1]) Podejrzywał.

się przybycia Szczęsnego Potockiego, wojewody ruskiego od sejmu roku 1786., na którym regiment swoim kosztem dla Rzeczypospolitej wystawić przyrzekł i dwanaście armat ofiarował, prawdziwego bożyszcza patryotów polskich. Przygotowano teatr i miano grać przez Kniaźnina napisaną sztuczkę Matka Spartanka, której aktorami byli: młodzi książęta Adam i Konstanty, księżniczka Zofia, sama księżna generałowa i kilku synów obywatelskich, przybranych ze szkół lubelskich. Zgromadzenie było nader liczne i świetne. Przybyli tam hetman polny Seweryn Rzewuski, Kazimierz pisarz w. koronny, czterech czy pięciu Potockich, Ignacy marszałek, Stanisław expodstoli[1]) koronny, Jan brygadyer, Piotr starosta, Dłuski starosta łukowski, Witosławski oboźny i innych wielu panów i obywateli lubelskich; oraz z duchowieństwa Piramowicz, Kobylański i t. d. Nie zjechał Szczęsny Potocki i Matka Spartanka odłożoną została. Uczty i tańce trwały przez dwa dni. Obywatele zaprosili księcia na poselstwo. Schodzono się na śniadanie o godzinie jedynastej; jakie było zadziwienie obywateli, gdy książę na tem śniadaniu ukazał się w mundurze austryackim swego regimentu, jak pamiętam białym z tabaczkowymi wyłogami, w butach z ostrogami i w orderze na wierzch orła białego. Zasmuciły się wszystkich twarze i szlachta kontuszowa szeptać między sobą zaczęła. Ojciec mój, wielki przyjaciel Witosławskiego, oboźnego koronnego, zrobił mu uwagę, iż przyszłemu posłowi nie przystało przed wyborami w obcym mundurze występować. Uznał tę uwagę za słuszną oboźny koronny, oświadczył, że jest słabością

---

[1]) Były podstoli, urzędnik dworski, który zaopatrywał s królewski w potrzebne zapasy.

księcia razy kilka przebierać się na dzień i księciu na samotności uwagę tę powtórzył. Przed obiadem już sam książę i prawie wszyscy panowie okazali się w mundurach wojewódzkich. Podczas stołu gospodarz, który wina nie pijał, wychylił kielich za zdrowie obywateli województwa lubelskiego. Po obiedzie i wzajemnych uściskach z gośćmi, stanął przed kominem. Turczyn przyniósł mu lulkę na długim ozdobnym cybuchu, przetknął aloesową drzazgą i zapalił. Pomiędzy obywatelstwem znalazł się ów Jan Dmóchowski, dependent niegdyś ojca mego, i jak wyżej opisałem, burzliwy przewodnik sejmików deputackich, a już podówczas kapitulowany plenipotent królewski. Książę, spojrzawszy na niego blisko siebie stojącego, kazał przynieść wina szampańskiego i, wychyliwszy kielich za zdrowie przyjaciół, oddał Dmóchowskiemu mówiąc: »Panie Dmóchowski, może staniesz przeciwko mnie na sejmikach; pamiętaj waść, że ja nie Dmochowski«. Usłyszała to księżna, przybiegła, kazała sprzątnąć kielichy i butelkę i rzekła: »Idź mężu spać, bo ty jesteś burda, jak się upijesz«. Książę zaczął się śmiać i zabawiwszy kilkanaście minut z wesołością i grzecznością wyszedł. Nazajutrz odbyły się wyborowe narady; — książę generał, Stanisław Potocki, expodstoli, Dłuski, starosta łukowski, Rzewuski, pisarz w. koronny i starosta urzędowski, oznaczeni zostali na przyszłych posłów.

W kilka niedziel, na parę dni przed nadchodzącym sejmikiem ojciec mój, mój brat starszy i ja z nimi, jechaliśmy w jednym pojeździe do Lublina. Wyjechawszy za Wrotków, spostrzegliśmy gęste dymy tułające się po-¬ad rzeką na łąkach. Gdyśmy się zbliżyli i przebyli most ¬a grobli lubelskiej, uderzył nasz wzrok na łąkach po ¬awej stronie grobli ku Tatarom ogromny obóz, jak

koczowisko hordy Tatarów, którym się zabłękitniła cała ogromna przestrzeń. Ujrzeliśmy białe namioty — szatry na kijach płachtami okryte, budy z gałęzi, przed niemi gorejące płomieniem ogniska, przy których zarzynano woły i pieczono na rożnach całe ćwierci. W środku to przy stołach, to przy zydlach, to na ziemi w kuczkach siedziały tłumy i pożerały strawę. Inni przy beczkach piwa i miodu, przy kufach gorzałki z wrzaskiem i hałasem, szklankami, garneczkami, dzbankami raczyli się trunkiem i wykrzykiwali wiwaty. Były i koła próbujące pałaszów i ścinające się w nie. Tabor kilkuset koni pasł się i wałęsał między tą zgrają, a rozstawione powózki podlaskie w liczbie kilkuset jednokonne, hołoblane z hołoblami do góry otaczały ten obóz po bokach i formowały tabor. Co to jest? zawołał mój ojciec, spotkawszy kilku szlachty na grobli; ci odpowiedzieli: to partya podlaska naszego księcia«. Ledwieśmy wjechali na przedmieście ku Dominikanom, spotkaliśmy taczające się po drodze tłumy szlachty w kapotach, opończach przy szablach; ledwie z trudnością mogliśmy się dostać przed kamienicę. Gdyśmy wysiedli, nim się mój ojciec przebrał w inną suknię, przyszło do niego kilku obywateli miejskich i wiejskich z zażaleniem, że niema bezpieczeństwa żadnego w mieście, że głowy bez obawy porąbania wychylić nie można na ulicę, że musiano i w mieście i na żydach pozamykać sklepy, że szlachta je odbija i rabuje, że spotkawszy słusznego obywatela Janiszewskiego z Bychawki, sądząc, że to Dmóchowski, do którego miała jakąś niechęć, a sądząc dlatego, że był rudy i niski, chociaż tamten był prosty a ten kulawy, przy zagrzanyc trunkiem głowach zrąbała go, iż poranionego i obronio nego przez brata musiano zanieść do domu; że chorążeg

lubelskiego Poniatowskiego napastowała na ulicy i chciała mu oberwać szablę z bogatą rękojścią; i byłoby przyszło do walki, gdyby ten odważny starzec silnem i śmiałem stawieniem się i przybyciem kilku przyjaciół nie był odtrącił od siebie tej napastnej czeredy; że mecenasowi i obywatelowi osiadłemu Podhorodeńskiemu okna wybiła, a na jego wyrzuty, że nie przystoją na szlachtę gwałty i rabunki, odpowiedziała kamieniami i głowę mu zraniła; prosili więc ojca mego o wstawienie się do księcia, aby ten tłum na pół dziki kazał wyprowadzić z miasta, zakazał poić i do miasta wpuszczać. W godzinę potem przybyli do mego ojca oboźny Witosławski i kilku przyjaciół księcia z powitaniem go i z zaprosinami do księcia. »Miałem zaraz udać się do księcia jegomości, rzekł mój ojciec, ale po tem, co się dzieje (tu opowiedział im wszystkie dokonane gwałty) nie ruszę się bez *Salvum conductum*[1]) od księcia, bo nie śmiem mojej osoby narażać na niebezpieczeństwo«. Ci mu odpowiedzieli, że wie już książę o niektórych wydarzeniach, cierpi na nie, i już rozesłano do dowódców każdej podlaskiej wioski osobno koczującej, aby rozbujałych panów braci w porządku utrzymali. Niemało to kosztowało księcia i perswazyi i pieniędzy, bo każdy dowódca dopiero przyrzekł porządek utrzymać, gdy wziął kilkanaście dukatów na rękę. Książę uprzedził ojca mego z swoją wizytą, a gdy wszedł do jego pokoju z panem Stanisławem Potockim i z innymi panami, rzekł: »Sędzio kochany, nie posądzaj mnie, żebym upoważniał te wypadki lub nie cierpiał na nie, których sobie panowie

---

[1]) Rodzaj listu żelaznego.

bracia szlachta łukowska dozwoliła; już ich uprosiłem, że się nie powtórzą«. »Ale mości książę, w tej pewności, że jednomyślnie wykrzykniętym będziesz na posła (bo o to prosić raczej Wksmości nam należało, jakeśmy to uczynili, niż jemu się starać), czy potrzeba było taki tłum sprowadzać, z którego wielu nigdy miasta nie widziało«? »Mój sędzio, odpowiedział książę, kto się na gorącej wodzie sparzy, ten na zimną dmucha; wreszcie mniej tu ja, niż moi zbyt gorliwi przyjaciele i oficyaliści są winni. Ale ja tu przyszedłem cię prosić, abyś się pozwolił wpisać na listę kandydatów. Nie odmawiaj — ja ciebie w imieniu ojczyzny wzywam; już z tobą będziem mieli pięciu kandydatów, szósty może się nam w kościele objawi. Sejm następujący będzie nader ważny, okoliczności sprzyjają albo teraz albo nigdy«. Staliśmy wtedy obok naszego ojca, ten rzekł: »Mości książę, sejm przyszły potrwa i może stać się nieustającym; na tak długą posługę w stolicy ci mi nie pozwalają«, i wskazał na nas; »przytem urząd mój sędziego przywiązuje mnie do Lublina, nie mógłbym razem dwom obowiązkom wydołać«. Książę na to uścisnął nas, zaczął głaskać, mówiąc: »Przyczyńcie się do ojca; ja krajowi memu i wam prawdziwie dobrze życzę. Nie odmawiaj, kochany sędzio! nie lękaj się wydatków, będziesz stał w moim domu i żyć będziem jak przyjaciele, a urząd twój zastąpi podsędek[1]) lub na kadencyę będziesz mógł zjechać«. »Mości książę, wydatków się nie lękam, gdy idzie o dobro kraju; lecz książę znajdziesz wielu zdolniejszych ode mnie, co

---

[1]) Podsędek zastępca sędziego, który sprawował sądy zwane ziemskimi.

przyjmą tę posługę i ofiarę Wksięcej mości«. Lecz książę nie ustąpił, użył tyle czarującej uprzejmości, czułości, uściskań i prośb, że nakoniec ojciec mój przyjął kandydaturę. Kto był? co był książę generał Czartoryski, wie nie tylko Polska, lecz Europa. Nie wiedzących odsyłam do biografii jego przeze mnie na wezwanie syna jego najstarszego napisanej, a na francuski język przełożonej i drukowanej, oraz do pochwały jego przez Fryderyka hrabiego Skarbka w Towarzystwie przyjaciół nauk wyrzeczonej. Tu tylko co do samej osoby jego dodam. Uczony, utalentowany, szlachetny, dobry, wspaniały, ludzki, dowcipny, wesoły, żartobliwy, ozdobiony wszystkimi wzniosłymi przymiotami serca i duszy, czarował nimi. Nikt nad niego nie był więcej stworzony do republikańskiego rządu; pod suknią francuską, przy zagranicznem wychowaniu, Polskę nad wszystko kochał. Polskie obyczaje, towarzystwo lubił i wszędzie i z obejścia i z uprzejmości i z zachowanych około siebie zwyczajów polskim się obywatelem okazywał. Nikt też większej popularności, czci i miłości ziomków nie dostąpił; tak co w innych urodzenie, tytuły, bogactwa, znaczenie, samą postać za arystokracyą poczytywano, w nim jako wrodzoną powagę i godność wielbiono.

W wigilię sejmików przybył do Lublina książę Eustachy Sanguszko, udał się do księcia i oświadczył chęć podania się na kandydata; a że już miejsca nie było, dowiedziawszy się, że mój ojciec znaglony jedynie kandydaturę przyjął, przyszedł do niego z prośbą, aby mu jej odstąpił. Chętnie to mój ojciec uczynił i w dzień sejmiku dano się do kościoła. Lubo nie spodziewano się żanego gwałtu i zgoda była prawie pewną, jednak uwaałem, że prócz księcia, który był we fryzurze, w kape-

luszu i w mundurze lubelskim, inni panowie jak Stanisław Potocki, Rzewuski, Sanguszko mieli na głowach czapki grubo watowane i przy mundurach nie szpady, lecz na bandulierach pałasze. Tłum nie mógł się pomieścić w kościele, niemała część szlachty została na błoniach nad Bystrzycą przy szatrach, beczkach i kufach; druga napełniała kurytarze i dziedzińce klasztoru, ogon jej włóczył się po ulicach. Przecież sejmik odbył się spokojnie, wykrzykniono jednomyślnie wszystkich kandydatów, do których przybył stolnik Wybranowski, sędziwy i zacny obywatel, którego szlachta lubelska na rękach przyniosła przed marszałkowski stolik. Książę w krótkiej mowie podziękował braciom za wybór. Pierwszy raz wtenczas usłyszałem głos pana Stanisława Potockiego, wymowny acz nie przygotowany. Po wyjściu z kościoła udali się wszyscy obywatele na obiad do księcia. Po przygotowaniu laudum i instrukcyi dla posłów, zaczęto się rozjeżdżać a szlachtę rozwozić, znikł tabor z łąki, lecz jeszcze przez tydzień cały pełno było włóczęgów z szablami po mieście. Przecież że trybunał zaczął swoje posiedzenia i garnizon powrócił do miasta, równie w mieście katolickiem jak żydowskiem ustaliło się bezpieczeństwo i spokojność, jednak jak na każdym prawie sejmiku, tak i na tym dwóch czy trzech szlachty umarło z pijaństwa, tyleż zleciało z drugiego piętra z okien i potłukło się lub zabiło.

W przerwie czasu między tym sejmikiem a rokiem 1791., w którym już prawo sejmowe 1788. przepisało porządniejszy sposób sejmikowania i przez surowe kary zabezpieczyło osoby od gwałtów, byłem jeszcze świa(kiem już mniej tłumnych, lecz tymsamym trybem oc bywających się zgromadzeń. Wspomnę wypadki na ni(

wydarzone dla wiadomości obecnego nieświadomego dawnych instytucyi polskich pokolenia i dla ułatwienia mu pojęć, co to jest to głosowanie powszechne, z ogniska wszystkich teoryi i szaleństw z Paryża głoszone jako szczyt rozumu[1]), którego ten kraj tak oświecony stał się teraz igrzyskiem, a my padliśmy jego ofiarą. Chociaż u nas 300.000 ludności na szesnaście milionów ten przywilej służył, a we Francyi czwarta część mieszkańców do użytkowania z niego przypuszczoną została. Nigdy ludzie z doświadczenia korzystać nie będą. *Felix, quem faciunt aliena pericula cautum*[2]).

W dawnej Polsce każdy szlachcic, chociażby posiadłości nie miał, mógł być elektorem, z tytułu, że szlachcic; służba nawet prywatna nie wyłączała go. Wioski szlacheckie w pomieszanym sposobie przez szlachtę zagonową i chłopstwo zamieszkałe były. Jak zabudowania szlacheckie nie różniły się od mieszkań włościańskich, chyba gdzieniegdzie jakim dworkiem, tak mieściły w sobie ludność prawie w niczem co do obyczajów nie oddzielającą się od chłopstwa. Szlachtę jednak można było rozeznać po kroju sukien, po kolorze, a szczególniej po szabli przy boku, której nawet na jarmarku nie odpasywała. Bardziej ona podobną była niebieskim kolorem kontuszów, kapot lub opończą z szarego sukna do mieszczan rolniczych osad niż do chłopów. Zbliżała się atoli do tych ostatnich rzadko ogoloną brodą i wąsami nieschludnie utrzymywanymi, buty mu-

---

[1]) Pisane było w r. 1848.

[2]) Szczęśliwy, kogo niebezpieczeństwa innych ostrożnym czynią.

siały być koniecznie na obcasach dla różnicy od podkówek chłopskich, lecz brudne i cuchnące dziegciem. Kobiety uboższej szlachty ubierały się jak mieszczki w jupki, w półsalopki z białem futrem, lecz koniecznie w kornecie[1]) merlowym lub gazowym z kwiatkiem lub wstążką, które od majętniejszych obywatelek dostawały. Szlachcic najuboższy, czy na jarmark czy na odpust czy na sejmik, jechał konno na lichej szkapie, lub z żoną bryczką kutą; jeżeli jej nie miał, przysiadał się do sąsiada; miał za ubliżenie godności szlacheckiej jechać wozem niekutym w pokładach bez kilimka. Wolał żyda spędzić z kutego wozu i przymusić go, aby go wiózł, gdzie mu kazał. Gdy szlachecka bryczka zaturkotała, chłopi zwykle zstępowali z drogi i zdejmowali czapki, żyd zaś obejrzawszy się zacinał konie i uciekał; jeżeli się przypadkiem mijali, szczęśliwy był, gdy go szlachecki woźnica, zaczepiwszy osią o wóz jego, nie wywrócił i biczem po skórze nie wysmagał. Szlachta tego rodzaju zamieszkała w okolicznych wioskach powszechnie wybierała sobie z najbliżej mieszkających obywateli swego patrona, któremu już dopisywała na sejmikach, zjeżdżała się do niego, w święta wstępowała z kościoła, nie żeby się dowiedzieć, co się dzieje w kraju, lecz po nakarmienie się lepszą strawą, po zakosztowanie wina, miodu lub piwa, po jaką radę lub protekcyę w sprawie, po otrzymanie jakiego daru z trzody lub stada, po pozwolenie wrębu do lasu lub pastwiska na niwie sąsiedniej. Niechże Bóg zachowa odmówić którego żądania, zabór uczynić w trzodzie, siekierę lub strzelbę zabrać,

---

[1]) Nakrycie głowy; merla, materya sztywna, nakrochmalon

zemsta nieubłagana i odpłata wotami[1]) i obelgami na sejmikach. Prażmowski, starosta mszczonowski, który dla swojej oryginalności godzien jest obszerniejszego wspomnienia, Paryżanin z postaci, że wchodzącemu do siebie szlachcicowi z Sobieszczan przy szabli wprawdzie, lecz w kożuchu i w butach dziegciem wysmarowanych, powiedział, nie mogąc znieść nieprzyjemnego odoru: »Proszę zdjąć ten kożuch w przedpokoju!« — nigdy się na sejmikach pokazać nie mógł i wieś Sobieszczany mijać musiał.

Majątek ojca mego był sam nie wiem czy szczęśliwie czy nieszczęśliwie położony. Otaczały go o granicę trzy szlacheckie ludne wsi: Starawieś, Tarnawka i Sobieszczany, obejmujące przeszło dwieście szlachty zagonowej i cząstkowej, między którą znajdowało się wielu naszych krewnych z ojca i przodków jego. Skoro zbliżały się sejmiki, już się dom nie zamknął od nawiedzin; nie dość było przyjmować, karmić, poić przemijających się koleją gości; potrzeba było jeszcze obmyślić na drodze do Lublina dla podróżujących po karczmach wygody, na popasy i noclegi, opatrzać je słomą, sianem, obrokami, posługą. Temi stacyami były powszechnie Gałęzów, Prawiedniki, Bystrzyca, Piotrowice. Folwark i karczmy, choć na ubocznej drodze leżące, przyjmowały tych gości podróżujących na sejmiki i po sejmikach. Wprawdzie we wsiach ojca mego nie brakowało na kucharkach i kucharzach z dawnych kuchtów ożenionych, osiadłych na wsi, robiących pańszczyznę lub służących dworsko za gajowych, strzelców lub lokai. Ci musieli przypomnieć sobie dawną swoją sztukę i w tych najętych oberżach

---

[1]) Głosami.

kuchmistrzować, a leśniczowie, ekonomowie, pisarze i domownicy krewni lub szabelni szermierze, których obywatel przy sobie żywił i odziewał, marszałkowali lub gospodarzyli. W Lublinie już musiały być zamówione stancye i umieszczenia, opatrzone w trunki, żywność i posłania. Jeżeli partya była bardzo liczna, mieściła się w części na Piaskach i na Wieniawie. Ponieważ sejmiki odbywały się zwykle w lecie lub w wczesnej jesieni, najmowano powszechnie dla ojca mego dom za kościołem pojezuickim pod górą, nie mieszkalny, nie tynkowany, bez okien i drzwi, lecz pod dachem, Duchena zwany, naprzeciw którego był dom zamieszkały, gdzie można było kuchnię założyć. Dom pusty był przeznaczony na nocleg dla braci szlachty, dla której nawożono tam słomy i siana na posłanie. Niektórzy mieścili się po klasztorach, po stajniach i zabudowaniach klasztornych. Jedli na kurytarzach zakonnych lub na takichże kurytarzach w kamienicy pojezuickiej ojca mojego, gdzie ośmdziesiąt osób za stołem pomieścić można było, a biesiadnicy mieniali się koleją, o co nieraz do bitwy i scen przychodziło. Stoły pokrywano prostymi obrusami, talerzami cynowymi, których podostatkiem było w domu. Sztućce[1]) kładziono w drewno oprawne proste, łyżki cynowe; lecz gdy te szlachta łamała lub brała, zastąpiono je blaszanemi. Przecież trudno było dostarczać tych porządków stołowych. Codzień nikły ze stołu nie tylko noże, łyżki, widelce, lecz obrusy. Musiano płótnem i gwoździkami obijać stoły. Patrzałem na to, jak podczas obiadu wszedł nieznajomy mi szlachcic w szarej z kapturem

---

[1]) Sztuciec = nóż, widelec.

na plecach opończy, i zaczął się cisnąć do obsadzonego już stołu, mówiąc: »Panowie bracia, wy jecie, a ja głodny; od wczoraj nic nie jadłem«. »Czemuż waść nie pośpieszył? nie naprzykrzaj się!« Lecz gdy szlachcic ciągle się pchał między obiadujących i wyrywał drugim widelce, zawsze powtarzając: »Ja nic nie jadłem«, wypchnięto go od stołu. Wtem hajduk niesie na stół ogromną i głęboką misę gorących i kurzących się flaków. Szlachcic wypchnięty porywa za nią i wołając: »Ja nic nie jadłem!« łyka flaki i parzy się. Współbiesiadnicy zrywają się od stołu, jeden mu wydziera misę, drugi rozdziera kaptur z opończy, inni wołają: »Nasyć się waść, kiedyś nic nie jadł« i całą misę gorącej strawy wlewają w kaptur. Szlachcic, parzony w plecy flakami, wrzeszczy i skacze, zrywają się drudzy z widelcami, chcąc jeść flaki z kaptura, kolą nieboraka i kaleczą, wrzask, hałas, aż nakoniec obrywają kaptur z flakami, wylewają na misę i jedzą. Podobny wypadek widziałem i na innym sejmiku z półmiskiem pirogów; porwał go głodny szlachcic, uciekał z nimi, inni gonili; wpadli do mojej stancyi. Szlachcic, broniąc półmiska, wysypał tłuste pirogi w komin pełny popiołu, drudzy go odepchnąwszy, wybierali strawę z popiołu i jedli.

Na innym sejmiku, w porę letnią przypadłym, w której jako na długich dniach dawano szlachcie kolacye, przeciągające się aż do świec, przyszło do głowy kucharzowi mego ojca uraczyć gości kompotem z czarnych wisien. Z początku panowie bracia jedli; gdy im się sprzykrzyło wybierać pestki, zaczęli się mazać i farbować, następnie rzucać wiśniami na siebie — i wkrótce cała gromada wydawała się jak zakrwawiona. Przybywający nowi tego rodzaju goście, myśląc, że to skutek

jakiej bójki, zaczęli się brać do szabel. Gronu temu z uproszenia mego ojca prezydował szlachcic z Sobieszczan, niejaki Chodkowski, rębacz i odważny. A że zawsze między wioskami szlacheckiemi Tarnawką, Starąwsią i Sobieszczanami była jakaś emulacya o preminencyę [1]), nie podobała się ta prezydencya, ile szlachcica z mniejszej wioski, Tarnawianom i Starowsianom. Chodkowski, patrząc na tę walkę wiśniami, ozwał się do nich: »Panowie bracia, przestańcie szaleństwa, będą o nas myśleli, żeśmy się porąbali«. »A to waść nas wyzywasz, wrzasła Tarnawka i Starawieś; nie nauczaj nas waść, my waści nauczymy!« I zgasiwszy świece, porwali się do szabel, tłumem lecąc na niego. Chodkowski, przytomny i silny, w ciemności odpycha napastników, dobywa pałasza i oparłszy plecy o okno, macha nim, obcina palce, rani głowy i twarze: już nie sok wiśniowy bryzga. Wołają ojca mojego przyboczni przyjaciele, Rzeczycki, Sobieszczański, Dobek, Wścieklica. »Bracia szlachta, nie rozlewajcie krwi!« śpieszą ze światłem, ledwie zdołają rozbroić zajadłych; jedni grożą, drudzy wyrzekają, ranieni płaczą. Ścibor z Sobieszczan postradał palce, a kilku nabawiło się kresów po czołach i twarzach. Musiano Chodkowskiego zamknąć w stancyi ojca mego, bo szlachta rozsiekać go chciała. Ledwie przytomność mojego ojca uspokoić zdołała wrzawę, pochwycono go na ręce, noszono po kurytarzach; tyle zyskał z tego tryumfu zgody, że mu winem i krwią poplamiono mundur. Szczęściem nie był przytomny tej scenie Domaradzki, szlachcic z Starejwsi, wielki rębacz i burda. Przy nim nie tak łatwo byłaby uspokojona burza.

---

[1]) Pierwszeństwo, wyższość.

Powiem o jego wypadku na innych sejmikach. Był to szlachcic pisać i czytać nie umiejący, Herkulesa postaci, wysoki, barczysty, żyłowaty, średniego wieku, już szpakowaty, groźny siłą, kuflem i szablą tak na jarmarkach jak na sejmikach. Mój ojciec trzymał go przy sobie jako asystenta, dał mu funkcyę leśniczego, jurgielt, parę sukien co rok i brał go z sobą na sejmiki. Szlachta lubelska zaczepić go nigdy nie śmiała, owszem za przewodnika uważała. Na sejmiki ubierał się w mundur lubelski, który mu mój ojciec darował, a że on był wyższy od mego ojca, a ten otylszy od niego, strój ten, którego biały żupan był dłuższy od kontusza a kontusz buchasty, śmiesznie się na nim wydawał. Włócząc się on pomiędzy szlachtą po nocach, zadarł ze szlachtą łukowską, która się na niego porwać nie śmiała, lecz zemstę ważyła. Po odbytym sejmiku, na którym on stał przy moim ojcu, zaczaiła się na niego na dominikańskich kurytarzach; jedni go dyskursem w kościele zabawiali, aby nie wyszedł wraz z moim ojcem, drudzy gdy ten przeszedł, czekali na niego, a skoro Domaradzki przekroczył próg kościoła, krzyknęli: »Tuś zuchu!« i napadli z dobytemi szablami. Porwał się nasz Herkules do pałasza i już kilku dobrze naznaczył, gdy klinga od szabli z rękojeści w powietrze wyleciała. Szlachta go rąbie bezbronnego, lecz przez czapkę, choć na kawałki pociętą, rany nie są głębokie — krew jednak płynie. Przytomny Domaradzki chwyta nacierającego szlachcica między swoje barki i tłucze nim napastników. Szlachcic nieszczęśliwy odbiera rany za niego, a wrzeszcząc »Dajcie pokój!« machaniem szabli broni od ran swego nieprzyjaciela. Nakoniec Domaradzki, spostrzegłszy pod ścianą stół stojący, puszcza szlachcica, a sam schroniwszy się

pod niego, bierze stół na głowę, tłucze nim szlachtę, ciupającą szablami po deskach stołu, i tak przepycha się na ulicę; tam zemdlony upada, a szlachta jeszcze mu kilka ran w gołą głowę zadaje. Przybiega szlachta lubelska, odpędza zacieczonych, a jeden z nich daje ojcu memu wiadomość, że Domaradzki na śmierć porąbany leży na ulicy bez duszy. Ojciec mój wychodził wtedy na zaproszony obiad; posyła natychmiast dwóch swoich asystentów, daje parę dukatów na doktora i felczera i poleca umieścić go w szpitalu Panien Miłosiernych. Jakie było zadziwienie mego ojca, gdy w kilka godzin wróciwszy z obiadu, ujrzał przed sobą Domaradzkiego, zbroczonego wprawdzie krwią, lecz z podchmieloną dobrze głową, upstrzoną kilkunastu białymi paskami papieru, którymi zawrzałe rany pozalepiał. Ojciec mój się odezwał: »Żyjesz przecież, a ja tam posłałem parę dukatów na doktora, felczera i lekarstwa«. »Dziękuję panu, użyłem ich też dobrze z bracią szlachtą i przygotowany jestem jutro się z nimi spotkać; proszę tylko pana o szablę«. »Ale jesteś raniony — przebóg!« »To tylko zadrasnęli mnie«. »Ale zemdlałeś?« »Ja się zataiłem; żeby mnie był kto szablę podał, byłbym ich rozumu nauczył; ale co się odwlekło, to nie uciekło«. Mój ojciec, obawiając się nowej burdy, wyprawił go niezwłocznie na wieś.

Na innym sejmiku ja sam, nie mając wtedy jak lat 18, miałem następujący przypadek. Ubierałem się po polsku, byłem na sejmiku w mundurze lubelskim i przy szabli. Po sejmiku na obiedzie u ojca mego nosiła mnie szlachta na ręku, huśtała do góry i wypijała moje zdrowie. Wieczorem chcąc wyjść na przechadzk zrzuciłem z siebie mundur, a wziąłem kapotę z suki



Vert de dragon, z wyzłacanymi i świecącymi guzikami, jakie podówczas noszono. Powracając spotykam tęsamą szlachtę, która mnie przed paru godzinami na rękach nosiła; zastanowiła się, przypatruje się i jeden do drugiego odzywa się: »Oberznij mu te guziki« i już słyszę za sobą krzyk: »Łapaj go i obedrzyj«. Domyśliwszy się, że o moją skórę idzie, i obejrzawszy się, że mnie gonią, zacząłem uciekać, a że to było w bliskości kamienicy mego ojca, wpadłem do niej i szybko biegnąc po ciemnych schodach, słysząc za sobą tupot, niesiony trwogą, wpadłem aż pod strych; nie wiem, jakim sposobem wdrapałem się po murze pod sam dach i zataiwszy dech, skryłem się pod krokiew. Na hałas wszczęty na kurytarzach i na głos służącego: »Panicza gonią« wybiegł mój ojciec z pokoju z pałaszem w ręku, a spotkawszy kilkunastu napastników, zaczął im wyrzucać ich napaść mówiąc: »To mój syn! co wam zrobił, że go gonicie?« Zatrzymali się, zaczęli przepraszać, a po mnie posłano ludzi, aby mnie wynaleść. Siedziałem cicho, drżąc na każde stąpienie; gdy usłyszałem i poznałem głos hajduka mego ojca: »Niech się panicz odezwie, już szlachty nie ma, a jegomość niespokojny«, odezwałem się i ukazałem, lecz zejść z tak wysoka było niepodobnem po cegiełkach, które mularze przy murze zostawiać zwykli, a po których mnie trwoga przeniosła. Musiano drabinę przystawić; gdy stanąłem przed moim ojcem, rzekł do mnie: »Naucz się, na sejmikach ani na moment nie chodzić bez szabli; nie poznano cię i wzięto za jakiego chłopca od rzemiosła«. Pomnę, że mój ojciec, ubierając się po polsku, szczególne miał upodobanie w czapkach i ledwie nie do każdej pary sukien inną miał co do kroju, koloru, a szczególniej co do baranków. Były niektóre kosztowne,

przy których baranek dziesięć do piętnastu dukatów kosztował. Zdarzało się, że niejeden szlachcic sejmikowy, przyszedłszy i spostrzegłszy czapkę, brał ją na głowę i przymierzywszy, odzywał się: »Nieprawda, panie sędzio, że byłoby mi pięknie w tej czapce?« Potrzeba było odpowiedzieć na to: »Niech ci służy, panie bracie«, a już najmniej, jeżeli czapka była droższa, żeby ją wykupić, odpowiadano: »Ta jest ciasna na twoją głowę, oto masz wygodniejszą i lepszą«. Lecz po doświadczeniu ostrożność doradzała nie kłaść czapki na doręczu. Tosamo nieraz działo się i z szablami. Nie sam dom mego ojca wystawiony był na to łupiestwo, każdy z dostatniejszych obywateli, który chciał zjednać przychylność braci szlachty, temi ofiarami się jej dokupywał.

Równie ze szkół tak zamojskich jak lubelskich, jak też z czteroletniego mego zostawania w palestrze przy Józefie Podhorodeńskim, mecenasie, prawym, poczciwym obywatelu i najgorliwszym Polaku, wyniosłem na całe życie moje najmilsze wspomnienie ze zaznajomienia się mego z całą prawie młodzieżą polską, a połączenia się najścislejszą przyjaźnią z wielu. Tego rodzaju związki są najtrwalsze, bo się gruntują na szczerości, otwartości młodego wieku, na zobopólnem poznaniu skłonności i jej zarodów. Dzieci nie umieją się ukryć, nie znają obłudy; że tak powiem, w nagości moralnej przed sobą stają. W szkołach zamojskich poznałem Poletyłłów, Rulikowskich, Jeżowskich, Rogowskich, Węglińskich, Santamanów, Kochowskich. W lubelskich zaznajomiłem się z młodzieżą wojewódzką, w palestrze niemal z całą krajową, a szczególniej z Woroniczami, z Oraczewskimi, Brezami, Potockimi, z Sławuszewskimi, z Hulewiczar a mianowicie z Orchowskim i z Alojzym Felińskim; z t)

szczególniej ostatnim jedna żywość charakteru, jednakowa żądza oświecenia i nauki, jednakowy smak i skłonność do poezyi, jeden wstręt do prawnictwa połączył nas najściślejszą przyjaźnią. Los tak chciał, że oba mieliśmy mecenasów, których krytykować nie śmieliśmy, a których rozpraw od kratek niezawsze mogliśmy zrozumieć. Feliński dependował od Antoniego Dmóchowskiego, który tak górno i wysoko mówił, że sam siebie nie rozumiał. Podhorodeński brzmiącym głosem, ale tak łatwo, ale tak rozwlekle, bez porządku i często niezrozumiale rozprawiał, że z tej wikłaniny słów trudno było co dobrze pojąć, a tu trzeba było co tydzień ojcu na wieś posyłać dyaryusz spraw toczących się, treść obron, wyroki i ich motywa. Rozumieliśmy dobrze, łatwo nam szło z Puchałą, Grabowskim, Grudzińskim, Kańskim. Z tej różnicy poznaliśmy, że nie w naszych głowach była wina. Wkrótce podczas sejmu konstytucyjnego Alojzy Feliński wyjechał do Warszawy i umieścił się przy Tadeuszu Czackim[1]); ten spostrzegłszy w nim zdatność do literatury, dodał go za towarzysza Janowi Tarnowskiemu, siostrzeńcowi swemu. W Warszawie poznał się on z Trembeckim, z Niemcewiczem, Wolskim, i zaczął pisać wiersze, tłómacząc je z francuskiego, i małe ich próbki na świat wypuszczał. Te, które do mnie dobiegły, już nosiły cechę wielkiej łatwości w wierszowaniu i wykształconego na wzorach francuskich smaku. Feliński bowiem jako uczeń szkół wołyńskich słabo posiadał język łaciński, dlatego zaraz pisma jego przez niejaką rozwlekłość odbijały od tworów Naruszewiczów, Woro-

[1]) Sławny założyciel liceum krzemienieckiego i historyk.

niczów, Trembeckich, a nawet Krasickiego. Nie miały ich ścisłości i jędrności, chociaż miały więcej gładkości i czystego smaku; zgoła znać było po nich ucznia Rasyna i Delilla, ulubionych jego mistrzów. Nie ujrzałem go już aż podczas powstania Kościuszki przejeżdżającego z obozu Naczelnika przez Lublin na Wołyń do Dzieduszyckiego. Powitaliśmy się z gorącą przyjaźnią, dał mi z rąk swoich swoje wiersze do Kościuszki, które się znajdują drukowane w jego dziełach. Nie mógł się dostać na Wołyń, bawił czas jakiś w Galicyi dla utrzymywania poleconych sobie związków z Wołyniem. Przetrwał czas powstania w Dzikowie u rodziny Jana Tarnowskiego, wspólnie z Michałem Wyszkowskim i Konstantym Tymienieckim, z którymi go i przyjaźń i równy smak w literaturze i poezyi łączyły, i przeniósł się potem do ojczystej wioski na Wołyń, gdzie uprzykrzone gospodarstwo słodził sobie tłómaczeniem poematu Delilla [1]) Wieśniak. Wołyń wtedy bardzo był ubogi w literackie talenta. Bawiono się, hulano, tańcowano, ale jeszcze nie uczono. Czacki przebywał w Warszawie dla komisyi likwidującej długi króla. O zakładzie naukowym w Krzemieńcu jeszcze nie myślano. Wilno nawet jeszcze martwe było. Generał Kropiński nie mieszkał jeszcze w Woronczynie. Paweł I. panował. W Warszawie pod rządem pruskim za staraniem Krasickiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego, zawiązało się Towarzystwo przyjaciół nauk, zaczęła się literatura polska ocucać; Dmóchowski zaczął wydawać dziennik, Osiński dla teatru i dla tego dziennika tłómaczył i pisał. Między rozmaitymi ułamkami

[1]) Poeta francuski (1738—1813); świetne jego dzieło Ogrod

poezyi ukazały się ustępy z wybornego tłómaczenia Wieśniaka Delilla, który podówczas trzymał berło poezyi francuskiej i miał wielką wziętość w Polsce, osobliwie w Puławach, które wysławiał, a z których opinia i smak rozchodziły się po całej Polsce. Wtenczas Feliński, w ciągłej będący korespondencyi z Wyszkowskim, przebiegł przez Lublin do Warszawy, tam wezwany został na honorowego członka Towarzystwa. Czytał na publicznem posiedzeniu wyjątki z Wieśniaka i przemówił w Towarzystwie. Powracającego uchwyciłem w Lublinie, zawsze jeden i czuły przyjaciel, uszczęśliwiony wyborem, zwierzył mi się ze swoich przedsięwziętych dalszych prac w literaturze narodowej. Będąc r. 1802. na Wołyniu, życzyłem sobie widzieć się z nim, zwłaszcza, że się znajdowałem w sąsiedztwie szwagra jego Potockiego, gdzie poznałem jego siostry i od których dowiedziałem się, że mnie z czułą przyjaźnią wspomina. Nie przyszło do tego i nie ujrzałem go, aż w roku 1814. w Warszawie. Przywiózł on z sobą dwie tragedye, jedną oryginalną, a raczej w wielu scenach skompilowaną, Barbarę Radziwiłłówną, drugą tłómaczoną z Alfierego [1]) Virginię; stał u Jana Tarnowskiego swego przyjaciela, a ten wezwał mnie jako wspólnego przyjaciela obydwóch, Osińskiego i Wyszkowskiego na wieczór. Na tym miała być czytana przez autora ta oryginalna tragedya, o której piękności już nas Tarnowski uprzedził. Feliński pięknie pisał, niedobrze czytał; mimo to prawdziwe w tej sztuce piękności tak oryginalne jak naśladowane z klasyków francuskich, równie co do sytuacyi jak co do

---

[1]) Twórca tragedyi włoskiej (1749—1803).

myśli w dyalogach, zyskały powszechną pochwałę, która zamieniła się w prawdziwy dla sztuki entuzyazm, gdy ją minister Mostowski wobec zgromadzonego towarzystwa pierwszych obojej płci osób z dobitniejszem uczuciem i z oznaczeniem celniejszych miejsc przeczytał. Feliński osiągnął wtedy palmę narodowej tragedyi i na teatrze i w towarzystwach i w całej Polsce. — Przedstawiana Barbara na scenie warszawskiej przyjmowana była zawsze z uniesieniem i publiczności i miłośników literatury i znawców jej najcelniejszych; wszędzie głoszono chwałę i autora i dzieła, bo jeszcze wtenczas podła zazdrość nie zraziła starszych, zarozumiałość sądu nie skaziła młodszych. Żaki, ledwie ze szkół wybiegłe, nie odważali się jeszcze bazgrać i wyrokować. Pasmo literatury i sztuki pisania z wątka zasnutego przez Kochanowskich, Górnickich, Skargów, przędzone na tymsamym warsztacie przez Naruszewiczów, Trembeckich, Karpińskich, Krasickich, Niemcewiczów, Dmóchowskich, przez nowych pod ich strażą kształcących się uczniów przeciągnione, zdobiło się i przetykało coraz nowemi nitkami i barwami, doskonaląc równie język jak sztukę. Jeszcze tej ozdobnej taśmy nie przecięto i na zgrzebnem, obrukanem i grubem tle nie zaczęto snuć i tkać potworów, nie odrzucono jedwabiu i złota, nie zwijano w cewki do tej tkaniny sierci i pilśni bydlęcej. Jeszcze nie wyszły były owe liczne, mierne lub potworne, a tak podziwiane utwory. Jeszcze geniusz złego, pycha, zarozumiałość spoczywały w kołysce; jeszcze młodzież ową sławną Odą do młodości uzuchwalona nie była do targnięcia się na wszelką władzę, powagę, sławę literacką czy inną, do pogardzania przeszłością, do pomiatania chwałą Śniadeckich i zasługami literackiemi War-

szawy [1]). Wtedy Feliński, otoczony powszechnym szacunkiem i uwielbiony z talentu, wybrany został przez księcia Adama Czartoryskiego na profesora literatury narodowej w Krzemieńcu. Mieliśmy trudność skłonić go do przyjęcia. Nieufność w sobie, nieśmiałość mu wrodzoną przemogła miłość dobra publicznego i zachęty przyjaciół znających i ceniących jego zdolności, gdyż wtenczas wszystkich ludzi oświeconych łączył jeden węzeł jedności pod godłem »służmy poczciwej sławie«.

Wywiązał się z tego nowego dla siebie obowiązku Feliński zdolnością, pracą, gorliwością. W krótkim przeciągu czasu zyskał zadowolenie przełożonych, miłość uczniów i entuzyazm całej powszechności. Niestety! wśród tego zawodu nagłą śmiercią wyrwany został naukom, krajowi, współziomkom, przyjaciołom. Żal po jego stracie nie był mniejszy od szacunku, na który zasłużył za życia. Drzewiecki, wtedy marszałek krzemienieckiego powiatu, wiedząc, jaka przyjaźń i jednakowe literackie wyobrażenia łączyły mnie z Felińskim, przysłał mi jako pamiątkę po straconym przyjacielu i pisarzu jedno z piór, któremi swoje umysłowe płody kreślił, ledwie co oschłe z atramentu, a które młodzież uwielbiająca swego mistrza rozrywała jako najdroższe dla siebie upominki. Kiedy teraz czytam, co cisami ucznie Czackiego, ucznie Felińskiego, księdza Osińskiego, piszą o swoich mistrzach i co płodzą w literaturze, jak umysłem, piórem, wyobrażeniami odstrychnąwszy się od drogi, na którą ich tamci wprowadzili, uwłaczają ich pamięci; gdy widzę, jak rzuciwszy się w najlichszy rodzaj literatury tworzą drobne obyczajowe powiastki, dramata ledwie nie w karczmach

[1]) Jest to sąd zagorzałego klasyka.

czerpane; gdy słyszę to bluźnierstwo literackie, tę schizmę zdrowego pojęcia, że wkrótce nauka historyi stanie się i stać się powinna niepotrzebną, że ją godniej powieść zastąpi: cóż mam myśleć o przyszłości przy takich nauczycielach, przy takich autorach? Boleję nad obrażonymi cieniami Czackiego, Kołłątaja, Felińskiego, Śniadeckiego, lecz jeszcze więcej boleję nad biedną literaturą narodową[1]).

Jeżeli miłe zostawiły mi na starość wspomnienia związki z powyżej wzmiankowanemi osobami, jeżeli przyjemnie mi było spotykać się z niemi na drodze publicznego zawodu, dotąd tkwi jeszcze w pamięci mojej wstręt i przykrość z zapoznania się w palestrze z młodym człowiekiem, jak ja dependentem u jednego mecenasa, pod jednym ze mną dachem mieszkającego, do jednego stołu siadającego, a przez związek przyjaźni ojca mego z jego ojcem, pisarzem ziemskim sandomierskim, zbliżonego do mnie, i z pewnym rodzajem udanej czy szczerej ku mnie skłonności starającego mi się przypodobać. Tym młodym człowiekiem był Kazimierz Młodecki, protegowany przez kanclerza Małachowskiego i jego interesami trudniący się; skąpego niezmiernie, lecz bogatego ojca syn, przystojny, wytwornie się ubierający, otwartej głowy, lubiący literaturę polską, co mnie do niego przyciągało. Prosił on mnie, abym go przedstawił ojcu memu. Ojciec mój upoważnił mnie przywozić go na święta do domu swego. Umiał się on tak dobrze sprzedać, że samego ojca mego przychylność pozyskał, gdy następujący wypadek otworzył mi oczy i odkrył jego zły, zapalczywy charakter, który potem stał się źródłem

[1]) Sąd w duchu klasyków.

okropnej zbrodni, o którą posądzonym został i pod której zarzutem nieoczyszczony umarł.

Jednego dnia spostrzegłem po Młodeckim pomieszanie i narady z niejakim Kowalskim, przyjacielem i współkolegą w palestrze. W kilka dni usłyszałem przez drzwi hałas i żywą rozprawę między obydwoma; gdy ta rozprawa coraz głośniejszym krzykiem zaczęła przybierać postać kłótni, wszedłem; zastałem obydwóch zajedzonych na siebie i trafiłem na ostatnie słowa Kowalskiego: »Uwolniłem cię, łajdaku, od kajdan«. Na te słowa Młodecki jak trzymał cybuch w ręku, uderzył nim dwa razy w głowę Kowalskiego, nim go zasłonić i obronić zdołałem. Kowalski mocniejszy porwał się do niego, lecz ja wołając: »Co robicie! wstyd, wstyd!« potrafiłem wyprowadzić Kowalskiego do mojej stancyi i uspokoić. Kowalski, wysapawszy się z gniewu, rzekł: »Jakże ja teraz wyjdę na miasto ze znakiem tak widocznie nabrzękłym na twarzy«. »Nie darujesz zapewne twojej krzywdy, bo się bić będziecie, więc to wszystko wyjdzie na jaw«. »Bić się z takim łajdakiem byłoby hańbą, jego do więzienia wtrącić potrzeba; dowiesz się później o wszystkiem«, i obwiązawszy twarz chustką, wrócił do siebie. Nie wychodził dni kilka, póki znaki od zadanych razów nie znikły. Gdy odszedł z mego pokoju, wszedł Młodecki pomieszany, lecz drżący od gniewu; zaczął się usprawiedliwiać z zapędu i za wyrzeczone przez Kowalskiego obelgi grozić zemstą: »Więc go wyzwiesz; prawdę mówiąc, on ciebie powinien wyzwać«, rzekłem. »Wyzywać go nie będę, boby to hałasu narobiło i zmartwiło mego ojca, lecz mu kijami poprawię«. Spostrzegłem, że ci oba przeciwnicy nie mieli ochoty rozprawić się bronią. Żałowałem Kowalskiego, zacząłem

gardzić Młodeckim i unikać z nim towarzystwa. We trzy dni wszedł do mnie Kowalski już z wypogodzoną twarzą i rzekł do mnie: »Miałem cię dawno ostrzec, unikaj tego łajdaka; to najniebezpieczniejszy człowiek, wszystko w nim fałszywe i udane; zwodzi, oszukuje, liże się, a niepohamowany w swoich bezecnych skłonnościach. Widziałeś, jak mi się wypłacił za to, żem go od ostatniej hańby osłonił. Odkryję ci więc jego bezecny występek. Małachowski kanclerz przez przyjaźń dla ojca wziął go w swoją protekcyę i powierzył mu przy trybunale interesa, których żadnych nie ma, wyznaczywszy mu małą kapitulacyę. Ojciec, choć bogaty, ale niezmiernie skąpy, mało do niej dokładał na utrzymywanie się przyzwoite, a paniczowi zachciało się być elegantem, stroić się, niczego sobie nie żałować. Sfałszował więc skrypt dla siebie, niby od Małachowskiego kanclerza, na kilkaset czerwonych złotych, i zastawił u jednego z kupców. Gdy na terminie nie zapłacił i zwłóczył, kupiec udał się do kanclerza. Kanclerz zadziwiony wysłał zaraz zaufanego człowieka dla wykrycia fałszerza. Wysłaniec gdy się objawił Młodeckiemu z pewnym rodzajem podejrzenia, Młodecki przybiegł do mnie, abym go ratował. Swymi i pożyczonymi pieniądzmi wykupiłem trzystu dukatami skrypt, tak, że gdy Młodecki z owym wysłańcem przyszedł do kupca, ten już zaklęty ode mnie odpowiedział, że skrypt już dawno zapłacony, a wykupującego nie zna. Zaniesiono więc tylko manifest do akt w imieniu kanclerza i tak Młodecki wybrnął z ohydnego kłopotu. Przyszedłem upominać się o mój dług, bo mnie wierzyciele jako poręczyciela naciskali; zawsze zwłóczył, a tą razą wpadł w złc i, gdy mu gorzkie wyrzuty i przestrogi przymuszo.

byłem zrobić, byłeś świadkiem gwałtu, jakiego się na osobie mojej dopuścił. Ostrzegam cię, zerwij z nim, aby cię w co ohydnego nie wprowadził«. Posłuchałem rady; po limicie trybunału oba antagoniści wyjechali i więcej o nich nie słyszałem.

Następnego trybunału, na którym się już nie pokazali, głośna wieść rozbiegła się, że pisarz ziemski sandomierski Młodecki w folwarku swoim Miłocicach w czasie żniw, położywszy się spać w śpichlerzu, przez swego pisarza prowentowego, szlachcica, siekierą zamordowany został; że zabójca ujechał na najlepszym koniu dworskim, lecz w zgryzocie sumienia tułając się po wioskach, wrócił do Miłocic i, oddając synowi Kazimierzowi przy świadkach worek z pieniądzmi, rzekł: »Namówiłeś mnie pan, abym ojca pańskiego zabił; odbierz sobie nagrodę, kiedyś ojcu i mnie życie wydarł«. I sam się w tym sposobie oskarżył przed sądem. Sąd powołał syna, lecz ten się wypierał; po krótkich inkwizycyach zabójca został skazany na śmierć od miecza. Już na rusztowaniu zapytany, czyli nie odwoła oskarżenia, potwierdził je głośno i wyraźnie, mimo wszelkich uwag kapłana. Syna więc nie uwolniono od zarzutu, lecz mu się oczyścić z niego nakazano. Odpowiadał więc z wolnej stopy według kardynalnego prawa polskiego: *„Neminem captivabimus, nisi iure victum.* Dowodów wyraźnych przeciw niemu nie było, lecz poszlaki mocne w powołaniu przez zabójcę, w worku oddanym z pieniądzmi. Przecież Młodecki, stawszy się panem fortuny po ojcu, potrafił sparaliżować pośpiech sprawiedliwości. Tymczasem nastąpiły zaburzenia w kraju, przez konfederacyę targowicką wzniecone. Sprawa ciągnąca się doczekała się sejmu grodzieńskiego, na którym zabijano ojczyznę, do czego przewodzili: Miączyński, marszałek

7*

i poseł lubelski, i Podhorski, poseł wołyński, gracze i hultaje przekupni. Do nich się więc udał z pieniędzmi Młodecki. Miączyński, pod pozorem obrony niewinnego, prześladowanego niesłusznem posądzeniem, uczynił wniosek za nim i otrzymał sancitum sejmu, którem Młodecki, od wszelkich zarzutów uwolniony, za niewinnego i nieposzlakowanej czci człowieka ogłoszony został; ażeby zaś zatrzeć wszelki ślad zarzutu, akta całegu procesu spalić, skargę z akt wydrzeć nakazano. Sancitum to wykonane zostało na aktach, lecz umysłom wstrętem przejętym na ten zarzut i opinii publicznej dodało mocniejszego przekonania i dowodu; bo niewinność woła o głośne usprawiedliwienie i szuka go, zbrodnia ślady swoje niszczy, aby odkrytą nie została. A przytem jaka to władza uwolniła od zarzutu? Władza najnieprawniejsza, władza zabójczyni ojczyzny uniewinniła zabójcę ojca. Samo poszukiwanie uniewinnienia u takiej władzy już potępiało posądzonego o zbrodnię, dlatego też nigdy opinia współziomków przejednaną mu być nie mogła i, chociaż Młodecki znakomitych zdolności i zręczności człowiek, to pismami politycznemi, to innymi środkami starał się być użytym do urzędowania, zawsze ze wstrętem odpychany, majątek stracił, rozpił się i w nieczynności umarł. Kiedy sobie przypomnę Nową Polskę, dziennik rewolucyjny J. B. Ostrowskiego, i artykuł w nim pod tytułem »Ojcobójstwo prawne«, gdy czytałem w dziennikach francuskich kolumny zapełnione sprawozdaniem tego rodzaju zbrodni, jak nie jęknąć z Tacytem: *et quae antea crimina fuerunt, mores sunt*[1]).

---

[1]) A co przedtem było zbrodnią, teraz nazywa się obyczajem.

Najszczęśliwszym był czas w Polsce, tak w stolicy jak na prowincyach, między r. 1780. a 1792., to jest od wyjścia wojsk rosyjskich z Polski po konfederacyi barskiej, aż do wkroczenia ich wraz z konfederacyą targowicką. Można powiedzieć, że to było prawdziwe uiszczenie owego tak zwanego złotego wieku za dwóch Augustów, a które ciemnota i rozpusta odmalowała przysłowiem: »Za króla Sasa, jedz, pij i popuszczaj pasa«. Tak też było w istocie. Pieniano się, sejmikowano, bawiono, hulano, jedzono, wyprawiano uczty, wesela, imieniny, kuligi. Chociaż intraty były małe, bo albo nie gospodarowano albo źle gospodarowano i pszenica w Gdańsku mało popłacała — oszczędność i skromność potrzeb, nieznajomość zbytków, nawet wygody życia, przestawanie na gościnnej szczerości w miejscu wystawności, ułatwiały te zgromadzenia, te uczty, na których nie chodziło o jakość pokarmów i napojów, lecz o ilość. Jedzono wiele, wypijano jeszcze więcej wina węgierskiego i angielskiego piwa, które było tanie. Nie jadano w szlacheckich domach na fajansie, lecz na cynie; łyżki nawet były z tego metalu. Na łyżki srebrne ledwie zdobyć się potrafił kilkowioskowy obywatel, a srebra stołowe, wazy, półmiski wyjawiały się tylko w domach pańskich, w pałacach, i to starożytną robotą jako spuścizny lub nabycia po bogatych i możnych pradziadach. Meble były proste, zydle, stoliki drewniane, rzadka kanapa. Obicia włóczkowe lub żadne. W majętniejszych domach sprzęty były z Gdańska sprowadzane, krzesła, kanapy, stoliki. Makaty tureckie okrywały ściany, na których zawieszone były portrety przodków. Adamaszek, aksamity lub gobeliny[1]) należały do pałaców.

---

[1]) Artystycznego wyrobu dywany, naśladujące obrazy olejne.

W dworach szlacheckich posługa była z własnej wsi, przebrana w żupany, w ferezye barwiste. Kucharz musiał być choćby u jednowioskowego szlachcica i choćby z brodą i z wąsami. Wesołość i chęć zabaw była powszechną. O polityce nie myślano, chyba w Warszawie; stąd gdy zapusty nadeszły, cała ludność szlachecka na prowincyi ruszała się z swoich siedzib, najeżdżając się wzajemnie kolejno kuligami. Wiadomo wszystkim, że kuligi były naśladowaniem a raczej przedrzeźnianiem wesela chłopskiego. Pełno po domach szlacheckich było młodzieży obojej płci, córek, synów, rezydentów, rezydentek, co niezmiernie ułatwiało liczne zebrania i w jednym momencie w zamiarze zabawy zgromadzało liczne grono. W Lubelskiem było kilka domów między szlachtą mniej więcej zamożną, które nie oddychały, tylko tego rodzaju zabawami, i życie w nich było ciągłem ich pasmem. Szczególniej jeden dom w Bełżycach wsławił się niemi. Był to dom pod tym względem oryginalny, osobliwszy, a że wątpię, aby na ziemi polskiej był który mu podobny, dam jego opisanie jako charakterystykę czasów i ludzi.

W Bychawie, małem miasteczku, w zamku murowanym, u możnej rodziny obywatelskiej Stoińskich, chowała się na opiece młoda jedynaczka Ewa Gałęzowska, kasztelanka gostyńska, bogata dziedziczka dwóch kluczów w Lubelskiem, Bełżyc i Głuska, i trzeciego w Sieradzkiem Łaniąt, po ojcu kasztelanie [1]) gostyńskim, a prócz tego mająca znaczny posag po matce na Bychawie. Delikatnej kompleksyi, nieładna, rudych włosów, małego wzrostu,

[1]) Kasztelan: naczelnik grodu, dowódca pospolitego ruszenia ziem i powiatów.

twarzy ospą poznaczonej, wypieszczona najgorszem wychowaniem przez ciotki i wujów, tak, że ledwie podpisać się umiała. Od kołyski przyuczona mieć swą wolę, a napatrzywszy się na hulaszcze życie wujów, nawykała i tęskniła do niego. Bogata i głośna z bogactwa, ściągała do domu, w którym przebywała, licznych konkurentów, już od dziecinnego jej wieku zamawiających jej rękę u opiekunów. Ubiegł wszystkich Stanisław Kossowski, starosta sieradzki, majętny, lecz niebogaty Wielkopolanin, syn podskarbiego nadwornego [1]), a brat rodzony Rocha Kossowskiego, w czasach późniejszych podskarbiego wielkiego koronnego. Ten ująwszy sobie familię Stoińskich, a wystawą życia, ekwipażami, liberyą, mundurem rotmistrzowskim i orderem olśniwszy młodą idyotkę, w sekrecie wyrobiwszy duchowną dyspensę od zapowiedzi, z zegarkiem w ręku, w minutę, w której panna czternaście lat kończyła, wziął z nią ślub. Otóż pani starościna sieradzka, która ledwie podpisać się umie, a małżeństwo uważa jako przywilej dogadzania we wszystkiem swej woli i fantazyi, zaczyna według nich rządzić sobą, domem i mężem. Starosta sieradzki, człowiek prawy, poczciwy, wychowany na wielkim świecie, acz bardzo ograniczonych zdolności, Polak równie z duszy jak z szaty, nie mogąc podołać samowolnej jejmości, poddał się jej zupełnie. Sam też jako Wielkopolanin lubił wystawę i nawykł do niej. Dwór więc pana starosty był liczny, wystawny i na możnowładnej stopie. Doktor, marszałek, sekretarz, koniuszy, łowczy, kuchmistrz, kapelmajster i liczna z dwu-

---

[1]) Podskarbiowie zawiadywali wszelkiemi sprawami, które ze skarbowością były w styczności.

dziestu czterech muzykantów złożona kapela, składały assystencyę pana starosty i pani starościny; liczny fraucymer, panien i garderobianek; a panien respektowych, córek obywatelskich, krewnych pani starościny, rezydentów młodych i starych co nie miara. Starosta, będąc komisarzem skarbowym, część jakąś roku mieszkał w Warszawie. Stamtąd przysyłał żonie najmodniejsze stroje, suknie, pojazdy. Raz jej sprowadził karetę poczwórną angielską, która w żadną bramę, ani w karczmach ani w wozowniach, dla wysokości zmieścić się nie mogła. Używała więc pani dostatków i zabaw, i w przytomności i w nieobecności męża podług swojej woli, i wkrótce taki wpływ wywarła nie tylko na męża, na sąsiadów, ale nawet na obszerną okolicę, że wszystko i wszyscy na jej zawołanie stawali. W jesieni polowała w sukni amazońskiej na grubego zwierza, gdyż starosta wielkie i sławne myślistwo trzymał; lecz że ją raz niedźwiedź tak nastraszył, iż zemdlała, porzuciła myślistwo, zato namiętnie do tańca latem i zimą rzuciła się. Nastały bale, uczty, kuligi i wszelkiego rodzaju zabawy. Starostwo zamierzali mieszkać w Abramowicach pod Lublinem i tam wznieśli dom drewniany, wielki, wystawny; lecz, bądź bliskość Lublina ich zraziła bądź mniej wygodna okolica, przenieśli się do Bełżyc, miasteczka dość ładnego, najwięcej zamieszkałego przez żydów i katolickich rzemieślników, położonego na trakcie kaźmierskim, mającego pocztę, kościół katolicki i zbór luterski z probostwem. Tam zastali dawny dom zgorzały, a późniejszy murowany wielki, lecz bez piętra, mający pięć pokoi ubocznych, ale salę tak obszerną, że po niej można było sześciokonną karetą wywijać. Ten dom otaczał i dotąd otacza ogród

ze staroświeckim szpalerem [1]); włoskim go nazywano. Lipy są w nim tak wzniosłe i stare, jakie tylko w ogrodach przez Jana III sadzonych widzieć można. Otoczono więc ten dom oficynami obszernemi, lecz z drzewa budowanemi; w jednych mieścili się sami starostwo, w drugich kuchnie i oficyaliści. Główny zaś dom był poświęcony jedynie na bale i uczty i stał się prawdziwie oberżą obywatelską, gdyż nigdy od huku, kapeli i wrzawy, którą się ciągle napełniał, wolny nie był. W roku 1780. w miasteczku Bełżycach cały rynek zgorzał, ale przemyślni żydzi, zakosztowawszy obfitego zarobku z tych częstych zjazdów i uczt, w jednym prawie roku zabudowali go obszernemi karczmami, stajniami i gościnnymi pokojami, a i katolicy mieszkańcy powystawiali dworki z podobnemi wygodami. Jakoż wiele bywało uczt i balów z powodu przypadających z kalendarza lub wymyślonych imienin, dwojakich, trojakich, nie tylko samych starostwa, ale ich wszystkich krewnych i przyjaciół; nadto z powodu urodzin, chrzcin, zaręczyn, zaślubin mnóstwo zjeżdżających się gości, nie tylko z Lublina, z Warszawy, lecz z Wielkiejpolski i z innych polskich prowincyi; nie tylko trybunały, reassumujące [2]) się po świętach wielkanocnych, a limitujące się przed świętami Bożego Narodzenia, przyjazdem świętowały i na Zielone Świątki świątkowały, lecz ktokolwiekbądź przejeżdżał przez to miasto, mógł być pewnym, że tym potokiem będzie zachwycony; a zachwyconym zostawszy wiedział, że choćby miał najpilniejsze interesa, zmuszonym będzie uciążliwą gościnnością gospodarstwa kilka lub kilkanaście dni temu roztargnio-

---

[1]) Drzewa sadzone w dwa rzędy.

[2]) Zbierające się.

nemu codziennemi zabawami życiu poświęcić. Były już bowiem w mieście umówione i rozstawione faktory z żydów, którzy i dla własnego zarobku i dla przypodobania się państwu, ujrzawszy cokolwiek porządniejszym pojazdem przejeżdżających, jedni chwytali za konie i zatrzymywali, drudzy biegli do dworu dawać znać, a wtem nadbiegali oficyaliści dworscy lub rezydenci i gwałtem zajmowali, wiedli i prowadzili do pałacu najmniej na kilkunastodniowe a czasem i na kilkutygodniowe zamieszkanie. Stąd nieraz dało mi się widzieć pomiędzy wesołemi twarzami zasmucone, słyszeć błagania, prośby o wypuszczenie, przysięgi powrotu i dłuższego zabawienia, wystawianie naglących interesów; na co sam starosta zstępował do wyrozumienia i wnosił za uwięzionymi instancyę do samej pani; lecz ta nieprzebłagana, jak druga Circe [1]) trzymała swoich więźniów i przemieniała ich w tancerzów i posługaczów do wszystkich swoich uciech. Szczęśliwy, kto znalazłszy u sług wyrozumienie, z ich pomocą cichaczem wyrwał się z tego zaczarowanego miejsca. Były familie wielkopolskie i krakowskie, spokrewnione z samym starostą, jak Walewskich, które prawie mieszkały w Bełżycach. Wojewoda [2]) sieradzki Walewski z piękną swoją córką, naprzód Stecką, a potem Jabłonowską, przejazdem na Wołyń lub w podróży do Lublina, gdzie sprawę miał z Lubomirskimi, przesiadywał w Bełżycach. Podówczas cała prawie Polska mieszkała w Lublinie dla interesów prawnych i zabaw w tem mie-

---

[1]) Czarownica, znana z Odyssei Homera.

[2]) Wojewoda dowodził pospolitem ruszeniem swojej ziei miał nadzór nad targami i sprawował sądownictwo nad żyda w zastępstwie króla.

ście w czasie trybunałów. Warszawa wyludniała się dla Lublina, w czem Bełżyce wielki miały udział. Na świetniejszych ucztach Bełżyce wystawiały prawdziwe panorama całej Polski i ówczesnych towarzystw prostych, świetnych, wykształconych, szlacheckich. Kontusze, golone głowy i twarze wąsate mieszały się z frakami, upudrowanemi fryzurami i z całą elegancyą warszawską. Mundury wojewódzkie z wojskowemi szlifami, z barwami narodowemi, z sutannami i frakami czarnymi duchownych, z kapturami i habitami zakonników, prowincyałów i definitorów [1]), składających powinszowania gospodarstwu jako syndykom swoich klasztorów. W gronie płci pięknej naturalnie sędziwa księżna kasztelanowa krakowska Lubomirska, z domu Krasińska, poważna matrona, odbijała swoją godnością od trzpiotackiej miny gospodyni, i nieraz miała uśmiech politowania na ustach. Wojewodzina mazowiecka Małachowska, Działyńska z domu, Łącka, kasztelanowa sandomirska, przyciągały do siebie poważniejsze obywatelki. Podskarbina koronna Kossowska, Bielińska z domu, sławna warszawska piękność i najpierwsza elegantka, bratowa pani starościny, którą krewieństwo i odgłos zabaw bełżyckich sprowadzały na kilka niedziel; księżna Aleksandrowa Lubomirska, świeżo zamężna — pięknością, wykształceniem odbijały od wystrojonych elegantek prowincyonalnych, lecz z szczerością młodości udzielały się zabawom a szczególniej tańcom, do których nie brakło na wybornych tancmistrzach, jakim był Ignacy Hryniewiecki, wojewodzic lubelski, Walewscy wojewodzice i Adam potem brygadyer, Szydłowscy wojewodzice płoccy

[1]) Godności zakonne.

z Ratoszyna i mnóstwo elegantów warszawskich przybyłych w ślady młodych i pięknych pań ze stolicy. Przyznać potrzeba, że nie sama żądza zabaw sprowadzała mnóstwo gości do Bełżyc. Jak teraz matki, mające córki na wydaniu, jadą do miasta, aby je pokazać światu i znaleść im mężów, tak podówczas nie tylko do Warszawy i Lublina, lecz i do Bełżyc na ten prawdziwy targ pięknych panien i nadobnej młodzieży śpieszyli rodzice. Wśród tych bowiem zabaw robiły się wzajemne poznania, objawiały się wzajemne skłonności, tworzyły się związki, które bystrem okiem śledziła i podchwytywała pani starościna, pomagała im i ułatwiała w postaci generalnej województwa lubelskiego swachy. Szczęśliwą była i pyszniła się, gdy się jej skojarzenie jakiego małżeństwa udało, a to z dwojakiego względu. Raz, że lubiła oddawać przysługi przyjaciołom i przyjaciółkom, do czego przywiązywała całą swoją słynność, powtóre, że jej to otwierało upragnioną sposobność nowych zabaw na zaręczyny, przenosiny, od których trudno się było wyprosić.

W szanownej starościnie taka była żądza do tańców, że ledwie się skończył obiad obfity w pokarmy, niezbytkowy w wino, gdyż sam starosta był ludzki, lecz skromnie używał trunków, ledwie z wielkiej sali sprzątnąć zdołano stoły i sprzęty, już muzyka, z 24 muzykantów złożona, zaczynała grać polskie tańce. Starościna, której już nogi drżały, mrugała na męża, ten nieraz ruszywszy ramionami, rozpoczynał taniec z najpoważniejszą damą i, uwolniwszy się od niego,. wracał do sędziwych matron, do znakomitszych obywateli, albo do maryasza zasiadał, albo rozmawiał o gospodarstwie i lowaniu, czasem lecz rzadko o dawniejszych czasach o wypadkach krajowych. Wtedy bowiem jako jesz

w epoce przedsejmowej r. 1788., nowa generacya, przez Stanisława Augusta wychowana, ledwie co zaczęła wchodzić w znaczenie na sejmie r. 1786. O polityce i literaturze nawet po domach możniejszej szlachty nie rozmawiano; jeszcze puścizna po panowaniu dwóch Augustów wyczerpaną nie była, to jest jakaś niepojęta obojętność czy zaślepienie na losy kraju. Jedna tylko gazeta Łuskiny gdzieniegdzie uwijała się, a chociaż od samego początku panowania Stanisława Augusta wychodziły w Warszawie Monitory[1]), chociaż Gröll drukował dzieła historyczne i poezye Naruszewicza, Krasickiego Podstolego, Doświadczyńskiego, Satyry, Historyę na dwie księgi podzieloną, Gramatykę Kopczyńskiego, wiersze Trembeckiego, Kniaźnina, Karpińskiego i tyle innych dzieł znakomitych i pożytecznych — prócz w Stryjnie, w Wronowie i Gościeradowie u szambelana Stryjeńskiego, Goltza i u Prażmowskiego, gdzie i zagraniczne gazety trzymano, w żadnym prawie szlacheckim domu nie można było dzieł narodowych ujrzeć i można słusznie powtórzyć wiersz Naruszewicza:

Rzadko kto na ich kupno dłoń sięgnął do grosza.

Ta obojętność zapewne natchnęła temuż Naruszewiczowi satyrę Chudy literat. W jednych tylko Puławach, w Opolu i w Kurowie zajmowano się polityką i literaturą. W Przybysławicach i w Lubartowie trudniono się sejmikami i wychylano kielichy. Pomnę, iż w Opolu u księżny kaszlelanowej krakowskiej słuszny bardzo człowiek, dobry i prawy urzędnik, senator nawet, Hry-

---

[1]) Gazety tego tytułu.

niewiecki, wojewoda lubelski, gdy w obecności mojej ksiądz Kułagowski, oświecony prałat i lektor księżny kasztelanowej, czytał w gazecie o Dardanelach, zapytał się: Mościa księżno, co to są Dardanele? Rozśmiała się księżna, a Kułagowski musiał mu żądane dać tłómaczenie. Taka to w starych Polakach została ignoracya pierwszych wiadomości naukowych, nieprzebaczona w senatorze.

Gdy w Bełżycach na powyżej wspomnianych rozmowach uchodził czas starszym matronom i obywatelom, młodsze towarzystwo tańczyło, hulało pod przewodnictwem starościny. Tamci rozchodzić się byli zwykli przed lub zaraz po północy. Ci przez noc całą pląsali, a gdy dzień zajrzał, zasłaniano okna okienicami, matami i ledwie w południe światło słoneczne wpuszczano. Gdy który z młodych tancerzy, znużony fatygą i snem pokonany, wykradł się do łóżka którego z oficyalistów, a pani starościna spostrzegła jego nieobecność, zaraz na jej rozkaz liberya lub współbiesiadnicy wybijali drzwi do pokoju, w którym się ukrył, porywali go wraz z łóżkiem, wnosili na salę, gdzie przy hucznej muzyce lali go wodą lub trzepali rózgą.

Gdy po nocnym balu młode towarzystwo w pałacu i po karczmach wysypiało się do godziny piątej wieczornej, starsze, które się już dobrze wyspało, raczyło się po gospodach i dworkach śniadaniami, częstokroć z dobrą libacyą; wiedząc bowiem, że zjechawszy do Bełżyc, będą musieli od tłustego czwartku bakchusować aż do wstępnej niedzieli — przyjeżdżali do tego miasteczka z zapasami żywności i wina. Stąd wzajemne dawanie sobie uczt małych, stąd wizyty i zapraszania, przechodzenie się po miasteczku z kielichami, do czego dodawała och i zapału kapela dworska. Gdy dano znać na obiad

dworu, a po obiedzie na nowo zaczęły się tańce, za wzorem panów liberya zapragnęła także się bawić. Byłem świadkiem następującej sceny. Liberya po domach zajezdnych wdała się w tańce i w hulankę z młodemi mieszczankami i dziewczętami wiejskiemi; te naturalnie wolały się wywijać ze zręcznymi lokajami przybranymi we fraki i trzewiki, niż z niezgrabną czeladzią rzemieślniczą lub z parobkami; stąd zazdrość, z zazdrości spory i kłótnie, z kłótni bójka, zgoła walka Sabinów z Rzymianami. Lokaje, uczuwszy się słabszymi przeciwko tłumowi, uzbrojonemu w pałki i kostury, zapalili pochodnie i niemi się bronili. Każde uderzenie nie tylko parzyło przeciwników, lecz że najwięcej uderzano w głowy, na tych niewyczesane kudły palić się zaczęły. Chłopi i mieszczanie ratowali się ucieczką; wtedy liberya, uszykowawszy się w szereg, uchodzących przepuszczała przez ogniste razy; — całe miasteczko stanęło w ogniu. Przestraszeni żydzi wpadli do dworu z krzykiem i wśród najzapaleńszych tańców przerazili trwogą; całe towarzystwo wybiegło na dziedziniec; łuna i dymy okrywały miasteczko. Przez niedługą groblę, oddzielającą od zabudowań dworskich, liberya, kapela, sami panowie, oficyaliści — wszyscy na koniach rzucili się do ratunku. Każdemu chodziło o jego pojazdy, konie i sprzęty; szczęściem, że to nie był pożar, lecz tylko łuna od pochodni. Miasteczko cudem ocalało, a zwaśnione strony ledwie rozpędzić i uspokoić zdołano. I ranionych i poparzonych przeciwników oddano pod dozór cyrulików i pozamykano. Skończyło się na kilku rannych; między tymi był hajduk mego ojca, któremu skaleczono głowę, gdy biegł swoim na pomoc. Szczęściem i to było, że każdy z panów z przypasaną szablą do boku zwykł się był

udawać do dworu, inaczej przyszłoby było do rozlewu krwi.

Podobna acz z innego powodu okropna stała się scena za mego dzieciństwa w Ożarowie nad Wisłą, gdzie oficer polski, wysłany z dwunastu ludźmi na wolny werbunek, upoił i namówił syna czy parobka gospodarskiego do wojska. Pospólstwo, zgromadzone na targ, upominało się o niego, nakoniec gwałtem odbić przedsięwzięło. Oficer młody i nierozważny oświadczył, że strzelać każe i zatarasował się w karczmie; gdy pospólstwo oknami cisnąć się zaczęło, rozkazał dać ognia i kilku raniono. Na widok krwi rozjuszony gmin przez dach, przez okna wdziera się do izby. Żołnierze strzelają, już ładunków nie staje, guzikami oderwanymi od mundurów nabijają, pada trupem kilku włościan, kilkunastu ranionych; lecz mimo bagnetów oficer i wszyscy żołnierze zabici; spełniło się przysłowie: *ubi multi peccant, nemo punitur*" [1]).

Starościna między obywatelkami miała swoje przyjaciółki; matka moja młoda, bo osierocając nas ledwie lat trzydzieści trzy liczyła, była z tej liczby, zwłaszcza że rodzice moi, póki mieszkali w Poniatowie, byli bliskimi sąsiadami Bełżyc. Stąd potrzeba było każdą ucztę w Bełżycach dzielić i na imieniny przyjmować starościnę, gdyż rodzice moi, mieli ku temu dom świeżo wystawiony, obszerny i jak na ów czas ozdobny. Starościna prócz tego trzymała do chrztu brata mego młodszego, Józefa, który potem był biskupem kaliskim. Miała ona jeszcze kilka innych domów ulubionych, szczególniej tych, gdzie

---

[1]) Gdzie wielu grzeszy, nikt nie ponosi kary.

się znajdowały młode i ładne córki lub dorodni kawalerowie. Domy Gałęzowskich, Trzcińskich, Głuskich słynęły urodziwemi pannami. Dom Raszewskich, obywatela i dawnego rotmistrza kawaleryi narodowej, miał kilku synów, wszystkich prawie wojskowych, dorodnych, dobrych do konia, tańca i kieliszka. Albo więc starościna zabierała młodzież z tych domów, albo też te domy najeżdżała w każdej porze roku z kapelą i z swojem towarzystwem na imieniny i urodziny, a w zapusty kuligi do nich wyprawiała. Do tych ostatnich dla powiększenia liczby używała panien wychowujących się w klasztorach, szczególniej u panien Bernardynek, od czego ksieni tego klasztoru Głuska, krewna pani staróściny, wymówić się nie mogła. W tym klasztorze chowała się piękna panna, Tekla Kraińska, niemajętnego obywatela córka, wesoła, śmiała, powszechnie podobająca się młodzieży. Bez niej nie mógł się obejść żaden kulig, gdyż zwykle wybieraną była na pannę młodą, a na pana młodego przystojny z czarnym wąsikiem palestrancik, małego wzrostu, czupurny, zręczny, jowialny, nieco rubaszny, konceptowy, zalotny, Bonawentura Węgliński, przez panny przezwany Bonusiem, istny obraz Kubusia Morawskiego, tak trafnie w jego Dworcu[1]) opisanego. Gdzie Bonusia nie było, zasmucone twarze panien wydawały; gdzie się znajdował, wesołe skoki, gwar, chichoty, radość i ukontentowanie zdradzały. Opiszę jeden kulig, do którego z moim starszym bratem, nie mając jak szesnaście lat, należałem.

Starościna gotując raz suty kulig do Godowa, mieszkania Łąckiej, kasztelanowej sandomierskiej, uprzedziła

---

[1]) Dworzec mojego dziadka.

ją, że ją z licznem weselem wiejskiem napadnie. Zbierała więc jak najwięcej par, bo sobie zamierzyła najmniej w sto osób tę zabawę wyprawić. Spotkawszy się więc z ojcem moim, tak go prosiła, tak go molestowała, że on — acz poważny i w swoich zasadach obyczajowych do tego stopnia surowy, że nam na żadnych zabawach publicznych, na redutach i jarmarkach znajdować się nie dozwalał — nie oparł się naleganiom naprzykrzonej starościny, nie wzbronił nam należeć do tego kuligu i na stroje wiejskie dał nam pieniędzy. Przysposobiliśmy więc sobie żupany granatowe z karmazynowymi kołnierzami, lamowane srebrnymi szychowymi galonami, czapki karmazynowe krakowskie, białe ręczniki przez ramiona, i w tym ubiorze czekaliśmy na to wesele we Wronowie u Goltza, szambelana niegdyś Augusta III, starca siedmdziesięcioletniego, oświeconego i poważnego, który miał dwie córki niezamężne, już przez starościnę do kuligu zamówione. W tem miejscu, na trakcie między Bełżycami a Godowem położnem, na hasło przez starościnę wydane mieli się zjechać ci wszyscy, którzy za Bełżycami mieszkali. Czekaliśmy więc aż do wieczona już w kilkanaście sań zebrani, gdy dopiero zmierzchem wszczął się od austeryi wronowskiej krzyk, wrzawa, śpiewy i odgłosy muzyki na dętych instrumentach, trzask biczów i jak jaki uragan ta burza z trzydziestu sań złożona opadła przed gankiem. Dom ledwie mógł pomieścić ten tłum, udający pijanych chłopów, skaczący lub taczający się po pokojach. Starościna zaraz na wstępie oświadczyła, że ją dwóch członków z kuligu zawiodło i czekać tu na nich musi. Tymi członkami byli dwaj eleganci lubel. Trzciński ze Strzyżowic i Grajewski z Jabłonny, pierw wysoki, otyły, po francusku (bez umiejętności francuski

języka) noszący się, w grzecznościach wyszukany, w chodzie teatralny, w rozmowie przesadny; drugi, konwiktor warszawski, bardzo przystojny, delikatny i przyzwoity. Starościna oczękiwania tego użyła na namowę starca zacnego i trzęsącego się od starości Goltza, aby się w kulig ten wmieszał. Ani wiek tego starca ani przełożenia córek, ani gniewy, łajania i uwagi nic nie pomogły. Musiał sędziwy Goltz dla dogodzenia kaprysom pani na frak włożyć sukmanę i w tym stroju w peruce niemieckiej na głowie powiększyć kuligowe grono; dozwolonem mu tylko zostało jechać osobno w karecie na saniach z obiema córkami. Gdy już się ściemniało, a starościna nie mogła doczekać się przybycia elegantów, już w pomroku ruszył cały orszak z kapelą na czele i z marszałkiem wywijającym rózgą na przodzie. Burza się zerwała, wicher, śnieg, ciemność; jedne sanie mijają drugie, inne najeżdżają i trącają dyszlem, inne się wywracają, weselnicy babrzą się w śniegu, krzyk, wrzask, śmiechy, nie dla jednego bolesny przypadek, dla pani uciecha i radość. Trzeba było las przebywać, musiano pochodnie zapalić. Wtem odezwała się trąbka pocztowa; od ostatnich sanek aż do poszóstnych pani starościny dochodzi głos: »Trzciński, Trzciński, Grajewski!«; już starościna woła »stój«, zastanawia się cały orszak nie bez przypadków potrącenia dyszlami. Pocztowe sanki przesuwają się i stają obok sanek starościny. Eleganci w trzewikach, pończochach, we frakach, z ufryzowanymi i upudrowanymi tupetami chcą panią witać z sanek. Starościna woła: »Wysiądźcie!«. Każą sobie podesłać skórę iedźwiedzią i zbliżają się, chcąc pocałować rękę pani; ęczka ta wśród wyrzutów chwyta za tupety, gniecie czuchra. A gdy się wyjawiły trzewiki, pani woła

na kapelę, każe grać kozaka i przymusza elegantów tańczyć po śniegu. Nic nie pomogły gniewy, prośby; zaraz hajducy byli na podręczu, musieli się eleganci babrać, zamoczyć i tak śpieszyć do Chodła, miasteczka po drodze, gdzie dla przebłagania pani przebrali się w sukmanki. Napada więc ten orszak z hałasem dom spodziewającej się kasztelanowej sandomierskiej: tańcuje, hula, je, pije przez parę dni, przewraca do góry nogami dom, bo niejedno lustro strącone rózgą marszałkowską, niejeden sprzęt złamany przez rubasznych drużbów. Po odjeździe tego napadu wystawiał dwór obraz nieładu jakby po rabunku.

Drugi podobny temu kulig wyprawiła starościna o trzy mile do Markuszowa, do wojewody lubelskiego Hryniewieckiego, wdowca, starca siedmdziesięcioletniego, rządnego gospodarza, żyjącego z przystojną oszczędnością; a że słabowity i spokojny wojewoda na sam odgłos tej burzy przebiegającej okolicę przeląkł się i to do pani starościny doszło, więc umyśliła mu sprawić niespodziankę; ledwie ją skłoniono, że przez uszanowanie i wieku i zdrowia i urzędu wojewody doniosła mu listem o swojej chęci. Przeraził się starzec i o siebie i o swój pałac, który został świeżo wyreperowany i odświeżony na przejazd Stanisława Augusta. Rządny w domu i zamożny, nie dbał o wydatek, lecz o hałas i nieporządek, których był nieprzyjacielem, chodziło mu. Z początku myślał wyprosić się i ujechać, ale w zimie zawsze zamknięty w ciepłym pokoju i dla obawy paraliżu nie wychylający głowy za próg jego, ujrzał, iż jest koniecznością nieuniknioną przyjąć i wolał się przygotować, niż być znienac' napadniętym lub obrazić panią; wymówił tylko sob: aby kulig był bez podkówek od butów. Wpadł więc

niego ten kulig w dzień umówiony; lecz przy drzwiach do wielkiej sali stanęło dwóch hajduków z młotkiem i obcęgami, i rozkowywało gości, odrywając drużbom podkówki u obcasów, aby niemi woskowanych posadzek nie porysowali. Wojewoda, chociaż sędziwy, lubił młode i piękne twarze, a było ich dosyć. Gościnność i ciekawość przemogły w nim bojaźń o zdrowie. Drzwi od swego pokoju kazał na rozcież otworzyć, aby się mógł temu udanemu weselu przypatrzyć. Ubrany w żółte buty, żupan biały dymowy, kacawejkę takąż żółtego koloru z niebieskimi atłasowymi wyłogami, z twarzą podwiązaną białą chustką pod brodę, z głową łysą, okrytą czarną atłasową czapeczką, jakby księżą, papalinką zwaną, uważał przesuwające się pary i tak się rozochocił, że przez dwa dni kulig w swym domu zatrzymał.

Gdy podczas sejmu 1783. r. zbierano wojsko, starosta sieradzki jako rotmistrz kawaleryi narodowej, chociaż nie odmienił stroju polskiego na kawalerzyską kurtkę, przybrał czamarę polską ze szlifami i z ładownicą, a szwadron zapełniał młodzieżą z kancelaryi i z okolic. Konsystencyę tego szwadronu wyjednał do Bełżyc. Młodzież i oficerowie szczęśliwi byli, że w domu swego rotmistrza znajdowali grono młodych panien, zabawy, tańce i codzienne uczty. Starościna zachciała zaraz podzielić wojskowość męża, przybrała więc kurtę mundurową ze szlifami, i tak się na czele swego żeńskiego szwadronu ukazywała na musztrach.

Ten rodzaj życia w Bełżycach w miarę zmian okoliczności politycznych, przebywającego wieku, a ubywającego zdrowia i fortuny, podpadł ograniczeniu, jednak chociaż mniej hałaśliwie, tłumnie i wystawnie, przeciągnął się aż do końca rządu austryackiego. Starościnę zgnębiła

chiragra i osobliwszy rodzaj słabości, że przez pół roku, to jest przez całą zimę, była smutną i prawie niemą, w letniej porze napadały ją dawne chęci i skłonności. Kazała się wozić po sąsiedztwach i tam ciągłą gadatliwością wyjawiała pomieszany umysł; w tym stanie umarła, rozpisawszy fortunę między męża i krewnych. Starosta lat parę ją przeżył, mało się udzielał, lecz nawidzano go jako zacnego i szanownego człowieka; nakoniec zrobił się samotnikiem i umarł bez niedostatku fortuny, gdyż ta i z zapisu żony i z dożywocia mimo tak rozrzutnego życia wystarczała na przyzwoite starości wygody.

W zupełnej sprzeczności co do sposobu życia z Bełżycami był w Lubelskiem dom w Gościradowie Prażmowskiego, starosty mszczonowskiego, osobliwszego człowieka, do którego nigdy obywatelstwo lubelskie przyzwyczaić się nie mogło. O ile w Bełżycach dom, gościnność jego i cały sposób życia był uprzejmy, polski, zupełnie narodowy, o tyle w Gościradowie był dom zagraniczny, obcy obyczajom polskim, zamknięty w sobie, zgoła z trybu i sposobu życia do najmniejszych szczegółów cudzoziemski; a lubo Prażmowski przez żonę był spokrewniony z licznemi rodzinami, te rodziny nawet unikały go, gdyż pojąć nie mogły tego osobliwszego aż do śmieszności w swoim rodzaju człowieka. Opiszę tu jego osobę nie dla samej ciekawości, lecz dla przestrogi, jak daleko niebaczna żądza odróżniania się od innych i skłonność nasza do cudzoziemszczyzny może zaprawić śmiesznością i umysł i ciało.

Eligiusz Prażmowski, syn majętnego obywatela w Mazowszu, w ziemi ciechanowskiej, starosta msz. nowski, reprezentant imienia znanego w historyi (pı owego Prażmowskiego prymasa, który po abdykacyi ı

Kazimierza na sejmie konwokacyjnym prowadził i popierał księcia Kondeusza[1]) i stale się partyi francuskiej trzymał, a zatem z imienia nie obcy dworowi francuskiemu), na początku panowania Stanisława Augusta wysłany był, czy też sam dla dokończenia wychowania udał się do Paryża. Cokolwiek się ogładziwszy, znalazł łatwy przystęp do dworu Ludwika XV i do wszystkich znakomitych osób dwór ten otaczających. Przebywając tam, tak się zaentuzyazmował tym dworem, że prawie ułożył sobie zrzec się swej rodowitości polskiej, a przerobić się zupełnie na Francuza dworu Ludwika XV aż do najmniejszych odcieni. Mając pieniądze i będąc młodym, nierozważnym i nieostrożnym, wpadł w ręce jednego Francuza szarlatana, nazwiskiem Ponseta, który zrobił sobie projekt na szkatułkę panicza polskiego. Udając więc przed nim uczonego i przedsiębiorczego człowieka, wystawił mu i przekonał, że w tak ludnem mieście jak Paryż możnaby się w mgnieniu oka milionowej fortuny dorobić, a to z wychowania i sprzedaży kurcząt wylężonych bez kwok, lecz sztucznem ciepłem tegosamego stopnia, jakie pióra kur dają; okazał pewność dokazania tego i zyski tak jasno wyrachował, że Prażmowskiemu 200.000 złotych do spółki zachwycił. Założyli więc dom wielki, urządzili piece, krocie czy miliony jaj zakupili; te się pod sztucznem ciepłem zatęchły, przedsiębiorstwo się nie udało, Francuz szarlatan skrył się i uciekł, wierzyciele obsiedli młodego i nierozważnego Polaka, musiał się udać po pieniądze do Polski i ledwie się wykupił od surowości praw francuskich. Można sobie wystawić, jakie

---

[1]) Starającego się o koronę polską.

już uprzedzenie o nim w umysłach kontuszowych współziomków poprzedziło powrót jego do Polski; cóż dopiero gdy się w kraju, a szczególniej na prowincyi w osobie jego zjawił przesadzony Francuz z dworu Ludwika XV; bo my nie umiemy wyborowo naśladować, przesadzamy we wszystkiem, nawet w modach. Werżet na głowie pod samą skórę wystrzyżony, upudrowany grubo, loki zawinięte koło uszu, włosy z tyłu głowy ujęte i schowane w szeroki czarny worek jedwabny, plecy pod tym workiem upudrowane, frak czy w zimie czy w lecie atłasowy, kanarkowy, z fioletowymi takimiż wyłogami, guziki lśniące, a pod szkłem w nich cały zbiór robaków jakby z gabinetu historyi naturalnej: gąsienice, chrabąszcze, motyle, niedźwiadki, żabki, jaszczurki. Kamizelka i spodnie podobnież fioletowe atłasowe z haftowanymi w różne kolorowe desenie szlakami i podwiązkami, sprzążki lśniące stalowe, pończochy jedwabne białe, przy trzewikach ogromne sprzążki złote lub srebrne i kamieniami ubrylantowane, pod frakiem szpada jak rożenek w białej pochwie okutej stalą, z rękojeścią stalową, na której wisiały różne łańcuszki i trzęsidła z brylantowanej stali. Oto jest obraz tego zjawionego w województwie paryskiego eleganta, istna lalka na karetach francuskich malowana; łatwo pojąć, jak wąsata i kontuszowa szlachta obzierała ją i z jak szyderczym uśmiechem spoglądała na nią. Prażmowski posiadał w Lubelskiem starostwo łopiennickie, na pograniczu dawnej Polski od Rusi Czerwonej leżące, ożenił się zaś z młodą i bogatą dziedziczką Wybranowską, chorążanką lubelską, która mu do dwóch milionów posagu w ziemi nad Wisłą i za Wisłą przyniosła. Dziewica ta, przez bardzo zacnego ojca przyzwoicie wychowana, stała się prawdziwą męczennicą kapryśnego i dziwacznego mo-

dnisia i całe życie nią była i w domu i za domem. Nie dozwolił jej nawet ubierać się podług swej woli, lecz sam ją ubierał, sprowadzał jej nie tylko suknie, stroje, trzewiki z Paryża, ale szczególniej gorsety à la Pompadour, w które ją sam wciskał i sznurował tak, że stan musiał być tak cienki, aby go piędzią można było objąć, trzewiki na wysokich korkach tak były ciasne, że dziwić się trzeba było, jeżeli bez bolu stopą ruszyć mogła. Prócz tego, chociaż była świeżą, kazał się jej bielić, twarz blejwasem malować tak, aby na niej znać było proszek, brwi czernić i lica pstrzyć muszkami i jak moda kazała rogówki nosić. Tak te dwie wystrojone lalki pokazywały się po balach trybunalskich i w pierwszych domach, szczególniej w Opolu, u księżnej kasztelanowej krakowskiej Lubomirskiej, gdzie nieraz występowały do menueta, w którym pani starościna mszczonowska ledwie się ruszać mogła, a pan starosta z całą gracyą francuską zakreślając swoje ruchy nogami, wyrabiał wszystkie prawidłami sztuki przepisane skoki. Prażmowski wywiózł z Paryża rzadki talent muzyki. Grał na skrzypcach lewą ręką po mistrzowsku i był istotnie pierwszym skrzypkiem w Polsce; lecz tak wiele przywiązywał miłości własnej i próżności do swoich koncertów, które u niego wypraszano, że te o ile pieściły ucho, o tyle przez kapryśną i dziwaczną pedanteryę artysty nieznośnymi się stawały. Na orkiestrę towarzyszącą mu tupał, gniewał się, takt jej wybijał. Niechże kto ze słuchaczów kaszlnął lub krzesłem ruszył, rzucał z gniewem skrzypce, powtarzając: *„On ne peut pas, on ne peut pas“* [1]) i ledwie się potem dawał przebłagać. W domu swoim szczególny sposób życia zupełnie

[1]) Nie można, nie można.

anti-wiejski zaprowadził. O pewnej godzinie zgromadzano się na pokoje, a raczej schadzano; pani starościna z panem starostą, bo mało kto bywał. *Nos ambo turba sumus* [1]). Po obiedzie koncert pani starościny na fortepianie, wieczorem pana starosty na skrzypcach. Słuchaczami byli oficyaliści i liberya. Prócz tego od przejeżdżających wymagano, aby się w przedpokoju meldowali, co zraziło w narodzie republikańskim wiele osób, a nawet i krewnych. A tak gościnność państwa starostwa jałowiała mimo wybornej ich kuchni, która zwykła ściągać gości. Wystawił pan starosta sobie dom murowany, pałacowym kształtem, ale że i do architektury znajomość sobie przywłaszczał, i na tym domu dziwactwa swego położył piętno. Czoło i przysionek tego domu nie czterma, jak zwykle proporcya i natura wymaga, lecz tylko trzema podparł kolumnami. Średnia więc przecinała drzwi wchodowe, tak że w zmierzchu, kto się nie spodziewał znaleść przy wejściu przeszkody i nie wiedział o tej niespodziance, zwykle guzem na czole ją przepłacał. Jak był oryginalnym i dziwacznym w towarzyskiem obejściu, tak jeszcze dziwaczniejszym i więcej upartym okazał się w gospodarowaniu i zarządzaniu swemi dobrami. Co tylko za granicą w różnych krajach widział, o czem tylko zasłyszał, co w zagranicznych gazetach i pismach wyczytał, zaraz bez żadnej krytyki, bez uwagi na klimat, powietrze, ciemnotę rolniczej ludności, brak zręcznych wykonawców, bez żadnego rozsądnego zastósowania wprowadzał. Ziemię tak głęboko poorać, a raczej pokopać kazał, że ta mimo marglowania, wapnienia, rodzić przestała; tak rzadko siać zalecił, iż rzadkie kłosy chwiały się na niwach. Młócić

---

[1]) My obydwoje jesteśmy gromadą.

kazał bydłem przez przepędzanie trzody po nasłanych snopkach; skąd bywały kłosy nie wymłócone dobrze, zmoczone, skalane i uszkodzone przez trzodę ochudzoną głodem. Zboża takiego nikt kupić nie chciał. Zamiast za radą oficyalistów wrócić się do dawnego trybu, kazał pętać pyski bydłu, a pod ogonami skórzane worki wiązać; stąd bydło, grzechotem suchej skóry przestraszone, rozbiegało się, uciekało; stąd śmiech i żarty w sąsiedztwie. Lecz upór wolał pośmiewiskiem zostać, niż się skłonić. Stracił więc intratę, dłużył się oczekując daremnie spodziewanych korzyści.` Gdy przecież na jednym z małych folwarków wpływem urodzajnego roku okazały się piękne zbiory, zgromadził do siebie wszystkich ekonomów, przygotował nagrodę dla tego, który tym folwarkiem zarządzał, i odezwał się do nich: »Nie wykonywacie ściśle moich zarządzeń przez waszą ciemnotę i upór, i dlatego się lat kilkanaście nie rodzi; ty panie N. N. wykonałeś je i doczekaliśmy się pięknego urodzaju, oto masz nagrodę«, i wyliczył mu dwieście złotych. Ale stary wąsaty Polak i sumienny sługa rzekł do niego: »Jaśnie Wielmożny Panie, sumienie moje nie dozwala mi brać nagrody, do której prawa nie mam, bo właśnie dlatego się urodziło, że żadnej dyspozycyi pańskiej nie wykonywałem, orałem i siałem po dawnemu«. Strącony Prażmowski ze swego tryumfu, rozgniewał się, oddalił ze służby poczciwego ekonoma, a zacięty w uporze, sposobu gospodarowania nie zmienił aż do późnego wieku, bo żył aż do połowy bytu księstwa warszawskiego, i zawsze w starości nawet był jeden i niezmienny. Jak w początku panowania Stanisława Augusta był świeżym oryginałem z wieku Ludwika XV, tak w późniejszych czasach został starożytną tej epoki pamiątką. Chociaż tyle zmian w obyczajach,

w strojach zmienna moda wprowadziła, on wszystko staroświeckie zachował. Znałem go dobrze osobiście, w późnym jego wieku w tychsamych sukniach i z werżetem upudrowanym. Widziałem go w najtęższy mróz w trzewikach, pończochach, z odkrytą głową, chapeau-bas pod pachą, w niedźwiedziej kierei, idącego przez miasto, i widziałem go w Opolu, tańcującego menueta u księcia Alexandra Lubomirskiego. Przeżył żonę, która było bardzo zacną i oświeconą kobietą, lecz w obecności męża tak nieśmiałą, że jak mumia martwa nigdy ust nie otworzyła, lecz w nieprzytomności męża umiała się okazać tem, czem była, przyjemną i oświeconą. Sam starosta, mimo tych powierzchownych przywar, w gruncie był człowiekiem prawym, zacnym; zaczęto mu nawet przebaczać te jego śmieszności, i miał poważanie tych, których jego dziwactwa nie odrażały. Czytający o nim artykuł przebaczą mu jego nawyknienia, gdy sobie przypomną, w jakim urodził się i żył wieku, gdy się dowiedzą, że nie tylko stolica, lecz i prowincye były pełne tego rodzaju przesadzonych elegantów, gdy im przypomnę podkomorzego koronnego Potockiego, któremu zazdroszczono furmana Francuza, że na koźle siedząc romanse czytał; Rzewuskiego, marszałka wielkiego koronnego, ministra, który pół dnia tracił na układanie w fryzurę włosów, i któremu kamerdynerowie napełniali cały gabinet pyłem pachniącego pudru, aby ten zwolna osiadał na jego fryzurze i który dla piękniejszej płci sypiał z twarzą obłożoną plastrami świeżej cielęciny; gdy im powiem, że Stanisław August, Polak, syn dzielnego wojownika kasztelana krakowskiego, który w polskiej sukni umarł, wstępując na tron zalotnością zasłużony, na którym August III. cudzoziemiec w stroju polskim, w kar-

mazynowym aksamitnym kontuszu, w żupanie białym, z obstrzyżoną czupryną, koronował się, Stanisław August mówię na ten tron w ubiorze hiszpańskim wstąpił, a przed obrzędem koronacyjnym przed zwierciadłem w gronie najpiękniejszych kobiet układał osobę swoją w teatralnej powagi, a raczej płochości ruchy. Czas to był, w którym wrodzona Polakom żądza naśladownictwa obcych do najwyższego stopnia wzrosła i, bez względu na tyle stronnictw szarpiących Polskę, podzieliła ją na dwa odrębne zwyczajami, wyobrażeniami, obyczajami i modą narody, rdzenny Sarmatów i Gallo-Polaków, które przezwiskami nawzajem się prześladowały. Tym, którzy odmianę i porzucenie stroju narodowego za obojętną i nic nie znaczącą, a na obyczaje ojczyste żadnego wpływu nie mającą okoliczność poczytują, odpowiem słowy wyroczni historyków wszystkich wieków i narodów: *„Inde etiam habitus nostri honor et frequens toga, paulatimque discessum ad delinimenta vitiorum, porticus et balnea et conviviorum elegantiam. Idque apud imperitos humanitas vocabatur, quod pars servitutis esset“* [1]).

Jakoż zastanowiwszy się głębiej nad przyczynami naszego wynarodowienia się i okropnymi jego skutkami, przyznać musimy tę prawdę, że przez ustępowanie tych z pozoru mało ważnych cech naszej narodowości, mniej zarobiliśmy na oświeceniu i ogładzie, jak stracili na ich skromnej szlachetnej prostocie, na jędrności i harcie charakterów, jedynych warunków do utrzymania nie tylko

---

[1]) Stąd poszanowanie stroju naszego i liczne togi, powoli zaczęto hołdować ponętom występków, portykom, kąpielom i wykwintności biesiad; i to nazywało się u nieświadomych ogładą, co było prawie niewolą.

sławy, którą nas prości, dobroduszni, ale waleczni przodkowie okryli, ale nawet istnienia politycznego. Z odmianą sukni zajrzała do nas zaraza zbytków, rozpusty i zniewieściałości; z świeższemi wyobrażeniami weszły występki i przywary. Cnót obcych nie potrzebowaliśmy, bośmy mieli własne, czerpane i z przykładów ojczystych i z historyi starożytnej, na której się nasze charaktery wyrobiły. Staszic[1]), w pomysłach swoich głęboko sięgający, rozwiązując pytanie, co to jest narodowość? między główne jej cechy policzył strój narodowy właściwy; byłże właściwszy w stosunku do klimatu, do ostrości powietrza, jak ten ubiór długi, poważny, wygodny, który gdyby nawet nie miał za sobą świetnych historycznych pamiątek, już przez tosamo godzien był poszanowania i zatrzymania, że dodawał osobom powagi, a przeszkadzał płochości skoków teatralnych i histryońskich [2]) wyginań członków. Byliśmy prawdziwie pod Piastami, Jagiellonami i Wazami *gens togata* [3]). Zostawialiśmy, jak Rzymianie, komedyantkom, baletniczkom i histryonom skoki i hasania. Taniec nasz był raczej poważną przechadzką dla starszych; krakowiaka i mazura przyswoiła sobie młodzież szlachecka od pospólstwa. Przodkowie nasi od wprowadzenia religii chrześciańskiej zaczęli się kształcić na historyi rzymskiej, wszystkośmy brali z tego ogniska dawnej i nowej cywilizacyi. Szlachetna duma, uczucie własnej godności i nawet wyższości, stamtąd przyszły. Byliśmy w insty-

---

[1]) Stanisł. Staszic (1755—1826), mąż uczony, wielki patryota i polityk, szczeg. w czasach księstwa warsz. i królestwa kongresowego.

[2]) Błazeńskich.

[3]) Naród noszący togę (jak Rzymianie), zajmujący się polityką.

tucyach, obyczajach, wyobrażeniach, ubiorach północnymi Rzymianami, jak teraz jesteśmy północnymi Francuzami. Skutki mówią, czyśmy na zamianie zarobili. W szatach polskich i na koniach przy szablach poznali nas Francuzi, gdy nasi posłowie pokazali się na dworze Katarzyny de Medicis, wyżsi oświeceniem, ogładą, znajomością języków od Francuzów. Jakób Sobieski w polskiej sukni na koniu oddawał wizyty po Paryżu, i przypadkiem przejeżdzał około orszaku Henryka IV, gdy go wysiadającego z karety Ravaillac[1]) nożem uderzył. Tensam Sobieski, wysławszy synów Marka i Jana do akademii paryskiej, w instrukcyi im napisał: »Nie uczcie się tańców, bo ich się tu od Tatarów nauczycie«. Jan służąc w regimencie muszkieterów za Ludwika XIV, i pięknością postaci i wykształceniem zwróciwszy na siebie oczy księżny de Longueville, powrócił do Polski i prócz języka i oświecenia żadnych obcych zwyczajów nie przywiózł. On to w zbroi pod Chocimem, a w niebieskim kontuszu walczył pod Wiedniem. Działyński w polskiej sukni posłował do Elżbiety królowej angielskiej. W polskim stroju Jerzy Ossoliński czynił wjazd wspaniały do Rzymu; w kontuszu Karol Radziwiłł cnotliwy, lecz zwiedziony stanął na czele konfederacyi radomskiej. W kontuszu Krasiński, podkomorzy prasznyski, podniósł i przewodził konfederacyi barskiej; w kontuszu bronił i religii i ojczyzny Pulawski, w kontuszu wołał cnotliwy Reytan, położywszy się na progu izby sejmowej r. 1775.: »Zabijcie mnie, a nie zabijajcie ojczyzny«, w kontuszu powtarzał Korsak na sejmie 1788.: »Skarb i wojsko!« —

---

[1]) Morderca króla francuskiego, Henryka IV.

a frakowy Poniński zabijał i ćwiertował Polskę, frakowi możnowładcy podnieśli bunt w Targowicy, frakowi Miączyński i Podhorski wnieśli na grodzieńskim sejmie projekt podziału i frakowy król Stanisław August podanym sobie przez nich ołówkiem podpisał. Wspominam to nie dlatego, abym usprawiedliwiał dawniejsze jezuickie wychowanie lub ubliżał zaletom nowego, wprowadzonego przez komisyę edukacyjną, lecz abym okazał, że *tardiora sunt remedia, quam mala*[1]). Skażenie obyczajów narodowych cudzoziemszczyzną weszło za Augusta II, rozkrzewiło się pod Augustem III, kwiat i ziarno wydało pod Stanisławem, gdy z wolteryzmem ogarnął młodzież sceptycyzm i rozwiódł miłość ojczyzny z miłością religii, które w ścisłym z sobą związku wspierały ducha narodowego. Stanisław August, o którym powiedzieć można „*Video meliora proboque, deteriora sequor*[2]), sam zarażony nauką encyklopedystów i sceptyków[3]) francuskich, sam wypieszczony modniś salonów paryskich i ponętny uczeń dworu Sardanapala francuskiego, własnym wzorem psuł to wszystko, co wskrzesić usiłował.

Z góry zły przykład idzie z każdej strony,
Z góry naszego nieszczęścia przyczyna. —

Ale się też nie jeden odezwać może: Zaco tak wiele przyznajesz wagi strojowi polskiemu? czy już w innym nie podobna być cnotliwym i dobrym Polakiem? — Nie przeczę temu i widziałem tego wzory w Andrzeju

---

1) Powolniejsze są lekarstwa, niż choroby.

2) Widzę lepsze rzeczy i pochwalam, idę za gorszemi.

3) Filozofowie we Francyi (w. XVIII), którzy wydawali en klopedyę wszech nauk.

Zamojskim, w Stanisławie Małachowskim, w Ignacym Potockim, w Zakrzewskim, w Niemcewiczu i w wielu konstytucyjnego sejmu posłach. Zarzucić mi jeszcze można, czy nie pod szatą narodową nastąpił ów zbrodniczy rokosz Zebrzydowskiego, bunt przeciw Janowi Kazimierzowi Lubomirskiego, tyle niecnych konfederacyi i spisków wojska; przyznaję, że szata cnoty nadać niezdolna, lecz nikt nie zaprzeczy, że jednak dodaje do miłości ojczyzny i swego rodu i, oznaczając odrębnem od innych ludów znamieniem, odróżnia narodowość i że tak powiem strzeże jej od pomieszania się z obcemi. Najlepiej to czujemy teraz, gdy już Polaka od innego krajowca rozpoznać nie można i gdy się próżno ostatnią cechą narodowości, językiem tylko bronimy od wgniecenia nas w inną narodowość, w którą nas nie tylko obca ręka, ale własne nasze wyobrażenia, łatwość charakteru, skłonność do naśladowania pod pozorem cywilizacyi lub rozsądku wciskają. Teraz dopiero radzibyśmy wrócić do zwyczajów przodków naszych, kiedy już powrót jest niepodobny. Można mi jeszcze stawić przykład szlachty rosyjskiej, która z zachodu przyjąwszy cywilizacyę, wzięła razem obcą szatę i odróżnia się nią od masy brodatego ludu, a przecież miłości ojczyzny i niepodległości niezrównany z siebie dała przykład w wojnie z Napoleonem przez spalenie Moskwy i wytrwałą obronę. Na to odpowiadam. Inne jest położenie geograficzne, inne polityczne, inne z sąsiedztwa ludów, inne z ogromu tego państwa i natury rządu samowładnego. Co u nas jest niebezpiecznem, tam słaby i nieszkodliwy wpływ wywiera, przytem religia grecka rozróżnia i zawsze rozróżniać będzie Rosyan od innych katolickich i chrześciańskich ludów; ta ich broni od wcielania się w obcą narodowość.

To, co zwykle nazywają fanatyzmem, jest ich tarczą. My z nowemi wyobrażeniami przez ślepe naśladownictwo wolterzyści i sceptycy francuscy, a dziś filozofowie niemieccy, z naszego wychowania straciliśmy ten ostatni spójnik, który nas z ludem ściśle łączył, a dziś jakby jaki obcy naród rozróżnia. Nakoniec w Rosyi jednego władza wszystkiem porusza, wszystkiemu popęd daje: kiedy u nas z samej formy rządu rozprzężenie wszelkich węzłów wynikło.

Przyznaję więc, że szata francuska nie tylko nie wyzuła nas z męstwa, lecz je jeszcze obudziła i podniosła, a stropiła z drogi tego burdactwa, na którą w czasach długiego pokoju pod Augustami było weszło; przyznaję, że chociaż nam nie dała Zamojskich, Żółkiewskich, Chodkiewiczów, dała Kościuszków, Poniatowskich, Dąbrowskich, Zajączków, Kniaziewiczów, Chłopickich; lecz jestże to zaletą tej szaty lub zaszczytem rodzinnym krwi polskiej? Atoli przyznajmy, tamci byliby nie dopuścili tych okoliczności, jakie nasz upadek sprowadził, ci im już mimo męstwa i ofiar nie wydołali; i przypomnijmy sobie, że jeżeli cudami waleczności zgon nasz uświetnili, to waleczność i męstwo wraz z kurtkami polskiemi, barwami narodowemi i z czapkami polskiemi, odezwała się, jakby duchy Zamojskich, Żółkiewskich, Chodkiewiczów, Czarnieckich wstąpiły w ich piersi, gdy te godła na ich piersiach i barkach ujrzały; i słusznie Morawski w pięknym swoim wierszu do Wincentego Krasińskiego wyraził:

Korony upadały, a czapka nie spadła.

A jeżeli za księstwa warszawskiego wojsko polskie piesze, chociaż pod barwami narodowemi, lecz w kraju francuskim walczyło, wspomnieć potrzeba, że kształt

mundurów polskich był nie nożycami Soubisa[1]) lub Ludwika XV, lecz mieczem Napoleona skrojony.

Rozgadałem się nad szatą obcą, a raczej nad płochością naśladowania; jest to wada starości, która już porządku myślom dać nie umie. Wrócę się więc do domów w województwie lubelskiem. Przyznać muszę, że — za jeden dom oryginalny i prawdziwie cudzoziemski Prażmowskiego, za drugi w innym sposobie nieco szczególny Marchockiego w Sobieskiej Woli, uprzykrzony kielichami, którego gospodarz marnotrawił majątek, a nieludzko obchodził się z włościanami — domy obywatelskie po większej części w miarę swojej zamożności prowadziły życie skromne, przyzwoite i poważne i nie do jednego z nich można było zastósować niejeden rozdział Podstolego Krasickiego. Dwa jednak domy, acz z pozoru cudzoziemskie i protestanckie, odróżniały się od wszystkich oświeceniem, cnotą, moralnością, obyczajnością, ogładą, zgoła przykładną przystojnością życia obywatelskiego, o których wzmianki opuścić nie mogę. Jednym był Wronów pod Bełżycami, drugi Stryjna pod Piaskami, które zwykle luterskimi nazywano dlatego, że w nich stał zbór protestancki. W pierwszym, to jest we Wronowie, mieszkał Ernest Gonteryn Goltz, szambelan dworu polskiego przy Auguście III i pierwszy sekretarz gabinetu ministra saskiego Brühla, ożeniony z wdową Orzechowską, zacną i przykładną macochą dwóch jego córek, wybornie pod okiem ojca wychowanych i do wielkiego świata wykształconych. Goltz podówczas, jak go pozna-

---

[1]) Książę Soubise, par i marszałek Francyi, osobisty przyjaciel Ludwika XV.

łem blisko siedemdziesięcioletni starzec, przed elekcyą Stanisława Augusta poróżniwszy się z Brühlem, ministrem wszechwładnym Augusta III, przywiązał się do domu Czartoryskich, do czego pociągnął go Fleming, zięć księcia kanclerza, a ojciec księżny generałowej Czartoryskiej, wnuczki i synowej wojewody ruskiego. Czartoryscy po wstąpieniu na tron swego siostrzeńca, życzyli sobie przydać mu Goltza za sekretarza do interesów zagranicznych, jako człowieka prawego, oświeconego, zdolnego i obeznanego z dyplomacyą. Stanisław August żądał mieć go przy sobie i przywiązać do swojej osoby; lecz te życzenia króla nie spełniły się. Słyszałem z ust samego Goltza przyczynę. »Miałem«, mówił starzec, »być na czele gabinetu Stanisława Augusta. Na jednym z balów u księcia Repnina, ambasadora rosyjskiego, stanąłem przy kole tańcujących kadryla, w którym prowadził drugą parę Repnin z księżną generałową Czartoryską. Król omylił się w figurze, Repnin go zaczął poprawiać, lecz z takiem szyderstwem, z tak nieprzystojną poufałością, że gdy nim bez żadnego uszanowania obracał, mruganiem i uśmiechem do kobiet chciał, aby wiedziano, jak go lekko waży. Król, czy szyderstwa nie spostrzegł, czy tak był zajęty sobą i tańcem, skakał za skinieniem swego mistrza i z teatralną gracyą ręce do łańcucha tańcującym podawał. Ten widok w takie mnie oburzenie wprawił, iż rzekłem sobie: Za żadne skarby świata temu ukoronowanemu trzpiotowi służyć nie będę«. Od tego starca słyszałem drugą anegdotę o Brühlu, ministrze i faworycie Augusta III. Brühl znany był z przesadnej elegancyi w stroju. Uganiał się za modą; szaty jedne rzadko kiedy dwa razy nosił, lecz według mody francuskiej i angielskiej odmieniał, stąd garderoba jego

do tego stopnia wzrosła, że można ją było nazwać gabinetem szat. Chełpił się tem i lubił ten zbiór w osobnej sali umieszczony okazywać gościom. Każdy, kto go o to prosił, przyjemność mu robił. Poseł angielski, na prośbę swoją wprowadzony do tej sali obiadując u niego, podziwiał ten zbiór historyczny i te rozmaite zmiany mody, a spojrzawszy na oszklone szafy, w których kilkadziesiąt par trzewików i butów umieszczonych było, rzekł: »Teraz się nie dziwię, dlaczego cały lud polski boso chodzi, gdy ich obuwie widzę u ministra«. Głęboki i złośliwy sarkazm, którego Brühl nie zrozumiał lub udał, że go nie rozumie. Goltz, oddaliwszy się od dworu, wysłany był przez konfederacyę toruńską z przełożeniami dyssydentów w poselstwie do Petersburga, gdzie kilka lat przetrawił, poznał doskonale dwór i gabinet rosyjski i wywiózł wyobrażenie niemylne o potędze, polityce, duchu tego państwa. Powróciwszy do Polski i osiadłszy we wsi Wronowie, osłonił się od prześladowania powagą i wpływem na duchowieństwo Sołtyka, biskupa krakowskiego, z którym od młodości łączyła go przyjaźń i szacunek. Oddał się zupełnie gospodarstwu jak prawdziwy filozof bez mizantropii[1]). Póki go starość nie nachyliła, udzielał się towarzystwu pierwszych domów, Puławom i Opolowi, w którym mieszkał Antoni Lubomirski, wprzód wojewoda lubelski, a później kasztelan krakowski, wielki przyjaciel dworu saskiego, a po jego śmierci żona jego Zofia z Krasińskich, ciotka rodzona Franciszki Krasińskiej, zaślubionej królewiczowi Karolowi. Królewiczowa Karolowa, z powodu nieuznanego przez dwór saski

---

[1]) Nienawiści ku ludziom.

małżeństwa, lat kilka mieszkała w Opolu, póki za wdaniem się Maryi Teresy cesarzowej dwór saski zezwolenia swego nie udzielił i młodej królewiczowej do rodziny nie przyjął. Widziałem w Opolu portret tej sławnej piękności. Twarz jej pełna, okrągła, nadobna, lecz fryzurą upudrowaną oszpecona. Malarz wystawił ją siedzącą za krosienkami w chwili, gdy wstaje powitać męża powracającego z polowania. Mąż jest wyobrażony w ubiorze myśliwskim; córka dziesięcioletnia, stojąca około matki, podaje mu różę; twarz księcia Karola ściągła, chuderlawa; znalazłem do niej nieco podobieństwa w rysach króla saskiego Fryderyka Augusta. Portret ten z Opola przeniósł się do pałacu generała Wincentego Krasińskiego.

Gdy wiek nachylił zacnego Goltza, nie wyjeżdżał z domu, trudy gospodarskie przerywał czytaniem zagranicznych gazet i o polityce rozmawiać lubił z swoim pastorem, nazwiskiem Radosz, starcem jego wieku, urodzonym w Polsce, lecz wychowanym za granicą, który długo podróżował po Anglii, Francyi, Holandyi, człowiekiem uczonym, językami tych krajów mówiącym, a jak każdy stary gadatliwym. Bywałem ja nieraz świadkiem tych politycznych sporów, z których wiele można się było nauczyć. Goltz lubił gospodarstwo, a znając zagraniczne, wprowadzał do polskiego zmiany, ale ostrożnie. Miał i rozmnożył piękne stado owiec angielskich, które byli Orzechowscy z Anglii wprzód sprowadzili; i owczarnia jego była najsławniejsza w województwie, a może i w kraju; kupcy się o wełnę z niej ubiegali i już wtedy płacili po złotych sto kamień, kiedy w innych majątkach ledwie po czterdzieści złotych dawali. W zimie zwykł był sam wyjeżdzać do lasów, które miał obszerne i rzad-

kiej wybiegłości i piękności; sam jak Washington[1]) w Ameryce do ścinania drzewa cechował, niemałą on z tego źródła intratę pobierał, prócz tego miał zapewnioną pensyę dożywotnią od dworu saskiego. Dochodów użył na przebudowanie całej wsi z kilkudziesięciu chat złożonej, na sposób pruski. W pierwszym Wronowie ukazały się domy włościan wysokie, z wyniosłymi dachami, widne, obszerne, z murowanymi kominami, w miejsce niskich, dymnych i lichych chat. Lubił przestawać z włościanami, uczyć ich lepszego gospodarstwa, odwracać od używania trunków, przykładem i rozmowami do moralności skłaniać, łagodną i sprawiedliwą zwierzchnością z ciemnoty i dzikości wyprowadzać; już u niego nie karano przewinień cieleśnie, lecz jedynie aresztem. Na wiosnę ulubionem jego było zatrudnieniem zasadzać ogrody, własną ręką szczepić owoce, mnożyć drzewa, a szczególniej kasztany około domu; porosły też w olbrzymy i teraz otaczają i zacieniają to jego siedlisko. Stół jego był skromny, lecz do smaku przyrządzony; pokarmów używał z wstrzemięźliwością, wina pił mało i to zwykle czerwone burgundzkie. Ku schyłkowi wieku mięsa nie jadał, lecz najwięcej karmił się suchymi owocami, które sam sobie na kominku przyrządzał; współstołownikom niezdrowych pokarmów zabraniał. Czcigodny widok przedstawiał stół jego, obsadzony samymi starcami 70 i 80 letnimi płci obojej. Zasiadały do niego cztery małżeństwa już zgrzybiałe, których wiek, razem wzięty, kilka wieków wynosił; dwie tylko córki młodszemi twa-

---

[1]) Twórca niepodległości Stanów Zjednoczonych półn. Ameryki (1732—99).

rzami od osiwiałych starców odbijały. Stare bowiem sługi aż do śmierci przy sobie trzymał, żadnego i żadnej nie odprawił, wszystkich do swego wspólnego stołu przypuszczał. Tensam widok można było znaleść między folwarczną czeladzią, której przewodniczyła stara, z Gdańska wywieziona kucharka, sto lat wieku licząca. O religii nigdy nie mówił; mając w domu pastora, nabożeństwa, nauki i czytanie biblii w niedziele zachowywał; ściśle zaś pilnował, aby słudzy jego katoliccy przepisy wiary naszej, posty nawet zachowywali i do parafialnego kościoła uczęszczali. Z tego powodu odbierał cześć od duchowieństwa katolickiego. Odwiedzali go też znakomici prałaci i sąsiedni proboszcze i zakonnicy różnych klasztorów, szczególniej ubogich, bo pewni byli gościnnego przyjęcia i hojnej jałmużny. Przyjaciel stały domu saskiego, dobry i oświecony Polak, rozchmurzył posępną starość odgłosem sejmu konstytucyjnego 1788. roku, i równie przyjaznemi politycznemi okolicznościami jak wyborem posłów na ten sejm rozradował się; lecz wkrótce jako doświadczony i wytrawny dyplomata zasmucił się zerwaniem stosunków z Rosyą, drażnieniem jej, a szczególniej zawarciem aliansu z królem pruskim. Słyszałem go mówiącego: »Nie znają ducha polityki angielskiej, zapomnieli o chytrości i oszukaństwach dworu berlińskiego, nie pomną na przestrogi historyi, czem ten dwór był dla Polski, z kogo wzrósł i z kogo wzrastać sobie zamierzył. Ufają osobistemu charakterowi teraźniejszego króla pruskiego, nie pamiętając, że duch Fryderyka Wielkiego i jego polityka żyją zawsze i że od niej ten gabinet nigdy nie odstąpi«. Kiedy przeczytał w mowie Stanisława Augusta silne i logiczne wyrazy, dowodzące z różnych powodów i z pobratymstwa i z sąsiedztwa

i z geograficznego położenia konieczności trzymania się z Rosyą, a szczególniej te słowa: »Szanujmy wszystkich panujących, którzy dziś są tronów ozdobą, nie obrażajmy nikogo, łączmy się z tym ściślej, który ma jak najmniej pobudek powiększyć się naszą ziemią, a nadewszystko nie groźmy siłą, której dziś nie mamy« — rzekł Goltz: »Król dobrze radzi, ale go nie słuchają; król przez słabość charakteru sam sobie nie dotrzyma i będą zdradzeni«. I właśnie to się stało, co wróżył i przepowiadał, ale Bóg mu oszczędził bolesnego strapienia, uprzedził śmiercią ustanowienie konstytucyi 3go maja; a tak upadku jej i smutnych następstw nie widział.

Po śmierci jego córki objęły majątek; obie były już w dojrzałym wieku. Starsza Elżbieta i z postaci i z twarzy była nader przystojna, a razem niezrównanej dobroci, łagodności i uprzejmości. Młodsza Ludwika ułomna, równie dobra, pełna rozumu, nauki, rozsądku, lecz słabowita. Starsza za życia ojca miała licznych konkurentów, odmówiła wszystkim, jedynie przez miłość ojca i siostry, aby się z nimi nie rozłączać i oboje pielęgnować. Jeden ze znakomitszych i z majątku i z wychowania obywateli, Dłuski, starosta zwoliński, tak się w niej stale zakochał, że z tą miłością osiwiał, nie ożenił się i ciągle, chociaż się i ona w wiek zapędziła, wzdychał do niej, powtarzał oświadczenia, bywał w Wronowie i tę zacną i słuszną osobę śmiesznością swojej miłości obrażał. Te dwie siostry same sobie wystarczały; zaledwie się rządzić zaczęły, już dom ich, można powiedzieć bez przesady, zamienił się w prawdziwy instytut panien łosiernych i ochronę dobroczyności; nie odmieniły niczem patryarchalnego życia ojca swego, owszem kres jego rozprzestrzeniły. Gdy wieści o ich dobro-

czynnych uczynkach rozeszły się, z dalekich okolic, jakiejkolwiek bądź religii, starzy, kalecy, zdradzeni od fortuny, dotknięci nieszczęściem, schorzali, ślepi, sieroty obojej płci ściągały się do Wronowa po przytułek, po wsparcie, po wyleczenie. Na ich przyjęcie dom osobny przeznaczyły, jedną z sierót wychowanic wybrały na aptekarkę, która się na nią pod radą dobrych doktorów a ich przyjaciół wykształciła. Sługi ich za wzorem pań swoich jak one litościwe, ubiegały się w posłudze tego szpitala, a lekarze, cyrulicy, operatorowie z Puław, z Opola, z Lublina, niosąc cześć tym dobroczynnym istotom, śpieszyli chętnie i jakby z powinności dobrowolnie odwiedzali ten prawdziwy instytut, tę świątynię cnót chrześciańskich. Wieleż osób uratowanych od śmierci, od nędzy, od kalectwa, od rozpaczy i zepsucia, wznosiło za niemi do nieba modły i błogosławiło im. Sam widziałem te łzy wdzięczności, sam słyszałem głosy błogosławiące; one się tylko przed niemi uchylały. Dość było nieszczęścia doznać, nie czekały na wezwanie, same naprzeciw niedoli śpieszyły z pomocą. Ileż przyjaciół, znajomych, a nawet nieznajomych nią wsparły, to zaręczeniem za dłużnych, to własnem zadłużeniem się za nich. Dom ich też był zawsze zapełnionym. Możni i szczęśliwi uczęszczali, aby przypatrywać się uszczęśliwionym, czcić uszczęśliwiających. Dziwiono się, jak im na tyle wydatków w takim sposobie życia jedna wieś mogła dostarczyć dochodu. Odłużyły ją wprawdzie w połowie na zapisy dla sług wysłużonych, na posagi dla małżeństw przez siebie skojarzonych, na dary dla sierót i ubogich; bo kto raz ich dobrodziejstw doznał, już stawał się ogniwem łańcucha ich patryarchalnej rodziny i już plemieni jego z opieki nie wypuściły. Dzieci ich przyjaciół pc

wszechnie u nich świętowały, u nich wakacye szkolne odbywały. Były to prawdziwe matki młodzieży. Tak cnotliwe i najprzykładniejsze życie przeciągnęły przez wszystkie szczęśliwe i nieszczęśliwe zmiany losów tego kraju, nie dając się nikomu uprzedzić w obowiązkach najlepszych obywatelek i Polek i w ofiarach dla kraju. Dobiegły one do kresu życia na początku kongresowego królestwa w r. 1817., bliskie wiekiem 70 lat przebyły; jedna bez drugiej nie pozostała na tej ziemi i skoro młodsza słabowita na puchlinę skończyła, starsza acz silna i czerstwa, z tęsknoty i bolu, tylko ją kilku dniami przeżyła. Bóg je razem na ziemię jak anioły opiekuńcze zesłał, Bóg je razem powołał. Razem też i wspólnym pogrzebem pochowane przy kościele ewangelickim w Lublinie spoczywają.

Przychodzi mi na pamięć jedno wydarzenie. Jakiś obywatel znakomity z Wielkopolski przejeżdżał do Opola i z Opola przez Wronów i popasał w austeryi wronowskiej. Dziwiły go nieznane w naszych okolicach zabudowania włościańskie na kształt pruskich domów. Wszedł w rozmowę z włościanami zgromadzonymi w karczmie i nasłuchał się pochwał i błogosławieństw dla dwóch panien dziedziczek tej pięknej wsi. »To są nasze opiekunki, nasze matki« — mówili włościanie; — »oby je Bóg najdłużej na tym świecie chował!« Gdy wyjechał z austeryi, napotkał przejeżdżającą gościniec bryczkę i na niej siedzące dwie kobiety w skromnym ubiorze, prosty parobek je powoził i skręcał na drogę do Poniatowy. Jechały do Janiszewskich, swoich od serca przyjaciół, a gdy przechodzący włościanin uwiadomił tego podróżnego obywatela, że to panie Wronowa jadą, pogonił za bryczką, zawołał, aby stanęła, i wyskoczył

z pojazdu. Zdziwione panny Goltzówny wstrzymaniem przez nieznajomego, te od niego usłyszały słowa: »Darujcie natręctwo nieznajomemu, jestem N. N. Jakto wy panie, wy dziedziczki tej obszernej wsi, jedzicie bryczką, wy, których nie konie, ale ramiona uszczęśliwionych przez was włościan ciągnąć powinny? A niechże was Bóg błogosławi, pozwólcie wasze ręce ucałować, opowiem mojej żonie i sąsiadom wasze cnoty i wasz wielki rozum, opowiem, że w Lubelskiem widziałem święte osoby na ziemi«.

Drugim domem protestanckim tego rodzaju, podobnego sposobu życia, była Stryjna, acz jako zamieszkała od możniejszego i majętniejszego dziedzica nieco większej wystawy w zakresie obywatelskim wzór wystawiała. Mieszkał w niej Paweł Stryjeński, także szambelan dworu saskiego, uczeń i towarzysz szambelana Goltza, brat rodzony szefa gwardyi litewskiej, ojciec licznej rodziny, wśród której Maryanna najstarsza dała się poznać literackiemu światu przez pełne tkliwości i smaku wierszem i prozą utwory. Paweł Stryjeński był mąż oświecony, wiele podróżował po Niemczech, był gospodarzem w okolicy wzorowym, lubił literaturę zagraniczną i krajową, miał nieszczupłą bibliotekę, odwiedzany był od ludzi uczonych, był dobrym i gorliwym Polakiem, skwapliwym do posług publicznych i wzywanym po stokroć do politycznego życia. Wspierał patryotów i literatów duchem i majątkiem. Franciszek Dmóchowski, tłómacz Iliady Homera, po rewolucyi Kościuszki dom jego obrał na schronienie, który do ostatniego podziału Polski nie przestał być przytułkiem rozbitków cywilnych i wojskowych. W nieszczczęśliwych okolicznościach Polski dzielił z współziomkami ofia tułactwo i cierpienia. Charakteru był żywego, na w domu nieco surowego, acz zawsze ludzkiego; łagod

tę żywość niezrównana dobroć i łagodność drugiej żony jego Karoliny z Suchodolskich, którą zwykle świętą Karoliną nazywano. Wychowanie dzieciom dał przyzwoite, nauczycieli domowych, oświeconych cudzoziemców do nich sprowadzał, mieszkał w porządnym domu, często w nim zgromadzenia przyjmował z otwartą gościnnością i hojnością bez zbytku. Miłośnikiem był ogrodów i owoców i piękne w nich pamiątki po sobie zostawił. I przez religię i przez dawną przyjaźń i przez nawyknienia, wyobrażenia, zamiłowanie cnót chrześciańskich, dom jego był złączony z Wronowem; te rodziny nawzajem do siebie uczęszczały i jednym duchem tchnęły. Po śmierci jego i jego małżonki, przeszła Stryjna, dom tak miły obywatelom, w inne ręce. Nie zgasła w sercach i umysłach pamięć cnót tego domu, bo ją zacne i szlachetne potomstwo rozkrzewiło i utrzymuje.

Dla dania wyobrażenia, jak w czasach młodości mojej ludzie dawniejszego wychowania pojmowali przyjaźń, wspomnę jeden jej dowód, mówiąc o Pawle Stryjeńskim. Gdyśmy przez nagłą śmierć stracili ojca, zaraz bliżsi jego przyjaciele zjechali się do Gałęzowa: podstarosta Wiercieński, podkomorzy Grabowski, Lipski, miecznik urzędowski, komornik Rzeczycki, Jan Dmóchowski, ci dwaj ostatni obowiązani memu ojcu, Tadeusz Kownacki, już mój osobisty przyjaciel, Jakób Janiszewski. Paweł Stryjeński nie dał się innym uprzedzić. Jedni trudnili się pogrzebem, drudzy wzięli w opiekę gospodarstwo, a widząc mnie płaczącego, pocieszali mówiąc: »Nie płacz, my cię nie odstąpimy; jeżeliby cię interesa kłopotały, w aw nam i powierz się szczerze, a masz nas gotowych n zawołanie; nie damy się pochylić waszej fortunie, n 'e są ku jej pomocy«.

Gdy z żalu przeniosłem moje mieszkanie do Piotrowic, Paweł Stryjeński odwiedził mnie i wypytywał się troskliwie o stan naszej fortuny. Wiedząc, że mój ojciec winien mu był kilkaset czerwonych złotych, wziąłem tę jego troskliwość za niespokojność lub nieufność memu na wolności w młodym jeszcze wieku postępowaniu. Wniosłem więc sobie niedość bacznie, że dla zrobienia sobie kredytu, naprzód należy spłacić długi przyjaciołom; i w rok będąc w Stryjnie na imieninach Pawła Stryjeńskiego, odwiozłem należącą mu sumę. Jakież było moje zadziwienie, gdy czoło zachmurzył, obruszył się i prawie połajał. »Jakto? mówił, toż mnie pierwszego spychasz z swojej fortuny, jak naprzykrzonego Żyda? jestże to po przyjacielsku? wolałbym, abyś mnie wezwał o pomoc, abym ci dodał, jeżeli potrzebujesz. Ja ufam tobie, mam otwarty worek dla przyjaciół; proszę cię, niech ja będę ostatni w wypłacie, a pierwszy do przysługi«. I nie chciał należytości swej przyjąć. Musiałem zawstydzony zachować pieniądze przy sobie i dopiero w lat kilka się uiściłem, po przekonaniu go, że już kredytorów nie mam. Gdyby w obecnym czasie znalazł się kto w mojem ówczesnem położeniu, nie napotkałby takiej wyrozumiałości; zaraz nastąpiłaby rewizya hipoteki i od najszczerszych przyjaciół pierwszeby otrzymał dowody nieufności, a nawet i pozwy. Cywilizujemy się i nadymamy wyższością nad naszymi przodkami, a jakże dalecy od nich jesteśmy w szlachetności, w godności, w gotowości do posług i ofiar!

Trzeci dom obywatelski do dwóch wyżej wspomnianych godzien być doliczon ze wszystkich wzglę[…], dom katolicki w Nieędrzwicy wielkiej, Maryanny z [...]-wnackich Dłuskiej, podkomorzycowej lubelskiej, wdow[…]

Józefie Dłuskim, bardzo urodziwym, dobrze wychowanym i powszechnie kochanym, który mundur gwardyi koronnej zamienił na szatę obywatelską. Maryanna Dłuska, w młodym wieku wdowa, bo ledwie po pięciu latach szczęśliwego pożycia, matka trojga dzieci, przystojna, wykształconej duszy i umysłu, znakomitego majątku dożywotniczka, miała licznych konkurentów; nie powtórzyła jednak ślubów, lecz cała poświęciła się obowiązkom matki, obywatelki i gospodyni. Oświecona, pobożna, ludzka, dobroczynna pani dla sług, a szczególniej dla włościan prawdziwie macierzyńskiego serca, hojna dla świątyń pańskich i klasztorów — z rzadkiej przystojności, powagi, ogłady, rządliwości, umiała dom swój uczynić wzorowym; dzieci wychowała wybornie, bo w nie przelała wszystkie chrześciańskie cnoty, przez które w nich, a szczególniej w najstarszym Tomaszu, odżyła; pisałem moją ręką nekrologi i dwóch Goltzówien i Maryanny Dłuskiej i nieodżałowanego jej syna Tomasza. Ktoby chciał odnowić w sobie pamięć tych cnót i wzorów, niech je wyszuka w pismach publicznych i przeczyta.

Otóż to jest smutny los długiej starości, przeżyć i opłakać prawie tych wszystkich, których się kochało, wielbiło i czciło. Związany z tymi trzema domami od rodziców moich i od najmłodszego wieku mego najściślejszą przyjaźnią, nie tylko gość częsty, ale prawie mieszkaniec Wronowa, Stryjny i Niędrzwicy, jeżeli co w sobie dobrego zachowałem, im to winienem i z wdzięcznością to wyznaję. Żywe wzory skuteczniej przemawiają, niż najwymowniejszem skreślone piórem. Kto te ykuły o tych trzech domach czytać będzie, jeżeli nie ebaczy gadatliwości starca, niech przebaczy wdzięości.

Mówiąc o domach i osobach, które żyły w województwie lubelskiem za moich lat młodszych, wspomnę jeszcze niektóre zdarzenia w moim własnym rodzie zaszłe, na które patrzałem, których byłem świadkiem, lub o których od ludzi starszych słyszałem; opowiem zaś je tutaj szczególnie, aby wnukom moim dać wyobrażenie o obyczajach dawniejszych czasów i tego, w którym żyłem.

Wiadomo jest wszystkim czytającym i rozważającym dzieje narodowe, iż stan szlachecki, zabytek dawnego rycerstwa w Polsce, wzniósł się na zasadach najobszerniejszej w łonie swojem demokracyi; przecież i względem swoich członków i względem swoich stanów nie był czem innem, tylko najzupełniejszą ze wszystkiemi jej nadużyciami pychą, dumą, przewagą, nie z zasług, lecz z majątkowej terytoryalnej własności, przemocą czyli arystokracyą pod tem zwodniczem godłem: »Szlachcic na zagrodzie, równy wojewodzie«. Wolność i przewaga zostały przy panach, przy drobnej i ubogiej szlachcie służalstwo, czołganie się i podłość. Arystokracya ta, panów możnych majątkiem okryta, powierzchownemi znamionami, nie ich lecz ich przodków zasługą, ciągnęła się od czasu elekcyi królów nieprzerwanym łańcuchem od stopni tronu przez województwa i powiaty, aż do szlachcica posiadającego w wiosce więcej zagonów, aniżeli jego współbrat. Mimo więc wyż wspomnianego godła, była w istocie ustanowiona prawdziwa hierarchia arystokratyczna wśród demokracyi. I tak podłość, żebractwo zaczynało się od zagonowego szlachcica, a postępowało w górę, aż do stopni tronu. Miała więc Polska arystokratów krajowych r
chrzących krajem, miały województwa przewodzących
województwach i powiatach, miały parafie możniej:

szlachtę panującą nad wioskami, miały wsi arystokratów górujących nad zagonową szlachtą; zagonowej szlachcie nic nie zostało, jak głowę wyżej nosić nad ekonomami, pisarzami i wszelkiego rodzaju służącymi. Było wstydem pomiędzy ubogą i nieosiadłą szlachtą zarabiać uczciwie szalą i łokciem, nie było hańby służyć i żebrać. Każdy więc wspomnianego rodzaju w swoim zakresie możnowładca, miał monetę, którą płacił i nagradzał podłość i służalstwo w słowach: »Panie bracie, jak się waść masz?« — wtedy szlachcic, dumnie patrząc na kupców i rzemieślników, nawet na uczonych, którzy się klejnotem szlachectwa nie zaszczycali, nie ceniąc w ciemnocie ani nauk ani uczciwego zarobku, dającego niepodległość, bez której niema wolności, nadymał się jedynie idealnem braterstwem z panami, gdy niestety! był tylko ich służalcem. Panowie królów, wdzięcznych za swój wybór, lub słabych następców Stefana Batorego, jedni natręctwem, drudzy żebractwem, inni zuchwalstwem lub groźbami obdzierali z najbogatszych dzierżaw, starostw, biskupstw, opactw, urzędów znaczących i intratnych, możnowładcom wojewódzkim zostawując jak łup drobniejsze starostwa, wójtowstwa, sołtysostwa, probostwa. Możnowładcy wojewódzcy ujmowali parafialną i wioskową szlachtę darami ze stada, strojami dla nich i żon, brali synów uboższych na służących do swoich dzieci i, wychowując ich przez daną sposobność nauki, otwierali im możność przyjścia do majątku, a razem przysposabiali ich wcześnie na przyjaciół i sług. W panach przy tronie pycha i duma tak przytłumiła pod obydwoma Augustami szelkie uczucia szlachetne, tak wygluzowała z ich pamięci to wszystko, czem ich przodkowie zarobili sobie na ıaczenie i sławę, którą im do upiastowania przekazali,

że naukę i oświecenie sądzili niegodnem swego urodzenia. Jeden też z nich odezwał się do Jezuity, namawiającego, aby syna oddał do szkół: »Mój syn obejdzie się bez nauki; gdy będzie potrzebował rozumu, dość będzie bogaty, aby go sobie potrafił kupić«. Stąd też były czasy, w których panowie ledwie podpisać się, a panie wielkie ledwie czytać umiały. Bogactwo było wszystkiem. Oświecone i utalentowane ubóstwo nauką nawet nie mogło się uchronić od poniżenia, dopóki Stanisław August i Konarski nie obudzili w szlachcie polskiej szlachetnego ich przodków do nauki popędu — Konarski przez pisma, przestrogi i otwarcie konwiktów, Stanisław August przez wyszukiwanie między szlachtą talentów, zdolności, przez obdarzanie starostwami, wynoszenie na znakomite urzędy ludzi oświeconych i zdatnych. Sam razu jednego, już wśród wzrastającego światła, byłem świadkiem głosu zastarzałego szlacheckiej dumy przeciw ubogiej nauce i zdolnościom. Głos ten dał się słyszeć wśród żywej rozprawy między jednym z weteranów możnej wojewódzkiej rodziny, stolnikiem Wybranowskim, a podkomorzym Dłuskim. Wspominając to zajście, będzie tu miejsce o tymże podkomorzym Dłuskim, jako o jednym z najznakomitszych rozumów szlachty, kilka słów nadmienić. Tomasz Dłuski urodził się w bardzo ubogim stanie, w drobnej wsi Długie nazwanej, niedaleko Lublina położonej. Przez niemajętnych rodziców oddany do szkół jezuickich w Lublinie, ubóstwem widział się zmuszonym do najniższych posług. Zaczął od kalafaktora [1], a pilnością i nauką

[1] Kalafaktor, biedny żak, który w piecach palił i do inny niskich posług był używany.

wyszedł na dyrektora. Wybranowski, chorąży lubelski, użył go do prowadzenia synów. Wszedł potem do palestry trybunalskiej, dobrze uczony w prawach i wybornie mówiący i piszący językiem łacińskim. Wkrótce też tak się wsławił, że książę August Czartoryski, wojewoda ruski, użył go do swoich obszernych interesów. Stąd przyszły wioski dożywociem, stąd majątek, stąd urzędy wojewódzkie: łowczego i t. d. Dłuski kompromisami i rozmaitymi najzawilszych spraw przyjacielskimi układami tak się wsławił, że nie tylko w województwie swojem, lecz w kraju w rzeczach prawnych stał się wyrocznią. Gdy panowie spiknęli się z sobą na rozdarcie i rozerwanie między siebie ordynacyi książąt Ostrogskich, do osiągnienia której według instytucyi pierwszego ordynata zakon kawalerów maltańskich ze swojemi prawami przychodził, Czartoryscy do komisyi, mającej te prawa rozpoznać i rozpoznanie ich przed sejm przynieść, użyli Dłuskiego. Dłuski przeważył w komisyi za oddaleniem kawalerów maltańskich, za podziałem dóbr przez żyjącego ordynata Sanguszkę między familię, kładąc obowiązek na zbogaconych tąż ordynacyą utrzymania regimentu piechoty dla rzeczypospolitej pod imieniem Ostrogskich i płacenia corocznie pewnej sumy na utworzenie komandoryi polskiej maltańskiej. Ale żeby na to otrzymać zezwolenie i sankcyę od sejmu, potrzeba było znacznymi odłomkami tej sukcesyi ująć panów nieskrewnionych z Ostrogskimi i nawet wielu z możniejszej szlachty. Wszystkiemu temu wydołał ogrom dóbr ordynacyi. Panowie dostali klucze i miasta. Szlachcie posłującej zatkano usta wioskami. Wszystko to ułożył, wszystkiego dokonał Dłuski. Stąd wzrost dalszej fortuny, od Czartoryskich, Sanguszków, Lubomirskich i t. d. Pamiętam, że ci, co nic nie dostali,

lub co widzieli w tem krzywdę rzeczypospolitej, potępiali go, nazywając tę komisyę Łysą radą kolbuszowską, dlatego, że ta komisya zasiadała w Kolbuszowie i że Dłuski był łysy. Gdy Stanisław August wstąpił na tron, wiadomo, jaki na niego wywierali wpływ obaj stryjowie. Gdy więc szukał na sekretarza do dyplomacyi człowieka, którýby miał przyzwoitą naukę i pisał doskonale językiem łacińskim, który podówczas był językiem dyplomatycznym, Czartoryscy zalecili królowi Dłuskiego, który ten urząd ze znakomitą zdolnością wypełniał, póki nie weszła na miejsce łaciny francuszczyzna. Król za jego zasługi wyniósł go na podkomorstwo lubelskie i obdarzył. Dłuski przy tak nagromadzonych sposobach był w stanie dać synom swoim najlepsze w konwikcie Pijarów wychowanie, nabyć dla nich dwa starostwa, łukowskie i zwolińskie, kupić pałac w Warszawie i nabyciem kilku obszernych wsi w swojem województwie znacznie majątek rozprzestrzenić. Spodziewał się on senatoryi i byłby zasiadł w krześle, gdyby poróżnienie się Czartoryskich z królem nie poróżniło także Dłuskiego z dworem, urząd więc podkomorski do śmierci sprawował z powagą i z przewagą; już w bardzo sędziwym wieku posłował z drugiego wyboru na sejmie 1788., trzymał się strony patryotycznej, to jest anti-królewskiej, i taką miał powagę między posłami, że go dziekanem sejmu nazywano. Po ustanowieniu konstytucyi 3go maja, bądź przez obrazę, że do jej układania użytym nie był, bądź z przesądnej miłości rządu republikańskiego, zmienionego na monarchiczny, odstrychnął się od strony patryotycznej, i nim wszedł do konfederacyi targowickiej, na sejmikach lubelskich relacyjnych, na których ze strony króla i patryotów zabiegano, aby głos województwa dziękczynieniem królowi

potwierdził akt konstytucyi 3go maja, stawał sam jeden i walczył ze swymi kolegami, chcąc odwieść od tego kroku województwa. Kolega jego w sejmie Wybranowski, stolnik lubelski, trzymał z patryotycznymi posłami; w towarzystwie wszczęła się między nimi rozprawa o opinię. Wybranowski, już osiwiały, młodszy był wiekiem i urzędem od Dłuskiego. Gdy ten z pewnym rodzajem wyższości popierał swoje zdanie, rzekł z żywością do Dłuskiego, chcąc go upokorzyć: »Panie podkomorzy, zapomniałeś, że byłeś u mnie dyrektorem«, na to starszy starzec odpowiedział: »Jak widzę, waszmość i teraz potrzebujesz dyrektora«. Wybranowski połknął przymówkę, nie posuwał dalej wyrzutów, bo było w obyczajach ówczesnych uszanowanie dla starszych wiekiem i urzędem.

Dłuski był z liczby tych, którzy się swego urodzenia i przeszłego ubóstwa nie wstydzili, godność z siebie samych, nie ze zmiennych darów fortuny ciągnąc; szedł za wzorem prymasa Ostrowskiego, który z najdrobniejszego szlachcica wzniósłszy się na stolicę arcybiskupa i prymasa, głośno wyznawał, że w dziecinnym wieku pasał cielęta u księży Maryanów w Skurczu; również w tem naśladował Szaniawskiego, biskupa krakowskiego i księcia siewierskiego, który zawsze i na publicznych ucztach stawiał przed sobą okopciały garnek i pijał z niego, bo z nim będąc pauprem, do bursy ojców Jezuitów po pokarm chodził.

W jedwództwie lubelskiem wszyscy prawie możnowładcy polscy starali się mieć dobra, a w mieście Lublinie pałace i dwory dla spraw i przewagi w trybunale koronnym, który tam półroczną kadencyę wysiadywał. Mieli i możnowładcy wojewódzcy swoje dworki. Od najdawniejszych czasów tylko Firlejowie, Tarłowie, Lu-

bomirscy, Zamojscy byli wojewodami, kasztelanami, starostami lubelskimi. Dla szlachcica najwyższym stopniem było podkomorstwo. Podkomorzy nosił tytuł *princeps nobilitatis* [1]). Za mojej pamięci był wojewodą lubelskim książę Antoni Lubomirski, po Tarłach pan na Opolu, kasztelanem Tarło, starostą po Poniatowskim kasztelanie krakowskim zięć jego Jan Zamojski, wojewoda podolski, który to starostwo otrzymał w posagu i odstąpił je także w posagu zięciowi swemu Wincentemu Potockiemu, podkomorzemu koronnemu, panu na Brodach. Ten rozwiódłszy się z żoną, oddał je; ona zaś wraz z osobą swoją przyniosła je w wianie Michałowi Mniszchowi, marszałkowi Wkoronnemu, którego wjazd wyżej opisałem, i ten był ostatnim starostą lubelskim. Starostą urzędowskim był Kajetan Potocki, syn Eustachego Potockiego, generała artyleryi, pana na Radzyniu i Kurowie. Wprawdzie Stanisław August przeciął ten nepotyzm [2]) pański, mianując wojewodą lubelskim przed Lubomirskim Twardowskiego, a po postąpieniu Lubomirskiego na kasztelanię krakowską wezwawszy Kajetana Hryniewieckiego, obydwóch ze szlachty, równie jak na kasztelanię wynosząc Szeptyckiego; przecież po jego śmierci przeszła kasztelania do Piotra Potockiego, starosty babimostskiego, i on był ostatnim kasztelanem lubelskim, jak Hryniewiecki ostatnim wojewodą.

Za mojej pamięci możniejsze rodziny wojewódzkie były następujące: 1) Stoińskich herbu Janina. 2) Wybranowskich herbu Poraj. 3) Suchodolskich herbu Janina. 4) Kiełczewskich-Skarbków herbu Habdank. 5) Trzcińskich

---

[1]) Pierwszy śród szlachty.

[2]) Niesłuszne popieranie.

herbu Jastrzębiec. Gałęzowskich, Głuskich, Węgleńskich, Bielskich, którzy acz znaczny posiadali majątek w Lubelskiem, nie mieszkali w nim, lecz znaczenie swoje w województwie ruskiem rozpościerali. Inne familie, licznie z innych województw przybyłe, długo musiały ulegać scartabellatowi [1]), i do urzędów wojewódzkich trudno im było docisnąć się. Rodzina Stoińskich była niezgodna i kłótliwa i zostawiła po sobie gorszący przykład zawziętej nienawisci między rodzonymi braćmi. Rodzina Wybranowskich była spokojna, poważna, lecz dumna; Suchodolskich liczna, zgodna między sobą, lecz mniej spokojna i do awantur pochopna. Kiełczewskich-Skarbków, na dwie linie rozrodzona, w jednej spokojna, kochająca się, nie mieszająca się do sejmików, w młodości rycerstwu, w późniejszym wieku domowemu życiu i namiętnemu upodobaniu w polowaniu oddana; w drugiej linii nienawiścią tak jak Stoińscy, i procesami między rodzonymi braćmi wsławiona. Familia Trzcińskich najmniej majątkowo można, lecz najliczniejsza, a szablą, kielichami i nawet pięścią groźna i przeważna, postaciami Herkulesowemi straszna, za mojej pamięci najwięcej i najczynniej burmistrzowała w województwie. Kto też miał za sobą Trzcińskich, mógł być pewnym przewagi nad innymi. Z tej przyczyny, gdy Stanisław August chciał przeszkodzić intrygom i przewadze księcia Nestora Sapiehy i stawił przeciw niemu Michała Granowskiego, ten zaraz do siebie wyrabianymi urzędami pociągnął rodzinę Trzcińskich. Nie znam szczegółowych dziejów domowego życia tych rodzin, a potwarzy lub obmowy pisać nie

---

[1]) Skartabel = szlachcic nowy, który szlachectwo otrzymał.

chcę. Były zapewne pomiędzy niemi z czystości obyczajów znane, lecz ileż było i powszechniej takich, co mimo pozornej surowości, pobożności aż do fanatyzmu posuniętej, groźnej nad dziećmi straży, w łonie swojem żywiły najbezecniejszą rozpustę i rozpasanie żądz. Tu powiem tylko o obyczajach jednej familii Kiełczewskich, rodu mojego z matki, jako urodzony syn Kiełczewskiej chorążanki lubelskiej; powiem jako naoczny w dzieciństwie i w młodości mojej świadek, dla przestrogi i nauki moich wnuków.

Ród Kiełczewskich wywodzi pochodzenie z czasów jeszcze Piastowskich, od jednego z potomków owego Skarbka-Habdank, który przyrzucił pierścień swój jako złoto do złota chcącemu go przekupić cesarzowi niemieckiemu. Ten potomek Skarbka osiadł w Lubelskiem, we wsi Kiełczewicach, obszernej i żyznej, położonej nad rzeką Bystrzycą, o milę od jej źródła płynącą pięknemi błoniami ku Lublinowi wśród wyniosłych wzgórz. Późny potomek owego Skarbka już się nazywający od wsi swojej dziedzicznej Kiełczewskim, poróżniwszy się z plebanem wiłkołaskim o dziesięcinę wytyczną, niepohamowany w gniewie i w zemście, idąc w parafialnym kościele za procesyą, plebana celebrującego i niosącego w ręku monstrancyę, uderzył w głowę czekanem i skrwawił, przez co popadł w klątwę kościelną. Usunąwszy się przed zemstą prawa, udał się do Rzymu po rozgrzeszenie, ofiarując na zmazanie zbrodni wystawić kościół pod imieniem Najświętszej Panny, ufundować oddzielne probostwo jako filię parafii wiłkołaskiej i przyzwoitymi dochodami opatrzyć; jakoż pozyskał rozgrzeszenie, dopełnił pokuty i zobowiązań, wzniósł kościółek, oddzielił znaczną część gruntów z niwą i 15 osadnikami do probostwa, przypu-

ścił proboszcza do propinacyi, pastwisk, wrębu i t. d. Odtąd wrosło przekonanie w lud, i to przekonanie wraz z całem zdarzeniem aż do moich czasów tradycyą z ust do ust podało, że chociaż Ojciec Święty uwolnił winowajcę, Bóg przeklął ród Skarbbów Kiełczewskich, i że mu się wieść nie będzie i że w województwie lubelskiem na żebrzących potomkach skończy się i wygaśnie. Niestety, wszystko to spełniło się w moich oczach. Portret tego winowajcy fundatora w srebrne ramy oprawny, zawieszony u sklepień kościoła kiełczewickiego, dotąd istnieje, a za mojej młodości starzy wieśniacy wskazując go palcem mawiali, że to ten, co księdza czekanem uderzył, i powtarzali, nie wiem czy teraz powtarzają, tradycyę od ojców sobie podaną. Rodzina ta rosła i upadała w następującym sposobie.

Jeden z potomków owego winowajcy w 17. wieku, Remigian Kiełczewski, podsędek ziemski lubelski, sąsiadował i żył w ścisłej przyjaźni ze Zbigniewem Gorajskim, kasztelanem chełmskim, dziedzicem obszernych dóbr, jakoto Goraja, Biłgoraja, Strzyżowic, Bystrzycy, Osmolic, Prawiednik; prócz tego od Kiełczewic aż do Zemborzyc, starostwa lubelskiego, posiadał on Nię̨drzwicę i wiele innych wiosek. Wiadomo, iż był głową aryanów po województwie rozsianych. Gdy za Jana Kazimierza konstytucya, nie pomnę z którego roku, rozkazała aryanom wyrzec się swych błędów pod konfiskatą dóbr lub wygnaniem z kraju, Zbigniew Gorajski przedsięwziął wyprzedać się i z Polski wynieść za granicę. Niędrzwicę nabyli Bielscy, Biłgoraj i Goraj nie wiem, czy wprzódy czy później ordynacya zamojska; na dobra nad Bystrzycą szukał kupca, pieniądze podówczas były rzadkie, chciał więc znaleść człowieka poczciwego, któregoby mógł

słowu i kredytowi zawierzyć; uczynił przeto Kiełczewskiemu jako przyjacielowi propozycyę, aby od niego ryczałtem te dobra nabył; a gdy ten mu oświadczył, że nie jest wstanie, Gorajski mu odpowiedział: »Ja ci ufam że mi dotrzymasz słowa; podzielę ci dług na części i lata, nie opuszczaj sposobności wzmożenia się, masz kilku synów, te dobra więcej warte, ja ci je prawie za połowę ceny sprzedam; gospodaruj, przenicę spławiaj do Gdańska, co weźmiesz za nią, niech to będzie mojem, póki się nie skwitujemy«. Jakoż ustąpił mu pięć dobrych wsi za 100.000 złotych polskich, które ewalując[1]) według Czackiego na ówczesną stopę wartości pieniędzy, na 8 złotych za złoty, otrzymał 800.000 złotych; dziś te dobra z ubiegiem czasu, z ulepszeniem gospodarstwa, z powiększeniem się kursującego metalu, prawie trzy razy tyle warte.

Ten Remigian Kiełczewski powiększył jeszcze swoje majętności nabyciem wsi ogromnej Popkowice pod Urzędowem. Po śmierci jego majątek jego przypadł na dział pięciu synów i córki wydanej za Stoińskiego, lecz przyjaciele, dzielący niezgodnych i zazdrosnych braci, nie mogli z nimi trafić do ładu i końca. Żaden nie chciał przyjąć spłaty, każdy żądał równego działu ziemi; musieli więc krajać wioski, jedne obcinać, ubożyć dla dodatku drugim; bez względu więc na położenie, na rodzaj lepszości lub podłości ziemi, na obfitość lub niedostatek lasów, więcej zwyczajem i mniemaniem owego wieku bacząc na intraty w gotowiźnie niż na dochód gruntu, który wówczas lichą miał wartość, szukając równości,

---

[1]) Obliczając.

właśnie ten dział zrobili najnierówniejszym, pokaleczyli odrywkami Strzyżowice dla Bystrzycy i Piotrowic, Piotrowice dla Osmolic, Osmolice dla Prawiednik, czem otworzyli źródło wiecznych kłótni, nienawiści, najazdów, póki dekreta sądowe końca im nie położyły. Stąd to pozostała pamiątka tego nierozsądnego działu, że nie mogąc nim zmienić parafii kościelnych, nie jedna z tych wsi do kilku kościołów dziesięciny opłaca. Ale najtrudniej było tych braci ugodzić, który ma z nich posiadać zamek czyli fortecę, która jedna tylko w tych dobrach była, wzniesiona jeszcze w 14. wieku przez niejakich Zarczyńskich w literę Z przeciwko Tatarom, z basztami, wieżami, podziemnemi kazamatami, strzelnicami, którą rozprzestrzenili czyli odnowili Gorajscy za panowania Zygmunta III, jak wydają umieszczone na sklepieniach orły polskie z koroną i ze snopem kłosów wazowskich na piersiach. Ten więc zamek musiano podzielić na pół między dwóch najniezgodniejszych braci najstarszych, Stanisława i Piotra. Obydwom kłótnikom wspólny dach, wspólne wejście, wspólne schody zostawiono, równie jak do wspólnego używania przeznaczono ogrody, place, budynki, błonia i rzeki. Kufry papierów zostawione następcom, do których te dobra przeszły, świadczą o gorszących scenach najazdów, gwałtów, zaborów, których się ci bracia dopuszczali do tego stopnia, że o mało nie przyszło do bratobójstwa. Na środku dziedzińca tego zamku rosła ogromna lipa, pod którą umieszczona była ławka do siedzenia; brat jeden zabraniał drugiemu bratu siadać pod nią i używać cienia; gdy który samotnie siadł pod nią, drugi z okna zamku drobnym śrutem strzelał do niego; stąd niesłychane i oburzające i śmieszne procesa, dekreta ziemskie, grodzkie, pod karami nakazujące im zgodę

braterską i zabraniające używać chłodu i cienia wspólnej lipy jednemu bez drugiego. Nakoniec starszy brat wygryzł młodszego, ten trzeciemu i możniejszemu odstąpił swojej schedy, a tego znowu sukcesorowie sprzedali wieś Strzyżowice Trzcińskiemu podczaszemu. sławnemu pieniaczowi, aby dokuczał sukcesorom Stanisława. Tak to nienawiść odradzała się w tej linii. Ciąg posiadania Strzyżowic przez Trzcińskich, powiększył jednym kufrem więcej papiery pieniacze. Jakby za zasłużoną karę, że słuszną bardzo i dobrze wychowaną wdowę po Kiełczewskim z domu Zarankównę, starościankę żmudzką, tenże Trzciński pienią [1]) prześladował i z zamku wygnał, syn jego Ignacy, za moich czasów zadłużywszy się i zmarnotrawiwszy majątek, z rozpaczy pistoletem życie sobie odebrał w tymsamym przysionku, z którego tyle kłótliwych procesów wyszło. Strona zamku przez Kiełczewskich, posiadanego przypadkiem zgorzała, zadłużona wdowa i jej synowie ani jej zreperować ani się przy Bystrzycy utrzymać nie mogli. Bystrzyca z Piotrowicami poszła na exdywizyą [2]) wierzycieli. Jeden z Kiełczewskich, z Zarankówny urodzony, zaczął wykupywać kredytorów, a nie mogąc tego w zupełności dokazać, sprzedał majątek ten w roku 1780. ojcu mojemu, a za wzięte pieniądze kupiwszy część w Potoku tamże osiadł. Syn jego Jan, młodzieniec bystrego umysłu i dobrze w szkołach wykształcony, znalazł protektora przez związek krwi z Chodkiewiczami u księcia Alexandra Lubomirskiego, który podczas powstania Kościuszki, wziął go z sobą do Petersburga.

---

[1]) Procesami.
[2]) Podział między wierzycieli.

Tam za panowania Pawła młodzieniec, nieostrożnie odezwawszy się w towarzystwie z gorącym patryotyzmem, w nocy z domu księcia porwany i w zamkniętej kibitce wieziony, z przestrachu Syberyi dostał obłąkania zmysłów. Dniem i nocą pędzono z nim do Opola; gdy wysiadł przed pałacem, odetchnął z trwogi, lecz już w zupełności zdrowych zmysłów nie odzyskał; pędził więc życie włóczęskie między rodziną, wystawując się ciągle na pośmiewisko, nakoniec dobrawszy sobie socyusza, pielgrzymował od domu do domu krewnych i znajomych. Odwiedzał mnie czasem, lecz nie mogłem go namówić na stałe mieszkanie, które mu ofiarowałem; tułał się więc, wystawiał na szyderstwo i gdzieś nakoniec w nędzy umarł. Familia stryjów jego, posiadająca wioski w Mazowieckiem, tam się przeniosła, jeden z jej synów nie źle uczony w szkołach, przeszedłszy przez biuro administracyjne i przez służbę wojskową, raniony i kaleka puścił się na podobną jak brat stryjeczny tułaczkę, i gdzieś także w karczmie u żyda umarł; a tak spełniło się przepowiedzenie na tej linii Remigiana Kiełczewskiego za owo uderzenie kapłana czekanem w głowę. Nie dość na tem, Strzyżowice, owe gniazdo niezgody braterskiej, jakby przeznaczone być wiecznie wstydną otchłanią pieniactwa, przechodząc z rąk do rąk obcych, w każdym dziedzicu nabywały coraz większego kłótnika i pieniacza.

Ojciec mój, nabywszy Bystrzycę z połową zgorzałego zamku, wprawdzie to unikaniem, to powagą i przewagą znaczenia, zatamował nieco gorszące sceny, lecz często przykrości z pomieszanego wspólnictwa w sądztwie nie uniknął. Kołysał się nadzieją, że kiedyś będzie Strzyżowice i zamek ten zamieszka, lecz mimo rozmaitych projektów zamiany i kupna, wykonania ich

nie mógł od kłótliwych sąsiadów uzyskać. Gdy objąłem działem po śmierci ojca Bystrzycę, burza dach z części mojej zamku zrzuciła i zgruchotała. W niebytności mojej nierozsądny ekonom potrzebując cegieł, wydobył je z pod fundamentów pięknej i wyniosłej wieży kwadratowej, która te ruiny mogące być dźwignionemi zdobiła. Wieża runęła i dotąd ogromny kopiec gruzów i porysowane od wstrząśnienia ściany zamku świadczą o jej upadku. Przez cały czas mego dziedziczenia nie szczędziłem starań, aby wyjść z uciążliwego wspólnictwa, a ileż razy podczas jego trwania, wspomniałem sobie Saryusza[1]), który rzekł do litującego się nad jego ranami Władysława Łokietka pod Połowcami: »To mniej boli, niż zły sąsiad«; ileż razy przypomniałem sobie ów wiersz Krasickiego:

Szczęśliwy, kto z równymi o granicę siedzi;
Zły mór, ogień, powietrze, gorsi źli sąsiedzi.

Po samobójstwie Trzcińskiego, z pozostałą wdową, dobrą i spokojną kobietą, ożenił się najsławniejszy w województwie lubelskiem pieniacz, który mi natchnął obraz złego sąsiada, nakreślony w Ziemiaństwie. Jedna z jego córek, zaślubiona byłemu kapitanowi wojsk polskich Klamborowskiemu, wzięła w posagu Strzyżowice. Mąż jej, acz troskliwy i pilny stróż swojej własności, uczuł całą niedogodność tego wspólnictwa i pierwszy podał projekt zamiany i podziału gruntów i placów. Wśród samej do skutku przychodzącej umowy śmierć niespodziewanie go zaskoczyła. Wdowa po nim, poszedłszy za mąż za jego synowca, słusznego i umiejącego cenić

---

[1]) Waleczny rycerz.

spokojność i przyjemność sąsiedztwa człowieka, za jego wpływem przychyliła się do zawarcia ze mną i z synem moim wiecznej zamiennej umowy, a tak wsie Bystrzyca i Strzyżowice, każda w swoim nieprzerwanym obrębie oddzielonemi od sobie zostały, źródło wiekowych kłótni znikło, a przyjazna spokojność i przyjemność sąsiedzka ustaliły się.

O ile, jak wyż opisałem, starsza linia domu Kiełczewskich, idąca od Stanisława, wsławiła się nienawistnemi rozterkami między bracią, o tyle potomkowie Alexandra wydali z siebie wzór zgody, szlachetności i miłości braterskiej. Alexander Kiełczewski z działu r. 1664. dziedzic na Kiełczewicach, znacznie powiększył majątek przez ożenienie i nabycie Prawiednik, Żabiejwoli od brata Teodora. Miał syna jedynaka Tomasza, który pojął za żonę Olszewską, prymasa Olszewskiego rodzoną synowicę; powiększył fortunę nabyciem Gałęzowa tak, że po jego śmierci każdemu z pięciu synów, których po sobie zostawił, przypadła dobra wieś na schedę. Trzech ich służyło wojskowo, dwóch zostało domatorami: Michał dla pomieszanego w pewnych przerwach umysłu, Jerzy, który był ojcem mojej matki, dla słabego i paraliżem naruszonego zdrowia, Alexander najstarszy, który w dziale otrzymał Gałęzów, służył pod znakami króla Leszczyńskiego, długo przy nim bawił w Lunewilu[1]), tam się wykształcił, nabył języków zagranicznych, zasmakował w naukach, zmienił suknię polską na francuską i, wróciwszy do Polski, został podczaszym urzę-

---

[1]) Miasto we franc. depart. Meurthe, niegdyś rezydencya la Stan. Leszczyńskiego.

dowskim, spokojne celebatorskie[1]) życie wśród ksiąg łacińskich i francuskich pędził, nie mieszając się do spraw politycznych. Stąd szlachta kontuszowa, że nie szablę, ale szpadę, nie czuprynę i głowę goloną, lecz perukę nosił, szydziła z niego i naśmiewała się między sobą. Bracia go szanowali jak ojca, na narady familijne zjeżdżali się do niego i ze czcią ręce jego całowali. Ci bracia, sprzecznie z powyższą linią Kiełczewskich, tak się z sobą kochali, że wszystko między nimi było wspólne i mimo działu pozostali prawie nie dzielni. Gdy się który oddalał na czas dłuższy do innej prowincyi, schedę swoją powierzał bratu, a rachunku od niego z dochodów nie poszukiwał. Wszyscy lubili namiętnie myślistwo i wszyscy je utrzymywali, szczególniej Floryan, o którego życiu niżej powiem. Józef, starosta kahorlicki, ożenił się na Wołyniu z Giżycką i objął tam po niej majątek wieś Piórkowice, zostawiwszy w zarząd Alexandrowi schedę swoją Wolę Gałęzowską. Floryan mieszkał w Prawiednikach, Michał w górnych Kiełczewicach, Jerzy ojciec mojej matki w dolnych. W młodości mojej widziałem tych już pobielałych starców, jak byli z wzajemnem dla siebie uszanowaniem: siwy starzec białego w ręce całował; przypominam sobie ich mundury, dawnej komputowej[2]) kawaleryi polskiej. Józef i Floryan nosili żupany sukienne karmazynowe, kontusze granatowe z galonami srebrnymi i haftami. Na kontuszu zamiast pasa; taśma srebrem haftowana, z klamrą srebrną i orłem złotym,

[1]) Bezżenne.

[2]) Komputowe wojsko znaczyło u nas wojsko stałe, utrzymywane ze skarbu rzeczyposp.

pendent[1]), przy nim szabla z pochwą blachmalową[2]), nabijaną srebrem, przez barki ładownica ze srebrnemi blachami, czapka pikowana karmazynowa z kitą. Michał, który na górnych Kiełczewicach siedział, miał młodą i piękną żonę; nie mogła się ona przywiązać do półwaryata i nie lubiła go; on jeden tym braciom spokojnym wyprawił dwie sceny, które z ust mego ojca opowiadane słyszałem. Będąc on bezdzietnym, zawsze myślał, że bracia czyhają na sukcesyę po nim; zaprosił raz braci na polowanie na niedźwiedzia, o którego legowisku w lesie donieśli mu gajowi; zjechali więc wszyscy ze swojemi psiarniami, a szczególniej Floryan, który niezmiernie liczną trzymał. Gdy naobjec hanego niedźwiedzia puszczono psy, że niedźwiedź był nie z rodzaju wielkich, lecz z tych, które bartnikami nazywają, zgraja psów porwała go zaraz i przydusiła. Strzelcy i dojeżdżacze nadbiegli i, smyczami związawszy, otrąbili się na panów; gdy ci nadjechali, wszczęło się pytanie, czyli go zabić i kto ma strzelać, czyli też do domu związanego zawieść i tam na nim młode psy wprawiać. Michał jak półwaryat siadł na niego, bracia odezwali się: »Jaki z waści śmiałek, żeś przysiadł związanego niedźwiedzia, ale każ go rozwiązać i pojedź na nim, to dopiero z waści będzie gracz«. »Albo rozumiecie, odpowiedział, »że tego nie dokażę? ja nie taki tchórz jak waście«, i siedząc na niedźwiedziu, a rękami obiema chwyciwszy się uszów, kazał go rozwiązać«. Ten, uczuwszy się wolnym, zerwał

---

[1]) Pas od szpady lub szabli.

[2]) Blachmal, gatunek roboty demeszkowanej, pokładanej aszkami srebrnemi albo złotemi; blachmalowy, blachmalem ›meszkowany.

się nagle i ze swoim ciężarem na grzbiecie uciekać zaczął; strzelać do niego nie można było. Próżno bracia wołali na Michała: »Zeskocz waść z niego!«, ten z obawy, aby go niedźwiedź nie pożarł, trzymał się silnie rękami uszów, a kolanami grzbietu. Niedźwiedź uciekał przez największe gąszcze, wśród kolców i gałęzi; psy szarpiąc go szarpały razem jeźdźca. Dognano ich nareszcie i tego niebezpiecznego zwierza kordelasem zabito. Dopiero spadł z niego Michał, ale napół nagi, krwią oblany, podarty i pokaleczony; płatka sukni na nim nie zostało. Gdy zawieziony do domu wyleczył się, wyrzucał braciom ich wyzwanie i chciał ich pozywać o zamiar przyśpieszenia mu zgonu, dla zagarnienia jako po bezdzietnym spadku.

Za młodości mojej w wielu miejscach, gdzie teraz wsi i pola, stały zamierzchłe lasy; niedźwiedzie, a nawet rysie od Karpat przez ogromne puszcze ordynacyi zamojskiej, rozchodziły się po lasach wioskowych właścicieli i nawet się w nich lęgły. W wielu miejscach można było widzieć przykutego do słupa żywego i żywionego niedźwiedzia, z którym się chłopięta drażniły; a ledwie nie w każdym domu leżała przed łóżkiem ogromna, czarna skóra niedźwiedzia, zabitego przez właściciela lub jego myśliwych. Niemniej można się było nasłuchać opowiadania rozmaitych wypadków i zdarzeń przy zapasach z tym zwierzem. W dzieciństwie mojem słyszałem powieść o świeżem wydarzeniu we wsi Zaraszowie, do Gałęzowa należącej, w której lesie nad gościńcem idącym z Bychawy do Turobina, niedźwiedzica z dwoma piastunami[1]), leżąca pod wykrotem[2]), obu-

[1]) Młody niedźwiadek.

[2]) Drzewo z korzeniem od wiatru wywrócone.

dzona bliskim do dzięcioła strzałem gajowego, wyskoczywszy zamordowała go. Zaledwie na jęk jego jadący z furami włościanie zdołali go z pazurów jej wydrzeć, czaszkę mu zdarła, pogryzła i w kilka godzin umarł. Zabił ją potem Floryan Kiełczewski. Na mnie samego, gdy małym będąc chłopakiem, z krótką fuzyjką ze strzelcem wybiegłem na polowanie w las, w bliskości folwarku Woli Gałęzowskiej, niedźwiedź wypadł i tak nastraszył rzucając na goniącego psa bryłami ziemi, że jednym tchem blady i drżący, zabiegłem do domu. W r. 1784. powracając z braćmi mymi i z dyrektorem z Kiełczewic z nabożeństwa, zmierzchaniem spostrzegliśmy ogromnego niedźwiedzia na niwie Gałęzowskiej, jak pod lasem czołgając się na tylnych łapach, przedniemi osmykiwał i garnął do pyska grona hreczki. Ten niedźwiedź przez sprowadzone myśliwstwo starosty sieradzkiego z Bełżyc nie bez straty psów, których część wymordował, zabitym został. Razu jednego w lesie gałęzowskim na polowaniu napadły psy na niedźwiedzicę z dwoma piastunami. Matka uszła, jednego piastuna psy wypędziły na drzewo, ściągniono go sforą i wychowano. Widziałem go r. 1789. w Żółkiewce w domu starosty krasnostawskiego, przykutego łańcuchami na dziedzińcu. Mówiono mi i pokazywano miejsce pod Wolą Bychawską w małych krzakach, w których się bydło pasało na ścieżkach racicami wydeptanych, na których strzelec po Auguście III w Polsce pozostały i w domu Stoińskiego w Bychawie przemieszkujący, a na polowaniu zawsze noszący sztuciec, sztofem nabity, i dwururną fuzyę, wyszedłszy na zająca, spotkał niedźwiedzicę z dwoma piastunami i kolejnymi strzałami wszystko troje trupem położył. W Bobach pod Urzędowem w wiosce familii Węgleń-

skich podczas obiadu już dobrze uraczonym kielichami gościom dał znać gajowy o śpiącym niedźwiedziu w bliskim gaju pod wykrotem. Podchmieleni dobrze goście porwali się do strzelb, ale że dla wszystkich kul nie było, poułamywawszy grajcary od stemplów, na ochotę jak to bywa po pijanemu, pobiegli i kilkunastu razem wymierzonymi strzałami ubili śpiącego zwierza. Rysia jednego, polując na sarny, zabili strzelcy Floryana Kiełczewskiego i tego oglądałem; drugiego pod samym Lublinem w gaiku Dziesiąty ksiądz Lenczewski, kanonik lubelski, synowiec biskupa, wielki myśliwy, polując na zająca uchodzącego przed hałasem rysia, zabił; kiedy na małej przestrzeni wojewódzkiej taka była obfitość drapieżnego zwierza, łatwo wnieść, ile mieściły w sobie ogromne lasy lubartowskie, kockie, krasienińskie, kozłowieckie. Przerzedził się ten zwierz od czasu, jak między Janowem ordynackim a Kraśnikiem i Bychawą stanęły nowe ludne osady i gdy ciąg lasów lubelskich przerwany został.

Teraz powiem o Floryanie Kiełczewskim, dziedzicu Prawiednik, najsławniejszym myśliwym w województwie lubelskiem, a razem osobliwszym po wystąpieniu z wojska domatorze. Całe życie nic nie robił, tylko polował i z liczną czeredą myśliwską włóczył się po swoich braci i sąsiadów lasach. Wszelkiego rodzaju polowanie, na sieci, na rozjazdy, na lep, na ptaki błotne i leśne, na zwierza grubego i płochego utrzymywał. Całą ludność wsi swojej na myśliwych i strzelców przeistoczył, rozpoił. Pańszczyzny i powinności częściej używał do parkanów i do sieci, niż do roli. Nie miał też intraty tylko z propinacyi, resztę wszystko zjadała myśliwska czereda, chociaż ziemia żyzna prawie bez uprawy dopisywała nieraz urodzaje Od świtu już w lesie lub na koniu z chartami lub

strzelbą na ramieniu, gdy napotkał włościanina kopiącego i karczującego krzaki na swojem własnem polu, zabierał mu gracę i siekierę, mówiąc: »Czemu, chłopie, kopiesz krzaki? a gdzie się będzie zajączek chował«. Miał też zające, a chleba często brakowało. Cały plon zjadała i trawiła liczna hałastra myśliwska. Ktokolwiek zasłyszał o nim, prowadził do niego różnego rodzaju psy z kłamliwem zachwalaniem ich cnoty, a on przepłacał lub, gdy nie miał pieniędzy, co się często trafiało, zamieniał na krowy, woły, konie i zboże.

Jadąc do niego, co często matka moja jako ulubiona bratanka jego czyniła wraz z nami, już spuszczając się z góry żabiowolskiej ku prawiednickiemu ogromnemu stawowi, nad którym dwa młyny i hamernia się wznosiły, czuliśmy się otoczeni inną atmosferą. Już słychać było odgłos chrapliwy rozmaitego tonu trąb i trąbek, trzaski harapów, nawoływanie psów. Spotykało się tułające lub ochudzone i pod krzakami zdychające psy, widziało się licznych strzelców, włóczących się to konno z chartami, to po polach, to po łąkach i błotach z siatkami, z rozjazdami. Słyszano liczne strzały często z niebezpieczeństwem przejeżdżających. Zatrzymałżeś się przed karczmą lub wstąpiłeś do niej, znalazłeś za stołem siedzących i rozprawiających przy kwartach gorzałki w szarych sukmanowych kurtkach i rajtuzach obdartych z torbami borsuczemi, harapami, sforami strzelców, a raczej opojów, opowiadających sobie wypadki myśliwskie, taczających się lub kłócących, albo w sieni strzelających do wrót karczemnych z przestrachem żyda arendarza. Jechałżeś ulicą krótką do dworu, widziałeś, jak się na niej ciągnął ogon tej sceny, włóczący się opili strzelcy lub bez duszy leżący pod płotem. Gdyś się zbliżył do bramy i ta się

przed końmi rozwarła, przywitały cię szczekaniem, wyciem, skowyczeniem liczne zgraje psów różnego rodzaju, zacząwszy od ogromnych brytanów, chartów, aż do drobnych daxów i muców, z których jedne chwytały za chrapy konie, drugie uganiały się za pojazdem, cisnęły pod koła; niejednego koło przejechało, co trzeba było taić przed panem; ledwie bicz furmański mógł sobie otworzyć drogę i sprawić, że się pojazd dobił przed dom. Dom, czyli tak nazwany dwór, był ogromny z długą i szeroką sienią na przestrzał do sadu z kilkudziesiąt jabłoni złożonego, był wprawdzie pobity gontami, lecz starością w rzeszoto zamienionemi, przez które deszcz kapał. Przed domem obszerny ganek z ławkami do siedzenia. Do przybywających gości powszechnie gospodarz wychodził; jeżeli był w kurtce zielonej lisiej w zimie, a bez futra w lecie, i miał torbę borsuczą na sobie, znać było, że się na polowanie wybierał i nie potrzeba było długo bawić, gdyż jak z moją matką, rodzoną synowicą, nie czynił ceremonii, zostawiał ją lub odpraszał słowy: »Zabaw się tu z ekonomową, bo mi objechali zwierza« i wyjeżdżał. Sień i przed domem sztagi[1]) napełnione były rozmaitego rodzaju zabitą zwierzyną, dzikami, sarnami, zającami, równie jak ptastwem. Stały kojce z żywemi kuropatwami na przychowek, i takież z bekasami na błoniu i na bliskich łąkach.

Dom ten, wlazły w ziemię, miał po większej części wybite okna, zalepione lub nie zalepione papierem. Drzwiami, oknami cisnęły się i właziły psy, zajmując

---

[1]) Sztuki drzewa iglastego, służące za wieszadła.

krzesła, ławki, zapiecki; stąd taki fetor, takie niechlujstwo, że wchodząc trzeba było długie suknie podnosić i ostrożnie omijać niewymiecione brudy. Pierwszy więc pokój ogromny, będący razem bawialnym i jadalnym, był wspólnym z psami, a raczej był psiarnią, chociaż obszerne psiarnie, słomą nakryte, w bliskości dworu stały i do nich psy wieczorem po nakarmieniu zaganiano, lecz wiele się z nich kryło po kątach i w nocy sen spokojny przerywało wyciem i szczekaniem, któremu jak organy odpowiadały przeraźliwem głosem psiarnie. Alkierz tego pokoju równie nieszczupły, był sypialnym pokojem, a raczej zbrojownią myśliwską. Na ścianach rozwieszona wypłowiała makata turecka, na niej mnóstwo strzelb, sztućców, janczarek, rzadka dubeltówka, wszystkie dziwerowane [1]) i nabijane srebrem; były i proste szwedzkie karabiny wypróbowane i donośne. W tym alkierzu stało łóżko liche, twarde, obrukane, z poduszką skórzaną zafolowaną, koc do nakrycia się, skóra niedźwiedzia przed łóżkiem. Torby, sfory, smycze, siatki wisiały u belków lub na ścianach. Szaty w niezamkniętych kufrach obitych skórą czarną, inne na stołach. Na drugiej stronie sieni izba wielka, w niej szafa prosta, kredensowa z naczyniami cynowemi. W tej izbie chłopcy, psiarczyki lub strzelcy naprawiali sieci, dziergali siatki, przyspasabiali narzędzia myśliwskie. Obok tej druga izba z wielkim kominem i przymurkiem na kotły, w których się nawara dla psów gotowała i stosy nóżek baranich leżały przy ścianach; kuchnia zaś, w której dla pana i razem dla czeladzi myśliwskiej i rolnej gotowano, była o kilkadziesiąt

---

[1]) Demeszkowane.

kroków umieszczona w folwarku, gdzie na obszernym kominie na ogromnych żelaznych wilkach[1]), dzień i noc gorzały ogromne szczapy surowego i syczącego drzewa. Jeżeliśmy z matką kiedy przyjechali w święto lub w dzień dżdżysty, a zatem wolny od polowania, zatrzymywał nas gospodarz na obiad, a nawet na noc. Już jak ja go poznałem, był zgrzybiałym starcem i z postaci obrzydliwym; przy stole wśród jedzenia czasem z kawałkiem strawy w ustach zasypiał, a pies jego faworyt nieraz mu wyjął z ust pokarm lub zmiótł z talerza potrawę. Obudziwszy się, pytał, czy zjadł, i wierzył, gdy mu potwierdzono. Matka moja, lubiąca niezmiernie czystość i ochędóstwo, miała obrzydzenie i do jego brodatych, niechlujnych i zawsze pijanych kucharzy i do potraw i do nakrycia stołu i do tego wspólnictwa z psami, wymawiała się więc zawsze od noclegu, lecz przez uszanowanie dla stryja czasem na obiad wraz z nami zostawała. Stół prosty drewniany nakrywano grubym podgórskim od kilku tygodni niepranym i poplamionym obrusem. Talerze, wazy, misy, łyżki stawiano i kładziono cynowe, nie wyczyszczane nigdy i ledwie obmyte. Potrawy były z drobiu, mięsa wołowego, a najwięcej ze zwierzyny już dobrze wiatrem przewianej, jako niby według zdania myśliwych smaczniejszej. Chleb był żytni, choć pytlowany, ale czarny. Siadało do stołu kilku rezydentów, szlachty myśliwej, czepiającej się starca dla pożywienia, których on podejmował a oni go bawili kłamliwemi rozmowami o swoich wydarzeniach myśliwskich; niejeden zasłużył być wysokim urzędni-

---

[1]) Przyrząd żelazny w kuchni lub na kominku, na którym kładzie się drzewo do palenia.

kiem w rzeczypospolitej babińskiej [1]). Ujeżdżaliśmy więc z tego domu jak można było najśpieszniej. Moja matka, litując się nad niedołężnością starca, zwykła była zabierać z sobą jego bieliznę stołową do prania, a dowiedziawszy się od jego sług o niedostatku jego w bieliźnie, obszywała go i obdarzała koszulami, gdy się dowiedziała, że miał ich tylko dwie, i te rzadko odmieniał. On też wdzięczny najczęściej rodziców moich odwiedzał, zawsze prawie z całem myślistwem. Póki siły miał, jeździł konno; gdy już zgrzybiałego i wzrok i nogi zawodziły, przyjeżdżał karetą sześciu dobrymi końmi, bo te ciągle utrzymywał. Razu jednego w pogodny wieczór, przed słońca zachodem przybywszy do mych rodziców, kazał sobie wynieść krzesło w podwórze i janczarkę [2]) przy sobie postawić, a gdy się jaskółki zjawiły, strzelił do jednej i spadła. Mógł mieć wtedy lat 80. Wkrótce w Prawiednikach siedząc i drzemiąc na krześle, wiecznym snem zasnął. Prawiedniki i Żabiowolę zajął po nim w posiadanie Józef, starosta kahorlicki, z którym się najwięcej kochał. Dział ogólny nastąpił r. 1784.; ojciec mój obrał sobie i objął Gałęzów. Z podziału po Floryanie Kiełczewskim dostała się nam część bardzo pięknej strzelby, długo w naszym domu będącej, dopóki nas z niej rozruchy i rewolucye nie obrały. Dostała się i część myśliwskich sprzętów, a nawet i strzelców zręcznych, lecz

---

[1]) Babin, wieś w Lubelskiem, której dziedzic Pszonka r. 1560. na poprawę i wyszydzenie obyczajów, ustanowił towarzystwo pod im. Rzeczyp. babińskiej. Urzędy w niej rozdawano przez wzgląd na wiadome wady osob: łgarz zostawał posłem, gaduła kanclerzem i t. p.

[2]) Strzelba janczarska.

wielkich opojów, którzy się po śmierci swego pana rozsypali po włościach Kiełczewskich, między ich i swoje rodziny. Jeden z nich służył u nas za dojeżdżacza i opowiadał mi swoje następujące zdarzenie z Floryanem Kiełczewskim. Polował on w lasach Wysockich na niedźwiedzia i stał na stanowisku na doświadczonym koniu, z którego zwykł był strzelać. W bliskości jego obrał miejsce tenże strzelec; gdy psy trafiły niedźwiedzia, zsiadł Kiełczewski z konia i czekał na zwierza. Tymczasem ogromny niedźwiedź, już rozjuszony strzałami, szedł wprost na niego. Ów strzelec, ujrzawszy zażartą bestyę, wybiegł na drogę, na której pilnował jego pan i zawołał, niech się pan usunie, bo niedźwiedź nadchodzi. Kiełczewski kiwnął na niego, aby z drogi ustąpił, a sam gdy niedźwiedź obces nadbiegał, wziął się do strzału, ale go strzelba zawiodła, schronił się więc pod konia; niedźwiedź na konia się rzucił, gryść i szarpać go zaczął. Koń bronił się kopytami i pana zasłaniał, jednak acz schronionego jeźdźca zwierz dostał łapą i przez kurtę lisią i kaftan łosiowy wbił pazury między żebra i okropnie zranił. Nadbiegła psiarnia i strzelcy, ubili niedźwiedzia, lecz Kiełczewskiego omdlałego i ranionego wraz z niedźwiedziem przywieziono; gdy go opatrzono i rana okazała się nieszkodliwą, strzelec ów spodziewający się pochwały za ostrzeżenie pana, aby się usunął od niebezpieczeństwa, dostał w nagrodzie chłostę, nad którą sam pan stał, mówiąc: »Nie strasz ty, chłopie, pana, bo pan nie baba«.

Józef Kiełczewski. starosta karholicki, starszy brat Floryana, przeżył go ośmiu czy dziewięciu latami; miał z Giżyckiej dwóch synów: Wincentego, który lepiej wychowany i już w zawód obywatelski wchodzący, młodo

umarł, i Jana młodszego, którego nie lubił i którego wychowanie zaniedbał tak, że zaledwie czytać i podpisać się umiał. Ten Jan odziedziczył Prawiedniki i Piórkowice na Wołyniu, lecz wkrótce stawszy się graczem i opojem, wpadłszy między hulaszczą palestrancką zgraję lubelską, zaniedbał gospodarstwo, zgrał się, zadłużył, sprzedał i zmarnował Piórkowice, a następnie Prawiedniki, które od niego kupił podkomorzy Grabowski, już wówczas dziedzic Osmolic. Tułał się więc lat kilka z fuzyjką i torbą na plecach, nakoniec rozpiwszy się, gdzieś przy kwaterce, podobno u żyda za piecem wstydnie życie zakończył, i na nim wygasła do szczętu druga męska linia Skarbków-Habdank Kiełczewskich, potomków owego kościelnego winowajcy. I tak się spełniła owa przepowiednia gminu, wiszącej nad jego rodem kary Bożej. Wypisałem obszernie tę historyę rodziny naszej z matki, dla wiadomości, nauki i przestrogi waszej, moje ukochane wnuki. Strzeżcie się najmniejszego przewinienia i przekroczenia praw ludzkich i Boskich, pamiętając na tę doświadczeniem rodu waszego dowiedzioną prawdę. Od pomsty praw ludzkich, od kary zwierzchności społecznej uwolnić się nietrudno, lecz od nawiedzenia Bożego, od kary i na tej ziemi, prędzej czy później żaden winowajca uchronić nie potrafi, jeżeli nie samego siebie, to przynajmniej rodu swojego.

Pod wspomnieniem historyi Suchodolskiego z Kiełczewskim, obiecałem dać rys wierny kary wieży, z obmowy praw polskich dla winowajców przepisanej. Kształt jej dotąd przy zamku lubelskim oglądać można. Opiszę ją i dam wiadomość, w jakim sposobie ta kara wykonywaną była.

Wieża ta była dwojaka, górna i dolna. W górnej był jeden pokój obszerny, jak jej obwód z okienkami

małemi. Wysiadywali tam karę przestępcy szlachta, za mniejsze przewinienia skazani na grzywny i samotną pokutę. Dolna była zapuszczona w głąb ziemi kilkanaście sążni głębokości, bez światła i powietrza. Skazani na nią szlachta zabójcy, gwałtownicy bezpieczeństwa lub najezdnicy, zasługujący na karę miecza (gdyż tylko za kradzież prywatną lub kościelną szlachcica szubienicą karano). Zamiast kary miecza, *redimendo caput*[1]) dla jakich okoliczności zmniejszających winę lub przez fawor sędziów, przestępcy tego rodzaju na rok i sześć niedziel wieży *in fundo*[2]) zwykle skazywani byli. Jeżeli im tej kary nie ulżyła litość lub przychylność stróżów, najczęściej śmierć ukaranych jej wysiedzenie przerywała. Ta więc kara okupująca od śmierci, była w istocie sroższa nad nią przez zakaz pokarmów, światła i powietrza. Wieża górna była tylko lekkiem więzieniem; przestępcy mogli używać wszelkich pokarmów, przyjmować odwiedziny krewnych i przyjaciół; cały rygor ograniczał się na nieprzestąpieniu progu. Często też zdarzały się nadużycia; odwiedziny sprowadzały uczty, uczty pijaństwo, pijaństwo serenady i muzyki z gorszącem oszukaństwem prawa. Do tej w obydwóch wieżach wysiadywanej kary przywiązany był jeszcze ten rygor, iż przestąpienie progu w górnej, a wychylenie głowy na światło i powietrze w dolnej miało ten skutek, iż czas wysiedziany do chwili zgwałcenia tego prawa nie był liczony i winowajca na nowo rozpoczynał swoją pokutę. Każdy szlachcic, na którąkolwiek z tych wież skazany, powinien się był dobrowolnie

---

[1]) Okupiwszy głowę, t. z. uwolnieni od kary śmierci.
[2]) W ziemi, w wieży pod ziemią.

sam stawić przed urzędem grodzkim, umieszczonym w zamku przy wieży, który w akta zapisał jego stawienie się, a następnie wysiedzenie i dopełnienie kary. Gdy stanął przed urzędem, schodził on po drabinie na sam dół wieży, i zaraz potem wyciągano drabinę. Przez czas siedzenia wpuszczano mu na sznurze wodę i chleb i nieczystości wyciągano. W chorobie żadnej mu nie udzielano pomocy, nie wiem nawet, czy mu księdza i spowiednika dozwalano.

Wielu naszych, osobliwie teraźniejszych pisarzy, to dobrowolne stawianie się szlachty winowajców do poniesienia kary, chcą uważać za zaletę charakteru narodowego, za wrosłe w naturę szlachty wysokie wyobrażenie o honorze rycerskiego stanu, a nawet za cześć i uszanowanie dla prawa. Ja tego aktu ani za posłuszeństwo dobrowolne prawu od tych, którzy je w towarzystwie podeptali i zgwałcili, ani na korzyść charakteru rycerskiego tłómaczyć sobie nie mogę, lecz przyznam go naturalnej obawie banicyi[1]), pod której rygorem i pozwy do stawienia się przed sądem winowajcy wydawane były i w wyroku zapadłym odsiedzenie kary nakazane, *sub poena bannitionis*, *infamiae*, *liberae captivationis et colli*[2]). Wiedział szlachcic, iż gdy się nie stawił do sądu, już temsamem *in contumaciam* sądzony będzie jako przyznający się do zbrodni. Wiedział, iż stawiwszy się, winien być posłusznym wyrokowi, gdyż unikając zawyrokowanej kary, jako banita życie swoje oddaje do roz-

---

[1]) Wygnania z kraju.

[2]) Pod karą wygnania z kraju, infamii (pozbawienia czci), wolnego ujęcia i gardła.

rządzenia niem pierwszemu, który go spotka, czy w własnym czy w obcym kraju; pamiętał, że Zborowski zabił za granicą księcia Dymitra Sanguszkę banitę za porwanie księżniczki Ostrogskiej. Przeto gdy zasiadał wieżę, musiał akt ingresu [1]) zapisać w akta, gdy z niej wychodził, musiał się podobnym aktem zaopatrzyć, inaczej nie był pewnym życia.

Rzecz szczególna, jak stan szlachecki czyli rycerski, acz zasłużony męstwem i krwią w kraju i stąd tak przez królów samowładnych w początkach swego zawiązku, a później sam przez siebie uprzywilejowany i wyniesiony, nadużywając swojej przewagi względem innych stanów, był niesprawiedliwym i nieludzkim, jak je obierał z praw wspólnie wszystkim mieszkańcom służących, i wyłącznie do siebie je stosować i sobie przywłaszczać umiał. Niema na świecie zbawienniejszego prawa nad to, które starzy przodkowie na królach wymogli: *neminem captivabimus*, *nisi iure victum* [2]). Wyraz *neminem* (nikogo) czyż zbyt oczywiście nie dowodzi, iż to prawo miało na celu rozciągnięcie bezpieczeństwa osobistego i opieki nad każdą ludzką, jakiegobądź stanu na ziemi polskiej żyjącą istotą. Kładziono to prawo w pacta conventa [3]) królom wybieralnym i zaprzysięgali je uroczyście. Przecież włościanina lub żyda każdy szlachcic był samowolnym sędzią. Mieszczan magistrat, włościanina pan karał więzieniem i chłostą za kradzieże i inne ciężkie nawet przewinienia. Za zbrodnię jawnie więził,

---

[1]) Wstąpienie do niej.

[2]) Nikogo nie imać, chyba prawem przekonanego.

[3]) Warunki, które król wybieralny musiał zaprzysiąc.

kuł w dyby lub w kajdany, oddawał pod sąd do magistratu lub grodu, gdzie go czekała szubienica lub miecz i to częstokroć bez apellacyi. Agracyacya[1]), ten jedyny nad wszystkie i święty przywilej monarchów, znaną nie była. Dlatego też w wieku oświeceńszym Naruszewicz, acz szlachcic ze znakomitego i możnego rodu w Litwie, lecz mądry i ludzki, śmiało wyrzucając rozpasanej szlachcie polskiej jej nadużycia i przesądy, i surową jej mówiąc prawdę, w jednej ze swoich satyr umieścił te dwa wiersze, malujące ohydę czasów, w których żył:

Bo w Polsce złota wolność pewnych granic strzeże,
Panu nic — chłopa na pal — szlachcica na wieże.

---

[1]) Prawo łaski, ułaskawienie.

LWÓW
Z DRUKARNI ZAKŁADU NARODOWEGO IMIENIA OSSOLIŃSKICH
pod zarządem Juliusza Birkenmajera
1891.